



Anne Stuart



Księżę ciemności

Rozdział pierwszy

Paryż, 1768 rok

Odwiedziny u adwokata nie przebiegły pomyślnie. W dodatku po wejściu do domu Elinor Harriman musiała szybko się schować, usłyszała bowiem, że jej siostra Lydia kończy rozmowę z właścicielem mieszkania. Pan Picot nie miał cierpliwości ani do niej, ani do jej matki i tylko wobec młodszej panny Harriman zachowywał się całkiem inaczej. Wystarczyło, że w błękitnych oczach Lydii zalśniły łzy, a jej usta nieznacznie zdrząły, a już pan Picot przeproszał bez końca i był gotów poczekać. Z subtelnej urody młodszej panny Harriman promieniowało tyle niewinności, że nawet w tej obskurnej części miasta nikt nie ośmieliłby się spróbować niczego niestosownego.

Wreszcie drzwi za nim zostały starannie zamknięte. Dopiero wtedy Elinor ukradkiem weszła po schodach na górę.

- Przecież ci powiedziałam. - Lydia zwróciła się do siostry z szelmowską miną, która w niczym nie przypominała niedawnego łagodnego uśmiechu. - To zawsze działa.

Elinor zajęła najbliższe krzesło i jęknęła, gdy dźgnęła ją zdradliwa sprężyna. Podczas ostatniej przymusowej przeprowadzki musieli zrezygnować z niemal wszystkich mebli, wyjąwszy te najbardziej toporne. Teraz w ciasnym saloniku ich mieszkania na obrzeżu jednej z najgorszych dzielnic Paryża mieściły się jedynie trzy krzesła, które trudno było nazwać funkcjonalnymi, oraz koślawy stół, służący jako biurko, miejsce do jedzenia i toaletka. Sypialnie prezentowały się nie lepiej. W pierwszej na zapadającym się łóżku spała, chrapiąc, ich matka, w drugiej siostry miały do dyspozycji jedynie wspólny materac, rzucony na podłogę. Elinor wołała nie myśleć, w jakich warunkach odpoczywają niania Maude i stangret Jacobs, ulokowani w części służącej jednocześnie za kuchnię i pomieszczenia dla służby.

Zresztą, nedorzecznnością było trzymać stangreta, skoro już wiele lat temu musieli się pozbyć konia i powozu. Jedynie w pierwszych dniach pobytu w Paryżu, kiedy ich matka żyła kolejną miłością, a one dwie cieszyły się nową przygodą, korzystały z powo-

zu. Jednak Jacobs przyjechał z nimi jeszcze z Anglii i nic nie było w stanie skłonić go do odejścia, nawet brak wynagrodzenia za służbę.

Kochanek szybko znużył się ich matką, a pieniądze znikły, ale wkrótce pojawił się ktoś inny, niemal równie bogaty. Ostatnie dziesięć lat było dla lady Caroline Harriman historią stopniowego upadku aż do stanu, o którym Elinor nie mogła spokojnie myśleć. Teraz matka była zbyt chora, by sprawiać nowe kłopoty, na przykład wyruszyć na poszukiwanie butelki dżinu, klubu, gdzie mogłaby spędzić wieczór przy zielonym stoliku, lub mężczyzny, który sfinansowałby najpilniejsze potrzeby.

- Ile mamy czasu? - spytała Elinor, sięgając po robótkę.

Niania Maude próbowała ją nauczyć, jak posługiwać się drutami, ale niewiele z tego wyszło. W skarpetach i kamizelkach jej roboty pełno było zgubionych oczek, mimo to zdołała sobie wmówić, że potrafi zrobić coś użytecznego.

- Pan Picot wróci za tydzień. Nie sądzę, żeby znowu udało mi się odwlec zapłatę.

Lydia stanowiła doskonałość pod każdym względem - była pełna wdzięku, przeziębła, bystra i zręczna w robótkach ręcznych. Nauczyła się świetnie tańczyć, mimo że matka opłacała jej tylko kilka wstępnych lekcji, ładnie malowała, śpiewała niczym ptak. Dobrowolnie oddawał jej się w niewolę każdy spotkany mężczyzna, od Jacobsa po bogatego wicehrabiego de Miraboux, którego poznała w wypożyczalni książek. Przez krótki czas Elinor miała nawet nadzieję, że ich problemy zostaną dzięki temu rozwiązane, ale rodzina wicehrabiego zwietrzyła, co się święci, i młody arystokrata został wysłany na *grand tour* po Europie.

Lady Caroline ostatnio chorowała. Pieniądzy na lekarza i medykamenty nie było, a tymczasem czerwone plamy pokrywały całe jej ciało, a umysł, który zresztą wcześniej też rzadko potrafił formułować jasne sądy, niemal przestał funkcjonować. Ta sytuacja miała również dobre strony. Przykuta do łóżka chora nie powiększała rodzinnych długów.

- Opowiedz o adwokacie, Nell - odezwała się Lydia, która jako jedyna zdrabniała imię siostry w ten sposób. - Może ojciec przekazał nam wielki majątek, aby ulżyć *maman* w jej ostatnich dniach? A może przynajmniej skromną pensję?

- Coś nam zostawił, chociaż trudno nazwać to wielkim majątkiem - odparła Elinor.
- Tytuł i włości przeszły na własność niejakiego Marcusa Harrimana, a nam przypadła jedynie druga część spadku, bez wątplenia mniejsza. Gdyby ojciec mógł, prawdopodobnie nic by nam nie zostawił.

Nie powiedziała, że spadek został zapisany wyłącznie na nią, jako że kwestia ojcostwa Lydii, co powszechnie wiadomo, budziła duże wątpliwości. Chociaż według brytyjskiego prawa dzieci urodzone w małżeństwie uznawano za legalne potomstwo, mąż lady Caroline wykazywał niemałą inwencję w staraniach, aby uniknąć wspierania potomstwa byłej żony.

- Może namówię pana Picota na następny tydzień zwłoki, jeśli pozwolę mu na drobną poufałość. Pocałunek w czterech ścianach domu z pewnością mnie nie skompromituje.

- Nie! - Elinor znowu zgubiła oczko, więc ze złością odrzuciła robótkę. - Adwokat wyraźnie powiedział, że ojciec coś nam zostawił, chociaż jest klauzula nakazująca mi wrócić do Anglii, aby wejść w posiadanie tych pieniędzy. Szkoda, że nie dowiedzieliśmy się o jego śmierci wcześniej, mogłyśmy przecież uruchomić tę procedurę wiele miesięcy temu. Prawdopodobnie jednak zawiadomienie o śmierci dostarczono pod nasz poprzedni adres, spod którego wyjechałyśmy w środku nocy, nie płacąc zaległych rachunków. Jestem przekonana, że kwota spadku nie będzie bardzo mała. Ojciec nie pozwoliłby córkom głodować.

- Nie próbuj upiększać rzeczywistości. Powtarzał, że nie chce mieć nic wspólnego z przychówkiem tej ladacznicy, którą na swoje nieszczęście poślubił.

- Urazę na pewno żywił do śmierci, przecież żona wystawiła go na pośmiewisko całego Londynu. Mimo to musiał sobie przypomnieć, że spoczywa na nim odpowiedzialność za nasze losy.

- Zdawało mi się, że on raczej wypierał się ojcostwa. Czyżbym się myliła?

Elinor słabo pamiętała ojca. Mgliście rysował jej się wizerunek wysokiego, bardzo niesympatycznego dżentelmena, którego interesowało niewiele poza jego końmi i kochankami. Uważała, że w tej sytuacji ojciec postępuje nieuczciwie, potępiając żonę za jej upodobanie do mężczyzn.

- Jesteśmy jego córkami, to nie ulega wątpliwości - odparła. - Wzrostem nie ustępuję wielu mężczyznom, a ten paskudny nos na pewno mam po nim.

- Masz bardzo ładny nos, Nell - zapewniła ją Lydia. - Nadaje ci charakter. Spójrz na mnie, jestem takie małe, urocze nic.

- Nie raz i nie dwa wolałabym być małym, uroczym nic.

- Prawdę mówiąc, nie sądzę, żebyś chciała być kim innym, niż jesteś.

- Rzeczywiście - przyznała Elinor. - Chcę być sobą, tylko przydałby mi się majątek. To chyba dość racjonalne życzenie, prawda? Niestety, jedynym sposobem na zdobycie pieniędzy jest poślubienie zamożnego człowieka, a w tym mój nos jest zawadą.

- Dobry człowiek doceni cię razem z twoim szlachetnym nosem i resztą - stwierdziła Lydia. - Co do mnie, zamierzam poślubić kogoś niesamowicie bogatego, więc nie masz powodu do zmartwień. Możesz zawrzeć małżeństwo z miłości.

- Wspomniałaś pomysł, moja droga. Jak jednak spotkasz bogacza, skoro mieszkamy na granicy paryskiej dzielnicy biedoty, a po następnej przeprowadzce znajdziemy się w samym jej środku? Nie jestem pewna, czy uda nam się przetrwać.

- A ja wierzę w opatrzność - oznajmiła Lydia. - Rozwiązanie pojawi się samo, kiedy będziemy go potrzebować.

Lydia była żarliwą chrześcijanką, natomiast Elinor straciła wiarę przed wieloma laty, gdy na jej drodze znalazł się sir Christopher Spatts, towarzyszyła więc siostrze w kościele jedynie dla zachowania pozorów.

- Moim zdaniem to rozwiązanie jest mocno spóźnione. Gdybyś mogła je przyspieszyć, byłabym ci zobowiązana.

Usłyszała hałas w głębi mieszkania. Do pokoju wszedł Jacobs z kapeluszem w ręce i bardzo zatroskaną miną. Za nim pojawiła się niania Maude.

- Odeszła - oznajmił.

Nie było cienia wątpliwości co do tego, o kim mowa.

- Co przez to rozumiesz? - spytała Elinor, podrywając się z miejsca. - Umarła?

- Nie - odparła niania, bardzo strapiona. - Pani matka wyszperała ostatnie pieniądze, jakie schowałam na jedzenie, włożyła najlepszą suknię i wyszła.

- Boże wielki, jak jej się to udało? Wydawało mi się, że ona nawet nie ma siły wstać - powiedziała strwożona Elinor. - Na pewno ją znajdziemy. Przecież nie uszła daleko.

- Prawie ją złapałem, proszę pani - poinformował zawstydzony Jacobs, mnąc w wielkich, spracowanych dłoniach kapelusz. - Zauważyłem ją, gdy biegła ulicą, ale zdążyła wsiąść do powozu.

- Do powozu? Jesteś pewien, że to była nasza matka? Nie miałam pojęcia, że ona jeszcze zna kogoś, kto dysponowałby powozem.

- To była ona - zapewnił posepnie Jacobs. - Powóz też poznałem. Stał pod latarnią, więc zauważyłem herb.

- Boże wielki - jęknęła Elinor. - W co ona nas znowu pakuje? Czyj był ten powóz?

- St. Philippe'a.

- A niech to szlag trafi! Nie patrz tak na mnie, nianiu Maude. Wiem, że mnie wychowywałaś inaczej, ale czasem człowiek musi zakląć, prawda? Wiesz, Jacobs, czyim przyjacielem jest St. Philippe, prawda?

- Ja nie wiem - wtrąciła Lydia, a jej błękitne oczy zapłonęły ciekawością.

- I nie musisz - odburknęła Elinor.

- Tego diabła, prawda? - spytała zasepiona niania. - Pojechała prosto do piekła. Straci resztkę pieniędzy, która nam została, i najpewniej skończy tragicznie.

- Przegra w karty wszystko i przypelźnie do domu chora i bezbronna - oceniła Elinor.

- Panienska nie rozumie! - zdenerwowała się niania. - Ona zabrała nasze ostatnie oszczędności i do tego jeszcze brylantową broszkę.

Elinor zmroziło. To był ostatni cenny przedmiot, jaki posiadali. Zresztą, brylanty były małe, więc broszka nie miała wielkiej wartości. Leżała jednak schowana na czarnej godzinę nie po to, by umożliwić ich matce wieczór hazardowych emocji.

- Trudno, poszukam jej - oznajmiła.

Zignorowała głośny sprzeciw niani. Jacobs milczał, wiedział bowiem, że innej możliwości nie ma. Lydia wstała.

- Pójdę z tobą, Nell - powiedziała.

- Nic z tego. Jeśli wejść do tej jaskini zepsucia sama, będę wiedziała, że jestem bezpieczna. Na ciebie rzuca się tam niczym wygłodniałe wilki.

- Przeceniasz moją atrakcyjność.

- Cicho! - odparła Elinor. - Jacobs zawiezie mnie do domu hrabiego de Giverney, zabierzemy stamtąd matkę i jeszcze przed północą zdążymy wrócić.

- Powóz skierował się poza miasto - zauważył stangret. - Sądzę, że pojechał do *château* hrabiego.

Elinor zachowała niezmałony spokój.

- Jak to daleko? - spytała.

- Godzina drogi.

- Wobec tego zdążymy wrócić przed świtem. Skoro matki nie sposób upilnować, to po prostu przywiążemy ją do łóżka.

- Ciekawe, jak zamierzasz się tam dostać - wtrąciła Lydia. - O ile pamiętam, nie mamy powozu ani konia, ani tym bardziej pieniędzy na wynajem. Pójdiesz pieszo?

Elinor spojrzała znacząco na służącego, który bez słowa wycofał się z pokoju.

- Jacobs to zorganizuje - orzekła. - Liczę, że tymczasem wysprzątasz pokój matki. Prawdopodobnie będziemy musieli użyć tych samych sznurów, które były potrzebne, kiedy wpadała w szal.

- Nie chcę, żebyś jechała sama.

- Ja z nią pojedę - zaofiarowała się Maude.

Reumatyzm doskwierał jej tak, że ledwie mogła chodzić, ale gdy w grę wchodziło dobro dzieci, zamieniała się w lwicę.

- Nie, nianiu - odparła łagodnie Elinor. - Musisz zostać, żeby opiekować się Lydią.

Maude skinęła głową; w oczach miała łzy.

- Jacobs weźmie pistolet i zastrzeli pierwszego mężczyznę, który próbowałby mnie skrzywdzić - dodała Elinor. - Wejść tam, spytam o matkę, a oni z pewnością chętnie się jej pozbędą. Naprawdę nie macie się czym martwić.

Tak czy inaczej, nie należało tracić czasu. Elinor chwyciła przetartą narzutkę i chustę, również dającą trochę ciepła, po czym cmoknęła na do widzenia Lydię i nianię.

Maude uściskała ją kurczowo, jakby żegnały się na zawsze, ale siostra po prostu z powrotem zajęła się robótką.

Chwilę później była już na dworze, gdzie chłodne powietrze nieco ją orzeźwiło. Włożyła rękawiczki bez palców, które składały się przede wszystkim z cer, nakryła włosy chustą i ruszyła ulicą, starając się nie zwracać uwagi na co bardziej odrażających sąsiadów.

Jacobs miał czekać na nią w pobliskiej gospodzie, gdzie trzymano również konie i powozy do wynajęcia. Okoliczności już raz zmusiły ich do „pożyczenia” powozu. Lady Caroline weszła wtedy jako nieproszony gość na bal maskowy, na szczęście jednak udało się ją stamtąd zabrać, zanim ktokolwiek zdążył się zorientować. Tego wieczoru takiego pomyślnego obrotu wydarzeń nie należało się spodziewać.

Służącemu powiodło się lepiej, niż oczekiwała. Podjechał po nią powozikiem podróznym, w którym było miejsce akurat dla dwóch osób. Wgramoliła się do środka, zanim woźnica zdążył zsiąść, by jej pomóc, i ruszyli.

Był zimny, bezksiężycowy wieczór. Na szczęście w powoziku znalazły się również pledy do przykrycia kolan. Elinor ściągnęła chustę z głowy i drżąc od chłodu, otuliła nią ramiona. Jacobs poganiał konie, więc musiała mocno się trzymać, ale i tak raz po raz podskakiwała na wybojach.

Nie żywiła obaw o swoje bezpieczeństwo. Była wysoka i chuda z powodu pustek w domowej spiżarni. Odcień jej włosów nie zostawał w pamięci, podobnie jak brąz oczu. No i ten nieszczęsny nos. Gdyby nawet musiała stanąć przed obliczem hrabiego, nie będzie zaprzętał sobie uwagi kimś o tak pospolitym wyglądzie.

Zamknęła oczy. Cały ten dzień był wielką katastrofą. Nawet zapewne złudna nadzieja na niewielki spadek nie zmieniała faktu, że wraz z wyborem spadkobiercy ich marzenia o lepszej przyszłości legły w gruzach. Tymczasem zachowywała tę wiedzę dla siebie. Niania i Lydia nie powinny się tym trapić.

Pan Mitchum, adwokat, zaproponował, aby spotkała się z nowym dziedzicem, który dysponuje jej spadkiem, ona jednak tak bardzo się rozzłościła, że po prostu wyszła z kancelarii. Niepotrzebnie, bo będzie musiała poznać dalekiego kuzyna. Nie należało

bezsensownie kierować się dumą, jeśli nadarzała się sposobność przejęcia choćby niewielkiej kwoty.

Najpierw jednak musiała odnaleźć matkę.

TLR

Rozdział drugi

Francis Alistair St. Claire, hrabia de Giverney, wicehrabia Rohan, obrysował długimi, bladymi palcami rzeźbione pazury, zdobiące masywne krzesło, na którym siedział. Opierając głowę na aksamitnym obiciu, omiół wzrokiem rozgorączkowanych gości i pozwolił sobie na nikły uśmiech. Nawet najciemniejsze zakątki salonu były oświetlone, widział więc wszystkich tak zwanych przyjaciół i znajomych, drżących z niecierpliwości w oczekiwaniu na swawole. Przed nimi były trzy dni i noce wszelkich rozrywek, jakie można wymyślić. Do dyspozycji mieli opium i brandy, wino oraz szkocką whisky przedniej marki. Hrabia oczekiwał, że zanim skończy się ta hulanka, alkohol zostanie wysączony do ostatniej kropli, zmysły znajdą pełne zaspokojenie, a goście pozbędą się ostatnich złudzeń co do istnienia zasad moralnych.

Kobiety i mężczyźni czekali tylko na jedno jego słowo. Hrabia jeszcze raz powiódł wzrokiem po tym grzesznym zgromadzeniu i zwrócił się do przybyłych:

- Dzieci moje - zaczął francuszczyzną zrozumiałą również dla emigrantów - na następne trzy wieczory i noce wszystkie zasady rządzące w towarzystwie zostają zniesione. Nasza dewiza brzmi: „Róbcie, co wam się podoba”.

- Róbcie, co wam się podoba - powtórzył z powagą chór zebranych, niczym nowicjusze składający śluby.

Łaskawie skinął dłonią, ukrytą wśród koronek mankietu.

- Idźcie grzeszyć więcej - powiedział, a jego dźwięczny głos odbił się echem o ściany salonu.

W odpowiedzi rozległ się okrzyk entuzjazmu. Francis Rohan rozparł się na krześle, żałując, że nie siedzi w tej chwili w swym paryskim domu nad dobrą książką, z kieliszkiem brandy w dłoni. Dręczyła go nuda. Był już świadkiem bodaj wszystkich przejawów zepsucia, na jakie pozwala sobie człowiek, wielu sam doświadczył, wciąż jednak nie znalazł sposobu na pokonanie nieustannie towarzyszącego mu *ennui*.

Z tłumu wyłoniła się kobieta i sunęła płynnym krokiem w jego stronę. Połowę twarzy zakrywała maseczka, obfite kształty wylewały się z sukni, której stanik był zasnurowany z przodu. Rohan chętnie pociągnąłby za tasiemki, Marianne miała bowiem

piersi, które wyjątkowo mu się podobały. W dodatku znała reguły. Posadził ją sobie na kolanach i zaczął bawić się tasiemkami sukni.

Powoli je rozluźniał, aż w końcu uwolnił mleczone piersi. Nagle jego uwagę odwrócił jakiś hałas. Zirytowany, wyprostował się, pociągając uwodzicielską Marianne za sobą.

- Masz kłopot, Francis - powiedział Charles Reading.

Marianne odwróciła się do niego z radosnym uśmiechem. Była w znacznie lepszym nastroju niż Rohan.

- Jaki znowu kłopot? - spytał. - Nie mam ochoty sekundować nikomu w pojedynku ani tym bardziej powstrzymywać ludzi przed walką. Jeśli chcą się zabijać, ich sprawa.

- Nie w tym rzecz. Ten kłopot, o którym mówię, nawet może ci się spodobać.

Ta sugestia wystarczyła, by wzbudzić zainteresowanie Rohana. Charles Reading rzadko uznawał coś za zajmujące, a jeśli już, to musiał natrafić na prawdziwą rzadkość.

- Nie pozwól mi więc czekać. Daj tu ten kłopot.

- Trzyma ją teraz jeden z twoich lokajów. Willis chciał ją odesłać tam, skąd przysła, ale zaprotestowałem, bo uważam, że ona może cię zainteresować. Kazać lokajowi, żeby ją przyprowadził?

- Czas na mnie - powiedziała Marianne, usiłując przysłonić suknią piersi.

Rohan jednak nie chciał o tym słyszeć.

- Zostań - polecił i zwrócił się do Charlesa: - Interesująca „ona”? Trudno mi w to uwierzyć. Koniecznie ją przyprowadź.

Reading był przystojnym mężczyzną, choć szpeciła go blizna na prawym policzku, zamieniająca jego uśmiech w grymas.

- Do usług, milordzie - powiedział, wycofując się tyłem i parodiując uniżonego sługę.

Charles, tak samo jak Rohan, nie przestrzegał konwenansów, ale patrzył na świat z entuzjazmem młodego człowieka. Francis, zbliżający się do czterdziestki, czuł się przy nim tak, jakby miał osiemdziesiątkę.

Nadeszli lokaj z Willisem, prowadząc młodą kobietę, która z pewnością nie należała do paryskich prostytutek. Dał znak, żeby podeszli bliżej.

- Cóż tu mamy, Willis? - spytał Rohan najłagodniej, jak potrafił.

Niegustownie ubrana nieznajoma uniosła głowę i Rohan spojrział prosto w piwne oczy, z których emanowała nienawiść. Niewielu ludzi śmiało okazać mu niechęć, a co dopiero jawną wrogość.

- Kto to jest? - zainteresował się. - Nie mów, sam zgadnę. Komuś się zdawało, że przebranie dziwki w szmaty dostarczy mi nie lada rozrywki. Nie, to raczej istota, która znalazła się w trudnym położeniu. A może pomoc sklepowa? W takim razie nie rozumiem, co zabawnego może być w pomocy sklepowej? Odchyl jej głowę.

Lokaj wykonał polecenie, a tymczasem nieznajoma ugryzła go jak wściekła suka. W odpowiedzi służący uderzył ją w twarz.

- Nie wydaje mi się dziwką, Willis - ocenił Rohan - Nie z takim nosem. One mają ładne perkate noski, a ta bardziej przypomina Rzymianina. Może po prostu ją odprawisz.

Przeszyła go morderczym spojrzeniem i otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Willis wystąpił przed nią.

- Mówi, że szuka matki, milordzie.

Francis ryknął śmiechem.

- Córka dziwki? Ciekawe, do czego dojdziemy.

- Moja matka nie jest dziwką.

Odważyła się zaprzeczyć i to jeszcze zwiększyło jego zainteresowanie. Miała przyjemny głos, mocny i niski. Bez wątpienia pochodziła z angielskiej klasy wyższej. Wygnano go z Wysp przed dwudziestoma dwoma laty, ale podejmował dostatecznie dużo utytułowanych Anglików, aby znać ich cechy rozpoznawcze. Tak samo mówił po angielsku i on, kiedy miał na to ochotę.

- Wobec tego nie ma jej tutaj - odparł. - Z kobiet są wyłącznie dziwki. To dotyczy nawet obecnej tu uroczej Marianne. Jest utytułowaną dziwką, lecz to nie zmienia sytuacji. - Czekał, czy Marianne nie zechce zejść mu z kolan, ale dalej na nich siedziała, eksponując piersi.

Nieznajoma przyjrzała mu się bacznie. Wargą wciąż jej krwawiła.

- Puść ją, Willis - wycedził Rohan - i zajmij się lokajem. Należy mu się surowa lekcja. Nikt w tym domu nie będzie bity, chyba że wydaje mu się to podniecające. Mogę powiedzieć z całą pewnością, że ta panna nie jest podniecona.

Usłyszał głośny oddech spłoszonego lokaja. Ten głupiec próbował się tłumaczyć i przeproszać, kiedy Willis wyprowadzał go z salonu. Tymczasem Rohan puścił Marianne, która niedbałym ruchem osłoniła wdzięki suknią.

- Możesz odejść, Marianne - powiedział. - Właśnie doszedłem do wniosku, że mam inne plany.

Nawet za nią nie spojrzął, chociaż wiedział, że będzie na niego zła.

- Powiedz mi, co naprawdę cię tutaj sprowadza - zwrócił się do nieznajomej.

Wyraźnie miała ochotę wysłać go do diabła. Ściągnęła poły zniszczonej narzutki i wciąż miażdżyła go wzrokiem.

- Szukam matki - powtórzyła. - Widzę, że ma pan kłopoty z rozumieniem angielszczyzny. Zapewne rozpusta padła panu na umysł. Bardzo współczuję, ale zależy mi jedynie na odnalezieniu matki. Przypuszczalnie przyszła tutaj z panem St. Philippe'em. Muszę jak najszybciej odwieźć ją do domu. Jest bardzo chora.

- St. Philippe? Chyba rzeczywiście przyjechał tu z kobietą, ale nie zwracałem na to szczególnej uwagi. Poza tym pani matka niewątpliwie jest dorosła i może sama podejmować decyzje, gdzie chce przebywać. - Pstryknął palcami i natychmiast stanął obok służący. - Przynies dla pani krzesło. Wygląda na zmęczoną.

- Nie - odparła. - Nie jestem zainteresowana konwersacją, panie hrabio. Zależy mi jedynie na znalezieniu matki.

- Muszę pokazać, że jestem przykładnym gospodarzem.

- Do tej pory udało się panu uniknąć przykładowego zachowania. Po co to zmieniać? Złośliwość zabrzmiała dostatecznie zgryźliwie, aby Rohan poczuł się rozbawiony.

Wstał.

- Trafna uwaga, panno...?

- Nie musi pan znać mojego nazwiska.

- Jeśli nie będę go znał, jak mam znaleźć pani matkę?

Z tymi słowami zszedł z podwyższenia, na którym stało krzesło. Musiał przyznać, że kobieta jest odważna. Weszła do jaskini lwa, a teraz ani drgnęła, kiedy się do niej zbliżał.

- Harriman - powiedziała po chwili wahania. - Nazywam się Elinor Harriman, córka lady Caroline.

Zmartwił.

- Jest tutaj ta pryszczata stara suka? Nie martw się, klejnociku. Niezwłocznie ją znajdziemy. Nie zamierzam jej pozwolić na przebywanie wśród gości. Jestem zdumiony, że St. Philippe miał czelność ją przyprowadzić. Chyba że chciał przez to zwrócić moją uwagę.

- Po co miałby to robić? - spytała panna, wyraźnie skonfundowana.

Niewinność zwykle śmiertelnie go nudziła, w jej przypadku było jednak całkiem inaczej.

- Ponieważ nie okazałem mu zainteresowania.

- Przecież jest mężczyzną.

- Ciekaw jestem, jak pani uchowała się w niewiedzy o takich sprawach, mieszkając tyle czasu w Paryżu.

- Skąd pan wie, że długo mieszkam w Paryżu?

- Lady Caroline Harriman zostawiła tępawego męża i przyjechała do Francji z dwiema córkami około dziesięciu lat temu. Od tej pory upadała coraz niżej. Dziwię się, że jeszcze pozostaje przy życiu.

- Niewiele jej zostało - przyznała Elinor. - Chciałabym jej poszukać, zamiast z panem rozmawiać. Ona najpewniej gra w karty, więc muszę ją powstrzymać, zanim przepuści resztkę domowych pieniędzy.

- Chwalebny zamysł. Ja z kolei chciałbym ją powstrzymać, zanim zarazi kogoś z moich gości. Przestrzegam sztywnych reguł w sprawie zdrowia dziwek...

- Moja matka nie jest dziwką!

Była chuda jak szczapa, bez wątplenia przez ostatnie miesiące nie dojadła. Rohan pozwolił więc sobie na małą fantazję. Wyobraził sobie, że karmi tę pannę pasztecikami i smakowitymi kąskami mięsa, podczas gdy ona leży nago w łóżu.

- Wszystkie kobiety w tym domu są dziwkami, moje dziecko. Mężczyźni zresztą też, skoro o tym mowa. Przyniosę ci kieliszek wina i możemy o tym porozmawiać.

- Ma pan tak samo rozmiękczony mózg jak moja matka - odparła, obracając się na pięcie. - Idę jej poszukać.

Nie pozwalał kobietom, aby samowolnie odwracały się do niego plecami, więc po prostu chwycił ją za ramię i odwrócił. Ujrzał przed sobą pałające oczy, a nieco niżej lufę niedużego pistoletu skierowaną prosto w jego brzuch.

Elinor musiała pilnować, żeby nie trzęsała jej się ręka. Gdyby to Rohan zauważył, uznałby ją za nieszkodliwą, a wtedy mogłoby się okazać, że jednak trzeba do niego strzelić. Tymczasem tak naprawdę wcale tego nie chciała. Puścił ją, ale się nie odsunął. Co gorsza, wydawał się bardziej rozbawiony niż wystraszony.

Mówiono o nim, że jest królem piekieł. Nie chodziło o jego wygląd, choć był przystojny. Miał ciemnoniebieskie oczy, przysłonięte absurdalnie długimi rzęsami, jasną, wypielegnowaną skórę i zmysłowe usta. Gdy przyłapała się na tej myśli, skarciła się w duchu. Musiał zbliżać się do czterdziestki. Chociaż siwizna lekko przyprószyła mu długie włosy, wydawał się przez to jedynie bardziej drapieżny. Wysoki, poruszał się z gracją, którą mógłby zawstydić niejednego tancerza. Stał o wiele za blisko niej i pistoletu, który ukradła, korzystając z nieuwagi Jacobsa.

- Przecież mnie nie zastrzelisz, moja miła - powiedział spokojnie, nie próbując jednak wyjąć jej broni z ręki.

- Nie zamierzam, ale bezpieczeństwo matki ma dla mnie zasadnicze znaczenie.

- Pani matka jest chodzącym trupem - odparł brutalnie. - Oboje doskonale to wiemy. Może wróci pani do domu, a ja znajdę jej matkę i ją odeślę?

- Pan nie rozumie. Nie stać mnie na to, żeby matka przepuściła nasze pieniądze.

- Musimy więc dopilnować, żeby tego nie zrobiła. - Ostrożnie wyjął pistolet z dłoni Elinor. - Bardzo ładny - ocenił, przyglądając się obłożonej masą perłową kolbie. - Skoro u pani aż tak krucho z pieniędzmi, czemu go nie sprzedać?

- Kto powiedział, że u mnie aż tak krucho z pieniędzmi? - obruszyła się.

- Twoje odzienie, dziecko. Jesteś ubrana jak szmaciarka. Co ma na sobie twoja matka? Włosiennicę? - zakpił.

- Nie wyobrażam sobie, żeby w takim stroju ją tu wpuszczono.

- Przeciwnie. Włosiennica może zostać uznana za bardzo stosowne odzienie.

Przecież to jest zgromadzenie Zastępów Niebieskich.

Próbowała nie okazać, jak bardzo jest wstrząśnięta. Plotki o Zastępach Niebieskich dotarły do paryżan. Było to tajne stowarzyszenie zepsutych do cna arystokratów, którzy nie mieli co robić z wolnym czasem. Opowieści na ten temat były najróżniejsze, od zabawnych po niepokojące. Mówiono o czarnych mszach i składaniu dziewic w ofierze. Nikt jednak nie potwierdził wprost istnienia takiego zgromadzenia.

Elinor popatrzyła na Rohana, nagle onieśmielona jego wzrostem i wspaniałością postaci. Ubrany był w czarny aksamit najwyższej jakości, kształt nóg podkreślały eleganckie pończochy, a trzewiki na wysokim obcasie, ozdobione klejnotami, jeszcze go podwyższały. Na smukłych palcach lśniły pierścienie, a w uchu mienił się szafir, jak u Cygana. Mężczyźni najczęściej nosili peruki, a własne włosy strzygli krótko. Hrabia de Giverney był jednak prawdopodobnie zbyt próżny, aby pozwolić sobie na taką łatwiznę.

- Napatrzyła się pani? - spytał uprzejmie. - Może mam się obrócić, żeby mogła mnie pani obejrzeć również z tyłu?

Nie zaczerwieniła się.

- Lubię znać swoich wrogów. Proszę dać mi spokój, żebym mogła poszukać matki, albo po prostu mnie do niej zaprowadzić.

- Stanowczo wybieram drugą możliwość. Jeszcze nie zdecydowałem, czy jesteśmy wrogami. - Odrzucił pistolet na podwyższenie. Broń wylądowała dokładnie na jego krześle. - Obawiam się, droga panno Harriman, że nie potrafiłaby pani znaleźć matki wśród biesiadników. Najpierw musi pani przejść w moim towarzystwie przez dziewięć kręgów piekieł.

- Nie jestem dzieckiem, *monsieur le comte*.

- Tak brzmi mój tytuł po francusku. Dla Anglików jestem wicehrabią Rohanem.

- Ten tytuł nosi kto inny - powiedziała, posiłkując się wiedzą z zasłyszanej plotki.

- To prawda - odrzekł niezrażony. - Bardzo mi miło, że pani o tym przypomniała.

Zaczął rozwiązywać fular, a Elinor jak zahipnotyzowana przyglądała się jego smukłym palcom ozdobionym klejnotami. Hrabia tymczasem zsunął fular z szyi i w rozcięciu koszuli jej oczom ukazał się niepokojący widok nagiego torsu.

Rohan roześmiał się głośno, a potem odwrócił ją ku sobie.

- Nie martw się, maleńka. Nie zobaczy pani niczego, co mogłoby cię zgorszyć.

Z tymi słowami zawiązał jej oczy fularem. Chciała natychmiast go zedrzeć, ale w ten sposób znów by go sprowokowała.

- Proszę teraz położyć rękę na moim ramieniu, a ja pozwolę pani poczuć przedsmak potępienia.

- Naprawdę sądzi pan, że bluźnierstwa są takie zabawne? - spytała.

- Zawsze. Jesteś gotowa, moje dziecko?

Ogarnęła ją panika, ale nie zamierzała jej okazać.

Tacy ludzie jak Rohan żywili się strachem innych, więc jeśli chciała wyjść cało z opresji, nie wolno jej było zdradzić, że się boi.

- Już od półgodziny, zdążyłam się nawet znudzić - odparła.

- Chodźmy więc.

Elinor zrozumiała, że hrabia świetnie orientuje się w stanie jej ducha. Nie miała jednak wyboru, musiała pozwolić, by ją poprowadził.

Rozdział trzeci

Gdy przestąpili próg sali, Elinor otoczyło duszne powietrze i gwar. Wyczuła też zapach woskowych świec i rozlanego wina, a także wonie rozlicznych pachnidłał.

- Cóż tam prowadzisz, Francis? Swój obiad? - zawołał jakiś mężczyzna i chrypliwie się roześmiał.

- Co ty mówisz? - dobiegł uszu Elinor głos Francuzki, bez wątpienia należącej do klasy wyższej. - On po prostu wystawi ją później na licytację. Chętnie zadeklaruję coś od razu.

Elinor odruchowo zacisnęła palce na ramieniu hrabiego. Przykrył jej dłoń swoją, nie potrafiła jednak powiedzieć, czy miało to dodać jej otuchy, czy raczej był to gest dominacji.

- Nie bądź śmieszna, Elise - włączył się inny mężczyzna, prawdopodobnie znajdujący się znacznie bliżej. - On wcale nie zamierza jej oddać. Zobacz, w jak na nią patrzy.

Wprawdzie wcześniej Elinor nie zauważyła, by Rohan patrzył na nią w szczególny sposób, ale sama myśl o tym wzbudziła jej niepokój. Szli dalej, raz po raz zatrzymywani rubasznymi okrzykami. Ucieszyła się, gdy dotarli do następnego pomieszczenia. Tu przez cienką tkaninę fularu, którym miała zawiązane oczy, przestało się sączyć światło.

- A co z moją matką? - zainteresowała się. - Nie spytał pan...

- Dobrze widziałem, że jej tam nie ma, moje dziecko - odparł. - To był dopiero drugi krąg piekielny, choć prawdę mówiąc, nie trzymamy się zbyt sztywno opisu Dantego.

- A pierwszy krąg? - spytała.

- Antykamera, tam, gdzie się spotkaliśmy. Miejsce znane lepiej pod nazwą otchłani, gdzie nie zdarzają się prawdziwe grzechy. - Mówił cichym, zadumanym głosem i nagle poczuła dłoń głąszczącą ją po policzku. Wzdrygnęła się. - Mój lokaj, rzecz jasna, złamał reguły i zostanie za to odpowiednio ukarany.

Przystanąli, prawdopodobnie przed wejściem do następnego pokoju.

- Czy zostanie ukarany dlatego, że złamał reguły, czy dlatego, że mnie uderzył? - spytała. - Może pan powiedzieć prawdę, nie poczuję się urażona.

- Bardzo nie chcę pani urazić, *mademoiselle*. On zostanie stąd wyrzucony, ponieważ złamał reguły. Najpierw zaś dostanie baty za to, że podniósł na panią rękę. Jeśli pani sobie życzy, może się temu przyjrzeć.

- Nie chcę oglądać takich okropności.

- Bardzo różni się pani pod tym względem od większości obecnych tu kobiet, w tym także pani matki. One przyglądałyby się z upodobaniem wymierzaniu kary.

- Czy pan osobiście będzie go karał?

- Muszę jakoś utrzymywać sprawność. Pani matki raczej nie ma w tym pokoju, ale nie chciałbym jej przegapić z powodu źle rozumianego poczucia przyzwoitości. - Podniósł głos. - Czy jest tutaj lady Caroline Harriman?

Nie odpowiedziano mu, rozległy się tylko stłumione odgłosy, których Elinor nie umiałaby opisać. Przejęta nieodpartą ciekawością, spróbowała zdjąć fular.

- Pani nie będzie chciała na to patrzeć, daję słowo.

Hrabia zniweczył jej zamiar w zarodku. W tym kręgu najprawdopodobniej dawano swobodny upust żądzy.

- Nie ma jej tutaj - powiedziała Elinor.

W ciągu ostatniego roku jej matka wyzbyła się wcześniejszej obsesji cielesnych rozkoszy i zamiast tego rzuciła się w szpony hazardu. Prawdę mówiąc, niewielu ludzi rozpoznałoby w niej dawną piękność, niewielu też zaryzykowałoby zdrowie. Zresztą nawet gdyby w mroku nie zauważyli oszpeconej skóry, mogli lepiej wybrać spośród obecnych tu kobiet.

- Czy możemy iść dalej? - spytała Elinor.

W odpowiedzi Rohan pchnął ją lekko naprzód. Dziwnie się czuła, gdy szła przez mrok w towarzystwie króla piekieł. Prawdę mówiąc, plotki, jakie słyszała o Rohanie, dotąd się nie potwierdziły. Nie zrobił jej przecież nic złego, a nawet próbował pomóc. Mimo to nie czuła się pewnie. Usłyszała skrzypienie drzwi, ale jej towarzysz stał teraz w miejscu. Najwyraźniej drzwi otworzył ktoś ze służby.

- Gniecie mi pani koszulę - szepnął jej nagle do ucha. - Proszę tak kurczowo nie zaciskać palców. Nie pozwolę wyrządzić pani krzywdy, obiecuję.

- Spieszę się - powiedziała z nadzieją, że zabrzmiało to spokojnie i rzeczowo.

- Dlaczego?

- Musimy zwrócić powóz... - Pożałowała tych słów, gdy tylko wyrwały jej się z ust.

- Ciekawe. Nie wygląda pani na osobę, którą stać na utrzymanie powozu w Paryżu. Myślę również, że nie stać pani na wynajem. Skąd więc ten powóz? Ukradła pani?

- Niezupełnie. To urocze, że pan posądza mnie o taką pomysłowość, ale nie mogłabym pójść do gospody, udać woźnicy i odjechać w dal.

- Jestem pod wrażeniem pani pomysłowości, panno Harriman. Tego jednak rzeczywiście nie mogła pani dokonać sama. Ktoś musiał pomóc. - Nagle ją puścił. - Proszę poczekać chwilę.

Omam nie krzyknęła: „Proszę mnie nie zostawiać!”. Stała z zasłoniętymi oczami, pośrodku pokoju pełnego ludzi. Usłyszała chrzęst rzucanych kości. Może jest tu matka. Zsunęła fular z oczu. Część obecnych rzeczywiście oddawała się hazardowi, niektórzy nawet w odzieniu, acz niekompletnym. Dostrzegła też splecione w uścisku pary na kanapach w głębi.

Nagle fular wrócił na poprzednie miejsce, odcinając ją od gorszących widoków.

- Pani jest bardzo nieposłuszną istotą, prawda?

- Przecież nie odeszłam. Poza tym gdybym była posłuszna, spokojnie czekałabym w domu na powrót matki, choć życie nauczyło mnie, że można na to czekać bardzo długo.

- Odesłałem pani służącego razem z zagarniętym powozem - oświadczył Rohan. - Przy odrobinie szczęścia uda mu się zwrócić ten pojazd, zanim ktokolwiek zauważy brak. Zakładam, że pani stangret wybrał tę część miasta, licząc, że łatwiej bezkarnie dokonać zaboru, ale stanowczo powinien był kłusować bliżej pani domu. Otoczenie Rue du Pélican nie nadaje się dla młodej damy, a powozy, jakie można tam znaleźć, są szalenie niewygodne.

- A jak się panu wydaje, gdzie mieszkam, hrabio? Nasze życie jest dostatecznie rozpaczliwe bez pańskich kpin. - Cieszyła się, że wreszcie wyrzuciła to z siebie, było w tym coś wyzwalającego. Męczyła ją konieczność ciągłego stwarzania pozorów. - Poza tym ciekawa jestem, czym wrócę do domu, kiedy już znajdę matkę.

- Osobiście załatwię powóz dla niej. Tymczasem jednak znalazłem St. Philippe'a. Powinien udzielić potrzebnych informacji.

- Załatwi pan powóz dla niej? - powtórzyła Elinor, jednak nic więcej nie dodała, bo ruszyli dalej.

Tu na szczęście ludzie byli prawdopodobnie zbyt zajęci sobą, by zwracać uwagę na przechodzących, w każdym razie zaczepki się skończyły.

- Ile jest tych piekielnych kręgów? - spytała, gdy otwarto przed nimi następne drzwi.

- Dziewięć, moje dziecko. Nie pamięta pani? Zaczynam się zastanawiać, czy to nie podstęp. Może przyszła pani tutaj z własnej inicjatywy pod byle jakim pretekstem.

- Czemu miałabym to zrobić? - spytała zdziwiona.

- Może żeby upolować męża? Albo przynajmniej zapewnić sobie pieniądze? Nie jest pani dostatecznie ładna, żeby zostać dziwką, ale może usłyszała gdzieś, że w Zastępach Niebieskich bardziej ceni się niewinność niż urodę.

To nie powinno było sprawić jej przykrości. Urodą rzeczywiście nie grzeszyła, a w dodatku miała niewyparzony język, już dawno więc pogodziła się z tym, że czeka ją staropanieństwo. Jednak wypowiedziana z takim lekceważeniem bezlitosna opinia Francisa Rohana zraniła ją do żywego.

- Czy zadawanie bólu sprawia panu przyjemność, milordzie? - spytała chłodno.

- Czasami - odpowiedział po dłuższej chwili. - Bywa, że ranienie innych i wystawianie się na ich ciosy jest jedynym sposobem, aby obudzić w sobie jakiegokolwiek uczucia.

- Proszę wobec tego przyjąć do wiadomości, że ja w tej grze nie biorę udziału. Z pewnością znajdzie pan tutaj dosyć ludzi, którzy z przyjemnością pozwolą się panu obrażać i ranić.

- Uraziłem panią? Zareagowała pani całkiem rzeczowo.

- Byłabym głupia, gdybym pozwoliła się urazić takim drobiazgiem.

- Ciekawe z pani dziecko, panno Harriman.

- Nie jestem dzieckiem, mam dwadzieścia trzy lata.

- Wspaniały wiek - zakpił hrabia. - Mimo to z mojego punktu widzenia jest pani bardzo młoda.

Chciała się uwolnić, ale wciągnął ją do następnego pokoju. Tu z kolei panował nieznośny upał. Słychać było szelest kart i chrzęst kości. Musiały się toczyć gry o wysoką stawkę. Tym razem Rohan zawczasu powstrzymał jej próby ściągnięcia opaski z oczu, mocno ujmując ją za nadgarstki.

- St. Philippe! - zawołał.

- *Monseigneur?* - zabrzmiała dość bełkotliwa odpowiedź.

- Zwrócono mi uwagę, że sprowadziłeś tu nieproszonego gościa. Gdzie ona jest?

- Nie wiem, o kim...

- Gdzie ona jest? - powtórzył Rohan, a choć nie podniósł głosu, w pokoju zapanowała cisza.

- Poszła - odparł St. Philippe. - Miała niewiele pieniędzy, a gdy je przepuściła, nikt nie chciał udzielić jej kredytu. Na pewno leży na sianie w stajni i próbuje zarobić na powrót do Paryża.

Elinor mimo woli się wzdrygnęła. To była katastrofa. Chciała się wyrwać Rohanowi, lecz wzmocnił uścisk, więc przestała próbować.

- Rozczarowujesz mnie, Justin - powiedział spokojnie. - Może ubierzesz się i spotkasz ze mną w antykamerze? Za kilka minut.

- Naturalnie, *monseigneur*.

Rohan puścił nadgarstki Elinor, ale objął ją w talii.

- Wobec tego zabieram ze sobą moją nagrodę oznajmił z niejakim zadowoleniem. - Reszta może robić dalej to, co robiła.

- Nie... - zaczęła Elinor, ale pociągnął ją za sobą tak szybko, że słowa zamarły jej na wargach.

Spodziewała się, że zostanie odprowadzona tą samą drogą, którą przyszli, ale chwilę potem weszli w kompletną ciemność, gdzie wszelkie odgłosy nagle ucichły.

Rohan zsunął jej fular z oczu. Znajdowali się w korytarzu oświetlonym jedynie łuczycami. Hrabia ją puścił i pierwszy raz od dłuższego czasu poczuła, że może normalnie odetchnąć.

- Problem rozwiązany - powiedział. - Lady Caroline rzeczywiście tu jest. Wkrótce zostanie znaleziona, moja służba tym się zajmie. Pani tymczasem poczeka tam, gdzie ją zaprowadzę.

Popatrzyła na niego nieufnie.

- Mogłabym iść z pańską służbą...

- Nie. Słyszała pani St. Philippe'a. Nie sposób przewidzieć, w jakim stanie jest ta kobieta. Mam nadzieję, że nie zaraziła mi połowy służących. Trudno teraz o dobrego stangreta.

Eleanor zachnęła się.

- Niech pan nie opowiada nonsensów.

- Pani matka, dziecko, ma chorobę francuską. Tutaj nazywamy tę chorobę hiszpańską. - Wzruszył ramionami. - A może nawet angielską. Tak czy inaczej pani matka umrze w ataku szału i sędzę, że oboje świetnie o tym wiemy. Mogę ewentualnie w ramach przysługi polecić, aby zrzuciono ją z najbliższego klifu.

- Żarty na ten temat są wyjątkowo niesmaczne - odparła sztywno Elinor.

- Dlaczego uważa pani, że żartuję?

Ledwie widziała jego twarz w słabo oświetlonym przejściu.

- Popełniłam omyłkę, zakładając, że jest pan odpowiedzialnym człowiekiem - stwierdziła.

- Wielkie nieba, to bardzo poważna omyłka. W każdym razie, czekając na matkę, przekona się pani, że mam bardzo angielską gospodynię, która zadba o wygodę.

Podał jej ramię, ale nie skorzystała. Nie była przyzwyczajona do dotykania mężczyzn i do tak intymnych sytuacji.

- Bez pomocy może pani łatwo poślizgnąć się w tych ciemnościach i złamać nogę, a jaki byłby z tego pożytek dla pańskiej matki? - spytał znużonym tonem. - Ten korytarz prowadzi do prywatnego skrzydła pałacu i jest rzadko używany. Być może biegają tu szczury.

Natychmiast skapitulowała, pocieszając się, że poprzestała na położeniu mu ręki na ramieniu, choć miała szczerą ochotę pokonać resztę drogi na barana. Szczurów panicznie się bała.

- Chodźmy. - Elinor usiłowała zapanować nad drżeniem ciała.

Wyobrażenia podsuwała jej obrazy gryzoni wskakujących na jej spódnicę.

- Wnoszę, że nie przepada pani za szczurami - powiedział Rohan, ciągnąc ją za sobą korytarzem.

- Nie, ale kto przepada?

- Szczury są, rzecz jasna, całkiem zwyczajnymi stworzeniami, ale pani...

- Czy moglibyśmy porozmawiać o czymś innym? - Przestała ukrywać obrzydzenie.

- Porozmawiajmy więc o pani planach na przyszłość. Co zamierza pani robić, kiedy matka straci rozum i umrze?

Nie był to temat dużo lepszy niż szczury, ale zdecydowała się go podjąć.

- Nawet nie wiem, co będę robiła w przyszłym tygodniu - wyznała.

Nie było to zbyt rozsądne, ale odwaga całkiem ją opuściła.

Na chwilę zrobiło się jaśniej, gdy ktoś otworzył drzwi, zaraz jednak wrócił mrok. W nozdrza uderzył ją silny zapach perfum. Ujrzała dwie postaci, które wtargnęły do korytarza.

- Spodziewałem się, że cię tu zastanę, Francis - powiedział mężczyzna, przyglądając się Elinor spod przymkniętych powiek. To był człowiek z blizną, którego spotkała zaraz po przyjeździe do pałacu. - Veronique ma dla ciebie propozycję, a ja obiecałem jej, że pomogę cię znaleźć.

- Jaką propozycję? - spytał Rohan.

- Chodzi o tę małą szwaczkę - odezwała się schrypniętym głosem kobieta. - Doskonale wiesz, Francis, że to najbardziej apetyczny kąsek, jaki pojawił się od dłuższego czasu na naszych przyjęciach, nie oczekujesz więc chyba od nas, że nie będziemy jej zauważać. To urągałoby rozsądkowi.

- Veronique, czy ja robię na tobie wrażenie rozsądnego człowieka?

- Ja też jestem nierozsądna. Potrafię mocno zależeć za skórę, jeśli czuję się zagrożona.

Elinor odruchowo przysunęła się do Rohana i mocniej zacisnęła palce na jego ramieniu.

- Co właściwie proponujesz? - zainteresował się hrabia.

- Próbowałem zająć Veronique moimi skromnymi wdziękami - wtrącił mężczyzna - ale ona upiera się, że dzisiejszego wieczoru pożąda kobiety.

- Czyli Veronique dostanie dziewczynę, a ja ciebie? Nie wydaje mi się to uczciwą transakcją.

Mężczyzna z blizną spojrział nieufnie na Elinor.

- Ona nas nie rozumie, prawda?

Jej francuszczyzna była koszmarna.

- Jeśli sądzić po jej minie, rozumie nas aż za dobrze. Myślę jednak, że muszę odmówić sobie przyjemności dotrzymywania wam towarzystwa.

To była odprawa.

- Kiedy z nią skończysz, Francis? - spytała kobieta, pozerając wzrokiem Elinor. - Miałabym świetną zabawę, szkoląc tę zabląkaną owieczkę.

- Obawiam się, że musisz znaleźć inną zabląkaną owieczkę. Znasz przecież dewizę Rohanów: „To, co mam, zatrzymuję”. Reading poszuka ci innego niewiniątka.

Veronique cisnęła ordynarne przekleństwo i odeszła. Reading pozostał jeszcze chwilę przy nich.

- Lepiej uważaj, Francis - powiedział.

- Nie boję się Veronique.

- To nie jej powinieneś się bać.

Chwilę później znów mignęło światło i zostali sami.

- Jak się przekonałaś, gołąbeczko, są tu stworzenia dużo gorsze niż szczury.

- Przecież jest pan znany jako „król piekiel”, hrabio - odparła. - Czegóż innego miałabym spodziewać się po pańskich gościach?

Roześmiał się, ale wyczuła, że go zirytowała.

- Następnym razem, gdy będzie chciała pani mnie obrażać, proszę wziąć pod uwagę, przed czym ją uchroniłem. Veronique nie traktuje dziewcząt delikatnie.

- Jestem bardzo wdzięczna - powiedziała z fałszywą słodyczą Elinor.

- To oczywiste, moja droga. Niestety, życzę sobie, aby również okazała mi pani wdzięczność, zanim ją wypuszczę. Wystarczy mała oznaka przychylności.

- Słucham?!

W miejscu, do którego doszli, wyrosła przed nimi ślepa ściana. Reszta korytarza nikła w ciemnościach. Uciekły też przenikające z zewnątrz odgłosy. Nagle hrabia przycisnął Elinor do ściany. Znalazła się w potrzasku. Mogła tylko czekać, kiedy zostanie wypuszczona. Musiała jakoś wytrzymać. Zamknęła oczy i znieruchomiała. Poczowała dotyk ust Rohana na szyi i przeszył ją dreszcz. Wytrzymaj, powtórzyła w myślach, starając się oddychać w normalnym rytmie.

Tymczasem on przesunął dłonie z jej ramion niżej i zaczął głaskać ją w miejscu, gdzie można było łatwo wyczuć jej gorączkowy puls.

- Och, dziecko - szepnął. - Gdybyś ty kłamała...

Chwilę potem odsunął się. Wiedziała, że powinna skorzystać z okazji i rzucić się do ucieczki, postanowiła jednak poczekać, aż jej zmysły wrócą do równowagi.

- Nie kłamię, *monsieur*.

- Niestety - przyznał. - Miałem nadzieję, że bardziej przypominasz swoją drogą matkę i po prostu skorzystałaś z okazji do znalezienia sobie protektora, tak jak w swoim czasie chętnie robiła to lady Caroline. Jesteś niewinna i chciałabyś uczestniczyć w naszych bezbożnych rozkoszach mniej więcej tak, jak zostać świętą męczennicą.

- Już wolałabym szczury - wyznała szczerze Elinor.

- Dziecko, rozbrazasz mnie. Gdyby zdarzyło mi się kiedyś, że chciałbym uwieść kobietę, powiem jej, że wolę to od szczurów.

- Dlaczego sądzi pan, że to mu się nie zdarzy?

- Nie muszę się wysilać. Same do mnie przychodzą.

- To nudne - stwierdziła.

- Owszem.

Sięgnął za jej plecy. Otworzyły się za nią drzwi, przez które została przeprowadzona. Zdawało jej się, że wkracza do innego świata. Salonik był ogrzany i przytulny. Na kominku płonął ogień, ściany były obite bladozielonym jedwabiem, a

meble wyglądały bardzo solidnie. Nie było śladu biesiadników ani tym bardziej oznak jakiegokolwiek ostentacji. Taki salon mógł należeć do każdej statecznej rodziny w Anglii.

- Jest fotel przy kominku - odezwał się Rohan, gdy odsunęła się od niego.

- To nie jest pana miejsce?

- Bardzo mnie boli, że muszę panią tutaj zostawić, ale mam inne obowiązki, a poza tym trwa biesiada, której jestem gospodarzem. Goście zaczną się zastanawiać, dokąd poszedłem.

- A ja muszę wrócić do domu. Moja matka...

- Kiedy służba znajdzie pani matkę, zostanie odwieziona wygodnym powozem do Paryża. Pani odjedzie wkrótce potem i nie będzie musiała nigdy więcej mnie oglądać.

- Wolałabym pojechać z matką.

- Ja wolałbym, żeby pani pojechała później. I czyje będzie górą, jak pani sądzi?

Omam nie wspomniała o umierającej ze zmartwienia Lydii. Jednak nie wolno było tego zrobić. Ci ludzie nie mogli się dowiedzieć o jej istnieniu.

- Nigdy więcej? Spełnia pan moje najśmielsze marzenia.

- Jeśli to są pani najśmielsze marzenia, stanowczo zalecam popracować nad wyobraźnią. Przyjdzie tutaj pani Clarke. Proszę się tymczasem ogrzać.

Elinor podeszła prosto do wskazanego fotela. Okazał się jeszcze wygodniejszy, niż się spodziewała. Zapadła się w głąb i mimo woli westchnęła z zachwytu. Dla równowagi zerknęła więc ku miejscu, gdzie ostatnio stał gospodarz, żeby wypowiedzieć jakąś kwaśną uwagę.

Ale Rohana nie było.

Rozdział czwarty

Pozostawiona samej sobie, Elinor usadowiła się wygodnie w fotelu. Bywała już w takich pokojach jak ten, kiedy mieszkali w Anglii. Ciepłych, przytulnych, z ogniem płonącym na kominku i swojskimi, zniszczonymi meblami.

To naturalnie nie miało najmniejszego sensu. Złej sławy Francis Rohan był bogaty jak Krezus, o czym świadczył przepych pozostałej części rezydencji. Tymczasem tutaj czerwony adamaszek, którym była obita kanapa, był miejscami przetarty, a podłogę przecinały rysy. Znów wydało jej się, że trafiła do snu, tylko innego niż wcześniej. Zwłaszcza że po kilku minutach pojawiła się przed nią pulchna zjawa.

- O, tu siedzisz, moja miła - powiedziała. - Nazywam się Clarke, jestem gospodynią. Wygląda mi pani na bardzo zmęczoną. Nic dziwnego, skoro tyle się naszukała. Pan Willis prosił, abym przekazała, że pani matka została znaleziona, wszystko jest w najlepszym porządku, a pan Reading odwiezie ją do domu.

Elinor z trudem wstała.

- Muszę do nich dołączyć.

- Już odjechali. Dostaliśmy wyraźne polecenia od pana hrabiego. Ma pani odpocząć, a potem wrócić do domu wygodnym powozem. Pani matce nic nie grozi. Pan Reading jest porządnym człowiekiem, mimo że zadaje się z tym towarzystwem.

Kobieta wyglądała jak młodsza siostra niani Maude. Doskonale pasowałaby do każdego angielskiego domu, ale tu wydawała się nie na miejscu.

- Przecież muszę...

- Wiem, moja miła. Niech pani posiedzi i odpocznie, a ja obiecuję, że wszystko będzie dobrze. Och, jeszcze ma pani na sobie narzutkę? O czym ten człowiek myśli?! Przecież pada na dworze, pani cała przemokła i zmarzła na kość.

Zanim Elinor zdążyła zareagować, pani Clarke ściągnęła jej narzutkę i chustę, po czym ostrożnie rozłożyła jedno i drugie przy ogniu.

- Moja matka...

- Tylko proszę go nie bronić - przerwała jej gospodyni. - To jest słodki chłopak, ale czasami bywa bezmyślny. Ojej, trzewiki też ma pani przemoknięte.

Cmokając z niezadowoleniem, pochyliła się, by rozwiązać sznurowadła.

- Wcale nie...

Elinor próbowała wyjaśnić, że nie zamierza bronić Rohana, ale właśnie w tej chwili dotarło do niej znaczenie słów pani Clarke.

- Pani musi być w błędzie - powiedziała, usiłując odsunąć nogę. - Przyprowadził mnie tutaj hrabia de Giverney.

- No właśnie. Ja go wychowałam. Przyjechał z Anglii po tym, jak skazali go na banicję, i mam go pod opieką.

Ściągnęła z nóg Elinor oba trzewiki i postawiła je przy ogniu. Na pewno zauważyła, że są bardzo zniszczone i ciasne, ale nie powiedziała na ten temat ani słowa. Obeszła się z nimi tak, jakby były pantofelkami królowej. Gdy skończyła, zmierzyła Elinor wzrokiem.

- Trzeba przynieść pani gorącej herbaty i jakąś przekąskę.

- Nie zabawię długo - odparła stanowczo Elinor, choć niewiele jej brakowało, by zemdleć z wycieńczenia.

Pani Clarke była głucha na sprzeciwy, podobnie jak jej chlebodawca.

- To potrwa minutkę, nie dłużej. Proszę posiedzieć i się rozgrzać. Kucharz panicza Francisa jest przemądrzałym Francuzem, ale umie zrobić grzanekę z cynamonem i zaparzyć dobrej, mocnej herbaty. Tymczasem, panno Harriman, najbardziej potrzeba pani odpoczynku.

Elinor nie pamiętała, kiedy ostatnio przespała bez przeszkód całą noc. Matka miała skłonność do wędrówek. W zeszłym tygodniu dotarła dwie ulice dalej od ich kamienicy, ubrana jedynie w nocną koszulę. Bełkotała przy tym coś o spóźnieniu na przyjęcie. Elinor sprowadziła ją do domu i resztę nocy spędziła skulona w rogu łóżka chorej.

Pani Clarke wkrótce wróciła. W pokoju rozszedł się zapach cynamonu i masła.

- Proszę bardzo - powiedziała, stawiając energicznie tacę przed Elinor. - Dobrze tu pani, prawda? Zaraz znajdę jakieś okrycie. Wprawdzie ogień jest duży, ale wygląda pani tak, jakby była o krok od przeziębienia.

Temu nie mogła zaprzeczyć. Moment później została troskliwie otulana eleganckim kaszmirowym szlafrokiem.

- Biedactwo - użalała się nad Elinor dobroduszną pani Clarke. - Widzę, że muszę zapomnieć o manierach i usiąść obok pani. Ktoś musi przecież nalać herbaty do filiżanki, bo pani nie ma siły. Zresztą panicz Francis nigdy nie przejmował się konwenansami. - Przysiadła na krześle obok i zręcznie zdjęła babę z glinianego czajniczka. - Znajomo wygląda, prawda? - spytała, napełniając filiżankę parującym naparem. - Zabrałam ten czajniczek, kiedy wyjeżdżałam z Anglii, bo pomyślałam, że panicz Francis będzie chciał mieć pamiątkę z domu. Był wtedy bardzo młody i stracił wszystko: rodzinę, dom, ojczyznę.

Elinor nie zamierzała się dopytywać o szczegóły. Słyszała plotki na ten temat, ale zmienne losy arystokratycznej angielskiej emigracji w Paryżu nieszczerze ją interesowały.

- No tak - mruknęła.

- Nie chce pani o nim rozmawiać - podjęła niezrażona tym pani Clarke. - Nawet to rozumiem. Z niego rzeczywiście jest niezgorszy hultaj, ale ma swoje powody.

- Nie przychodzi mi na myśl ani jeden, który mógłby usprawiedliwiać jego... - Elinor zamierzała powiedzieć „występność”, lecz uznała, że nie byłoby to rozsądne. - Jego zachowanie.

- Nie dziwię się. Po prostu jest pani za młoda, żeby pamiętać. - Musiała uznać, że dość już tego tematu. - Ogrzejemy panią, nakarmimy i wyprawimy z powrotem do domu - orzekła gospodyni.

Co sprawiło, że Rohan wbrew własnej woli opuścił Anglię? Jakiś skandal? Mniejsza o to, uznała Elinor. To nie jej sprawa.

- Wygląda mi pani na osobę, która pije herbatę bez mleka - ciągnęła pani Clarke - Wydaje mi się jednak, że akurat teraz potrzeba czegoś krzepiącego.

Elinor zrezygnowała z dodatków do herbaty już ponad rok temu, twierdząc, że chce lepiej czuć smak naparu. Tak naprawdę jednak śmietankę i cukier, jeśli akurat mieli je za co kupić, przeznaczała dla Lydii. Herbata podana przez panią Clarke wydała jej się więc prawdziwą ambrozją, tym bardziej że pijąc ją, niczego nie odbierała siostrze.

- Muszę przynieść jeszcze jedno okrycie - zdecydowała gospodyni, wstając. - Nie wiem, co mnie naszło. Tak dawno nie doglądałam prawdziwej angielskiej młodej damy, że mówię stanowczo za dużo.

- Nie tęskni pani za Anglią?

- Tęsknię, moje dziecko, nie może być inaczej. Jednak nie opuściłabym panicza Francisa. W każdym razie na pewno nie zrobię tego, póki panicz nie skończy z tymi niemądrymi zabawami i nie ustatkuje się w małżeństwie.

- Zdaje mi się, że Zastępy Niebieskie zbierają się tutaj już od wielu lat - powiedziała Elinor. To też wiedziała z plotek. - Może powinna jednak pani zrezygnować z czekania.

- Nedorzecznosc - oświadczyła stanowczo pani Clarke. - Proszę zjeść grzanek, moja miła. Zaraz wrócę.

Cienkie grzanki posypane cynamonem były pyszne. Jednak Elinor zanadto zgłodniała, by rozkoszować się ich smakiem, i pochłoneła je w okamgnieniu. Zamknęła oczy, wciąż trzymając w dłoni filiżankę. Stare, delikatne naczynie z cieniutkiej porcelany naznaczonej siateczką drobnych pęknięć wewnątrz. Było częścią tego magicznego świata, w którym Elinor czuła się bezpieczna. Nie było tu tracących zmysły matek ani młodszych sióstr, służby, którą trzeba nakarmić, a przede wszystkim nie było Francisa Rohana.

Usłyszała trzask otwieranych drzwi i poczuła, że ktoś wyjmuje jej filiżankę z dłoni. Powinna była otworzyć oczy, zażądać, by natychmiast odwieziono ją do domu, lecz zabrakło jej siły. Uznała, że jeśli jeszcze trochę odpocznie, niczego to nie zmieni. Po powrocie zastanie matkę w stanie kompletnego odrętwienia, więc przez kilka dni będzie spokój. Pomyślała jeszcze, że w najbliższym czasie będzie się musiała martwić jedynie o to, co dalej robić.

Wyjął jej filiżankę z ręki i odstawił na niedużą tackę. Pani Clarke nieufnie się mu przyglądała. Znała go od dzieciństwa. Była jedyną osobą na świecie, która wiedziała o wszystkich jego wadach, przejawach próżności i karygodnych nałogach. Mimo to kochała go miłością rodzicielki, której z trudem starcza cierpliwości, by znosić wybryki syna.

Prawdę mówiąc, nie była dużo starsza od niego. Do służby wstąpiła, mając dwanaście lat, i niemal od razu polecono jej się zająć najmłodszym synem wicehrabiego Rohana, Francisem. Chorowitym, humorzystycznym chłopcem początkowo opiekowała się Polly Siddons, okazało się jednak, że dwunastolatka radzi sobie z tym znacznie lepiej. Od tej pory była z nim stale, a po klęsce 1746 roku pojechała z nim do Paryża.

- I co pan robi z tą młodą damą? - spytała groźnie pani Clarke. - Skoro przyprowadził ją pan tutaj, to oboje dobrze wiemy, że nie należy do pańskich ślicznotek.

- To prawda - przyznał. - Odeślę ją do domu całą i zdrową, a w dodatku nietkniętą. Jest pani moją gospodynią dostatecznie długo, by wiedzieć, że nie znajduję upodobania w niewinnych pannach. Poza tym ona nie jest w moim guście, prawda? Przykładam dużą wagę do urody.

- To są reguły z innej części pałacu, paniczu. Tych pokoiów to nie dotyczy. Tu panicz jest skłonny bardziej niż gdzie indziej doceniać to, co naprawdę ma wartość. Dlatego nie podoba mi się obecność tej panny.

Mnie się podoba, pomyślał zaskoczony.

- Proszę się nie martwić, pani Clarke. Odjedzie do swojej niewydarzonej rodziny natychmiast, gdy tylko się zbudzi.

- Biedaczka była śmiertelnie zmęczona - powiedziała gospodyni. - Należy jej się odpoczynek. Niech pan jej nie dręczy.

- Nie będę - zapewnił. - Sam się zdrzemnę. Podejrzewam, że po przebudzeniu będzie chciała mnie zbić pogrzebaczem, ale jestem gotów zaryzykować. Może pani się położyć.

Gospodyni przesłała mu powątpiewające spojrzenie, które zawsze wywoływało u niego poczucie, że znów ma dwanaście lat, ale w końcu skinęła głową.

- Tylko proszę porządnie się zachowywać, paniczu. Ta panna ma dość kłopotów na głowie. Nie potrzebuje dodatkowych komplikacji.

- Niech pani okaże mi trochę zaufania - powiedział, kierując się ku niewielkiej kanapie. - Chcę tylko ułatwić jej życie.

Pani Clarke pokręciła głową, ale odeszła. W pokoju było słyhać trzask ognia w kominku, deszcz bębniący o szyby i spokojny, rytmiczny oddech panny Harriman.

Kanapa nie była wygodna, ale wystarczyła, by go pomieścić. Pamiętał z młodych lat, że gdy sypiał na tej samej kanapie w domu ojca w Yorkshire, wydawała mu się niesłychanie elegancka.

Biednie ubrana panna, na którą spoglądał, nie zadziwiła urodą. Zaletami ciała z pewnością nie mogła konkurować z Marianne. Mimo to jej twarz była interesująca. Drobne skupiska piegów, które zauważył na policzkach, bardzo mu się podobały. Usta wyglądały kusząco, zapraszały do pocałunków, których z pewnością dotąd nie zaznały wielu. Był jeszcze nos. Wąski i szlachetny długością przekraczał kanony piękna tylko nieznacznie. Co więcej, też był na swój sposób atrakcyjny. Z modnym noskiem guziczkiem ta sama twarz wydawałaby się nieciekawa.

Mógł powierzyć Elinor opiece Readinga. Z pewnością wolałaby odjechać do Paryża tym samym powozem, co jej kompletnie pijana matka. Zatrzymał ją również dlatego, że lady Caroline zachowywała się dość wojowniczo i musiał dać jej do towarzystwa dwóch krzepkich lokajów, aby nie sprawiała kłopotów Readingowi. Lepiej, żeby ta surowa młoda dama wróciła do domu, gdy jej matka zostanie okiełznana. Dla pełnego bezpieczeństwa polecił Readingowi, aby jeden z lokajów został u Harrimanów do czasu, aż domownicy uznają, że dadzą sobie radę z lady Caroline.

Nie było zresztą pewne, czy w ogóle można na to liczyć. Widział, jak przeklinała lokajów i próbowała ich dosięgnąć pięściami. Syfilis odebrał jej rozum i dla wszystkich byłoby najlepiej, żeby zeszła z tego świata. Zastanawiał się nawet, czy jej w tym pomóc. Ta sekutnica miała z nim w przeszłości niewiele wspólnego, więc nikt nie podejrzewałby, że stoi za jej śmiercią. Policja w Paryżu słynęła z lenistwa. Śmierć arystokratki na emigracji nie wywołałaby większego poruszenia niż inne podobne zdarzenia. Poza tym w jego domu przy Rue Saint-Honoré pozwalano mu robić, co tylko chciał. Inna sprawa, że nikt tam dotąd nie umarł, przynajmniej o ile było mu wiadomo.

Doszedł do wniosku, że swoje nieoczekiwane skłonności charytatywne powinien tymczasem powściągnąć. Życie panny Harriman mogło być nie do zniesienia, ale nie do niego należało zmieniać je na lepsze, a tym bardziej usuwać z niego przeszkody. Tymczasem czekała go nie lada gratka, spanie z najprawdziwszą dziewczyną. Bawiła go myśl, że panna Harriman będzie na niego pomstować. Nie zapomni do końca życia, że

spędzili noc obok siebie niemal na wyciągnięcie ręki, choć naturalnie do niczego nie doszło. Z tą myślą zamknął oczy. Gdy zasypiał, na wargach błąkał mu się złośliwy uśmiech.

Minęła piąta rano, a Lydia Harriman wciąż czuwała. Wprawdzie w nocy położyła się do łóżka, ale spędziła trzy okropne godziny, przewracając się z boku na bok, w końcu więc skapitulowała, wstała i znów się ubrała.

Zniknięcie matki nie było niczym niezwykłym, lady Caroline opuszczała dom czasem nawet na kilka dni i nie było na to rady. Ostatnio jednak jej stan się pogorszył. W rozmowach matka coraz częściej podnosiła głos i przeklinała, a jej oczy przybierały dziwny wyraz. Nieustannie skarżyła się, że jest jej zimno nawet przy rozpalonym ogniu. Gdy dostawała napadu wściekłości, trzeba było przywiązywać ją do łóżka, żeby nie zrobiła sobie krzywdy. Zresztą, była wtedy groźna również dla otoczenia. Niania na wszelki wypadek trzymała wszystkie noże pod kluczem. Lydia pragnęła czasem, żeby z następnej eskapady matka po prostu nie wróciła.

Tym razem zaginęła również Elinor.

Świt wyglądał złowieszczo. Lydia starała się nie dokładać zbyt wiele drewna do ognia. Nie wiadomo, na jak długo będą musiały im starczyć te resztki, które mieli. Elinor próbowała chronić ją przed złymi wiadomościami, a Lydia była gotowa udawać, że o niczym nie wie, jeśli tylko siostrze dodawało to otuchy. Elinor zawsze miała cechy przywódcze w najlepszym tego słowa znaczeniu, więc naturalnie nie chciała słyszeć o tym, że Lydia mogłaby dźwigać część ciężaru. Wprawdzie sytuacja wymknęła im się spod kontroli już wiele miesięcy temu, ale to niczego nie zmieniło.

Gdy usłyszała hałas w kuchni, rzuciła się w tę stronę, omal nie przewracając krzesła. Najpierw spotkała nianię w szlafroku i czepku. Zaraz potem wszedł Jacobs, ale sam.

- Gdzie reszta, ty stary głupku? - spytała Maude, zanim Lydia zdążyła otworzyć usta.

Stangret zwiesił głowę.

- Pojechaliśmy za miasto, aż do piekielnej siedziby tego diabła. - Zwrócił się do Lydii. - Nie dało się jej powstrzymać. Odeszła, a mnie nie wpuścili. Próbowałem walczyć, ale ich było dużo. I co ja, stary, mogłem im zrobić? Już nie ta siła co kiedyś.

- Rozumiemy - powiedziała uspokajającym tonem Lydia.

- Mnie nikt by nie powstrzymał - oświadczyła zajadle niania. - Jesteś głupcem i tchórzem.

- Takiej megiery jak ty nikt nie ważyłby się tknąć, ty stara, zbzikowana babo - odpalił i wieczny spór rozgorzał.

- Przestańcie natychmiast! - przerwała im Lydia. - Jacobs, wciąż mi nie powiedziałeś, gdzie one są. W pałacu tego człowieka?

- Tak - potwierdził. - Matka panienki pojechała grać w karty. Byłem pod pałacem niecałą godzinę i przez cały czas próbowałem dostać się do środka. W końcu sami przyszli po mnie. Powiedzieli, żebym zabierał powóz i wracał do miasta, a matka i siostra panienki przyjadą potem.

- Jaki powóz?

Jacobs, który już wcześniej wydawał się zakłopotany, teraz zapomniał języka w gębie.

- Powóz... tak... właśnie chciałem powiedzieć... powóz... - Odchrząknął. - Musiałem pożyczyć powóz.

- Musiałeś ukraść powóz - poprawiła go Lydia. - Nic się nie stało, Jacobs. Wiem, że robiłeś to już wcześniej. Czy przynajmniej udało ci się odstawić powóz tak, żeby nikt nie zauważył?

- Niezupełnie, panno Lydio, ale zdążyłem uciec. Hałasu o to na pewno nie będzie, bo przecież wszystko jest znowu na miejscu.

- Nie ma tylko mojej matki i siostry.

- Ludzie hrabiego obiecali mi, że one przyjadą do domu eleganckim ekwipażem i że będzie im wygodniej.

- Musisz ukraść jeszcze jeden powóz, Jacobs. Zaraz tam pojedę.

- Jest już dzień, panienko. Nie mogę tego zrobić.

- Wobec tego pójdę piechotą - oświadczyła zdecydowanie Lydia. - Nie zamierzam siedzieć z założonymi rękami, kiedy moja rodzina...

Urwała, słysząc hałas na schodach. Pobiegnęła do sieni i otworzyła drzwi na oścież.

- Och, Nell, tak się o ciebie martwiłam!

Głos uwiązał jej w gardle, gdy przekonała się, że na progu stoi mężczyzna. Jego twarzy właściwie nie widziała, bo okrywał ją cień sieni, on za to z pewnością mógł obejrzeć ją dokładnie.

- Obawiam się, że to nie Nell. - Miał niski, dźwięczny głos i angielski akcent. Był jak żywe wspomnienie dawnych czasów. - Rozumiem, że pani jest jej siostrą. Przywiozłem pani matkę. Będę zobowiązany, jeśli pokaże mi pani, gdzie moi ludzie mogą ją wnieść.

- Naturalnie. - Potrzebowała chwili na zebranie myśli. - Do głównej sypialni, proszę.

Zza pleców obcego usłyszała wycie i przekleństwa. Nie ulegało wątpliwości, że matka wpadła w szal, a nie było Elinor, która najlepiej potrafiła ją uspokoić.

- Musimy ją związać, ale nie wiem, gdzie się podziały sznury.

- Proszę się nie martwić, panno Harriman - odparł spokojnie. - Moi ludzie dadzą sobie radę.

Odwrócił się i wykonał przyzywający gest, a ona przez chwilę wyraźnie zobaczyła jego rysy. Byłyby wyjątkowo harmonijne, gdyby nie blizna biegnąca od brwi do kącika ust. Z jej powodu mężczyzna wyglądał raczej złowieszczo, przez cały czas miał na wargach grymas będący namiastką uśmiechu. Ubrany był bardzo wykwintnie, a gdy zdjął kapelusz, jej oczom ukazały się kasztanowe włosy. Zamarła.

- Panno Harriman? - powiedział łagodnie.

- Bardzo pan jest uprzejmy - wybąkała, gorączkowo szukając w głowie odpowiedniego tytułu.

Odsunęła się, żeby wpuścić gościa, zadowolona, że mimo wczesnej pory zdążyła się ubrać. Tymczasem niania krzątała się dookoła, gdacząc jak kura i bacznie przytrzymując poły szlafroka. Przybysz ujął Lydię pod ramię.

- Wejdźmy dalej i pozwólmy moim ludziom zrobić to, co należy. Pani gospodyni może pokazać, gdzie należy matkę położyć.

- To jest niania Maude - wyjaśniła, wprowadzając go do małego frontowego pokoju, gdzie tlił się wąty ogień na kominku.

Zabrzmiało to niezbyt mądrze, Lydia nie chciała jednak sprowadzać niani do roli służącej, skoro była w tym domu kimś znacznie ważniejszym.

- Jak widzę, panuje nad sytuacją - powiedział. - A ja urągam dobrym manierom, bo jeszcze się nie przedstawiłem.

- Wiem, kim pan jest. Hrabia de Giverney, prawda? - Starła się nie okazać lęku. - Podobno ma pan konszachty z diabłem. Uchodzi pan za ucieleśnienie grzechu.

- Przykro mi, panno Harriman, ale muszę panią rozczarować. Wprawdzie wyglądem przypominam diabła, ale jestem tylko zwykłym dżentelmenem bez tytułu, za to z pokancerowaną twarzą i pustymi kieszeniami. Charles Reading, do pani usług.

Poczuła, jak się czerwieni.

- Nie jest pan królem piekieł?

- Obawiam się, że nie. On jest zajęty, bo właśnie podejmuje pani siostrę.

Rozdział piąty

- Pan wcale nie jest brzydki - oświadczyła Lydia, a zanim zdążył odpowiedzieć, dodała: - Co hrabia zamierza zrobić z moją siostrą? Zakładam, że te wszystkie opowieści są wysane z palca.

Zamilkła na widok mężczyzn wnoszących do domu jej matkę. Lady Caroline szarpała się, przeklinała i pluła, a wychudzone ciało zdawało się mieć nadludzką moc. Jeden z lokajów rzucił grubym słowem, gdy dosięgnął go zadany na oślep cios. Chwilę potem wszyscy znikli w sypialni. Niania weszła ostatnia i starannie zamknęła drzwi. Lydia poczuła na sobie zaciekawione spojrzenie ciemnych oczu Readinga.

- Od jak dawna pani matka ma krosty? - spytał.

- Nie wiem - odrzekła, nie mogąc oderwać od niego oczu.

- Pojedynek - powiedział.

Zamrugła powiekami.

- Słucham?

- Zastanawiała się pani nad moją blizną. Proszę nie popadać w zakłopotanie.

Wszyscy tak reagują na mój widok.

- Nie jestem zakłopotana. Niepokoję się o siostrę.

- Po tym sprostowaniu stoję przed panią z pokorą. Prawdę mówiąc, wolałbym jednak nie stać. Nie chciałem siedzieć w powozie razem z pani matką, która przez cały czas ciskała gromy na współpodróżnych, wybrałem więc jazdę wierzchem i trochę się zmęczyłem. Nie mogę jednak usiąść, dopóki pani mnie nie zaprosi, a co więcej, sama nie usiądzie.

- Proszę usiąść - powiedziała, zajmując miejsce na twardym krześle, gościowi zaś zostawiając drugie, wygodniejsze, stojące przy kominku.

Pokręcił głową.

- Nic z tego. Jeśli zamienimy się na krzesła, to usiądę.

- Dobrze mi tutaj...

Zanim zdążyła się zorientować w sytuacji, cisnął kapelusz na stolik, uniósł ją bez wysiłku i ulokował przy kominku.

- Czy pani dobrze się odżywia? - spytał wyraźnie zaniepokojony.

Lydia pomyślała o cienkiej zupie, którą niania karmiła ich przez ostatni tydzień, stopniowo dolewając coraz więcej wody, i poczuła przykre ssanie w żołądku.

- Naturalnie - odparła.

- Waży pani tyle co dziecko.

- Ile dzieci naraz potrafi pan podnieść, sir? - zainteresowała się. - Och, zapomniałam, że diabeł składa dzieciny w ofierze, prawda?

- Pani sobie ze mnie żartuje, prawda?

- Odrobinę - przyznała. - Nie powinnam, bo sytuacja jest poważna, ale ponieważ dostrzegam różnicę między plotką a rzeczywistością, nie waham się wyrazić przypuszczenia, że hrabia de Giverney jest jedynie rozpasanym hedonistą.

Usiadł naprzeciwko niej. Lydia zaniepokoiła się, czy pod tak dobrze zbudowanym mężczyzną marne krzesło po prostu się nie załamie. Zaskrzypiało, ale wytrzymało.

- Podobnie jak jego najlepszy przyjaciel - dodał, bynajmniej nieuspokajającym tonem.

- Naprawdę? Jeszcze nigdy nie widziałam rozpasanego hedonisty na własne oczy. Czuję się jednak nieco rozczarowana. Moim zdaniem nie wygląda pan na żywy obraz zepsucia. Może bardzo dawno nie oddawał się pan hulankom?

- Dość dawno - mruknął.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie jest moja siostra? Dlaczego nie wróciła razem z panem?

- Problem powozu po raz kolejny.

- Ojej, zapomniałam. Pański nieszczęsny powóz. Nie stać nas na zatrudnienie sprzątających, ale mogę go wyczyścić razem z Jacobsem.

- Powóz nie należy do mnie, a Rohan ma dość służących, żeby się tym zajęli.

- Rohan? - powtórzyła.

- Król piekieł, hrabia Giverney, wicehrabia Rohan - wyjaśnił.

- Mężczyzna, który ma w swoich rękach moją siostrę.

- Odstawi ją tutaj całą i zdrową. Francis nie traci czasu na niewinne panny. Chyba że biedny strój i surowe maniery pani siostry to tylko pozory.

Lydia ciasniej otuliła się szalem. Wszystkie ubrania nosiła po Elinor, więc były mocno już podniszczone. Ten postawny dżentelmen z pewnością zauważył to i w duchu nią pogardzał.

- Obawiam się, że żyjemy w dość trudnej sytuacji materialnej, panie Reading - powiedziała. - Czekamy na list od ojca, który bez wątpienia przyjdzie nam z pomocą, ale tymczasem nie sposób zaprzeczyć, że nasz stan posiadania ostatnio bardzo się skurczył.

- Rozumiem.

- Mam niemiłe podejrzenie, że pan czegoś nie mówi wprost. Chyba że po prostu chciał pan zwrócić uwagę na moją przetartą suknię?

- Pani jest tak piękna, że nawet nie zauważyłem sukni, panno Harriman. Siostry los nie obdarzył tak wyjątkową urodą.

- Jeśli miałam po tej opinii poczuć się lepiej, to próba była chybiona - oświadczyła, wreszcie zdolawszy wykrzesać z siebie złość. - Siostra wyróżnia się bardzo oryginalną urodą i tylko płytki dżentelmen może tego nie zauważyć.

- Ja jestem bardzo płytki, panno Harriman. Pani mnie urzeka, a jej siostra przeraża.

- To dobrze - powiedziała, ale nagle zdała sobie sprawę z tego, jak to zabrzmiało. - To znaczy dobrze, że moja siostra pana przeraża. Chciałabym wywoływać u pana takie samo wrażenie.

Popatrzył na nią z uwagą.

- Prawdę mówiąc, pani też mnie przeraża, panno Harriman, tylko z zupełnie innych powodów.

- Nie potrafię ich sobie wyobrazić.

Uśmiechnął się ironicznie.

- Pani na pewno wolałaby, żebym ich nie wymieniał.

- Nie rozumiem.

- Nie musi pani. Powinienem teraz sprawdzić, czy pani matka została położona do łóżka.

Wstał i nagle wydał jej się groźny. Gdy pomagał jej unieść się z krzesła, ujął ją za rękę i pociągnął z taką siłą, że omal nie padła mu w ramiona. Tylko swojej przytomności

umysłu zawdzięczała uniknięcie takiej kompromitacji. Tymczasem pan Reading jedynie pocałował ją w rękę.

Elinor ocknęła się w półmroku cudownie ogrzanego pokoju. Zdarzyło jej się to pierwszy raz od wielu lat. Była najedzona, stopy nie bolały jej od ciasnych trzewików, niemal popadła w błogostan. Jednak gdy otworzyła oczy, ujrzała śpiącego na kanapie Rohana. Jeden jej głośniejszy oddech wystarczył, by otworzył oczy.

- Spała pani z diabłem, panno Harriman - wycedził. - W dodatku mimo tej niebezpiecznej przygody wciąż pani żyje.

Usiadła wyprostowana, zsuwając pled, którym ktoś pieczołowicie ją okrył. Nagle ze zgrozą przekonała się, że szwy stanika starej sukni musiały puścić w którymś miejscu, piersi bowiem zostały nieprzyzwoicie odsłonięte. Próbowwała zakryć je pledem, ale nie zdążyła. Rohan chwycił koc i odrzucił go na bok.

- Nie ma potrzeby przesadzać ze skromnością, panno Harriman - powiedział. - Wciąż pani błądzi po niewłaściwej stronie granicy przyzwoitości.

- Moja chusta - powiedziała zduszonym głosem. - Leży na krześle.

Zerknął we wskazane miejsce.

- Naprawdę? A dlaczego zakłada pani, że jestem zainteresowany usługiwaniem jej? Przecież wcale nie chcę, aby zakryła pani zaskakująco interesujące wdzięki.

Zdesperowana, próbowała wstać, on jednak pchnął ją z powrotem na fotel.

- Już dobrze, skoro inaczej miałaby pani być uciążliwa.

Podał jej cienką chustę. Elinor ciasno się nią otuliła i odetchnęła z ulgą.

- Teraz lepiej.

- Okropnie. Poza tym spała pani ze mną i tego nic nie zmienia.

- Niech pan nie będzie śmieszny. Nawet nie zdawałam sobie sprawy z pańskiej obecności. Nie mam też pojęcia, dlaczego zasnęłam na takim niewygodnym meblu. Czy nie powinien pan teraz igrać z kurtyzanami?

- To jest trzydniowa biesiada, dziecko. Rzadko rozpoczynam zabawę przed drugą nocą. Poza tym już trochę poigrałem z gościem, który mnie szczególnie interesuje. Pani ma smak nowości.

- Nowości, która powinna niezwłocznie stąd zniknąć. Aż trudno mi uwierzyć w to, że pozwoliłam sobie zasnąć w tych okolicznościach. Gdzie jest moja matka?

- Poleciałem Readingowi, żeby się nią zajął i odwiózł do domu, a ponieważ jeszcze nie wrócił zakładam, że napotkał trudności.

- Mówi pan o tym biedaku z blizną?

Rohan zaśmiał się cicho.

- Nie byłby zadowolony, gdyby usłyszał, jak go pani nazywa. On sądzi, że blizny nadają mu wygiąć niebezpiecznego człowieka. A skoro o tym mowa proszę mi powiedzieć, panno Harriman, co Reading zastanie w jej domu. Naturalnie oprócz tego niezręcznego stangreta złodziejaszka.

- Pustki.

- Proszę nie próbować ze mną żadnych gierek - wycedził i podszedł do okna, za którym malował się świt. - Jestem w nich mistrzem. Kto jeszcze mieszka w pani domu?

- Moja stara niania.

- I kto jeszcze?

- Nikt.

Odwrócił głowę.

- Nie umie pani oszukiwać, panno Harriman. O ile dobrze pamiętam, lady Caroline miała dwie córki.

- Moja siostra umarła.

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Jeśli zamierza pani kłamać, moja droga, trzeba to robić bardziej przekonująco. Jestem pewien, że znajdzie pani kogoś, kto nauczy panią tej umiejętności. Bywa przydatna.

- Nie kłamię.

Elinor zerknęła ku drzwiom. Gdyby zdołała wykorzystać chwilę nieuwagi Rohana, mogłaby uciec i nawet jeśli nie udałoby jej się znaleźć konia lub powozu, pięć mil do Paryża przeszłaby piechotą. Niestety, nie wiedziała, gdzie podziały się jej zniszczone trzewiki.

- Niech pani nie będzie irytująca - powiedział hrabia. - Przecież ma pani bardzo ładną młodszą siostrę, prawda?

Elinor poczuła, że znalazła się pod ścianą.

- Jeśli ktokolwiek waży się tknąć moją siostrę, to pana zabiję - oświadczyła dobitnie.

- To przynajmniej powiedziała pani z głębokim przekonaniem. Siostra musi być naprawdę bardzo urodziwa.

- Nic panu do mojej siostry. - Szybko wymyśliła nowe kłamstwo. - Zresztą, gdy tylko ojciec załatwi sprawy, wrócimy do Anglii i siostra znajdzie szczęście w małżeństwie...

- Sądzi pani, że ojciec znajdzie jej męża? - spytał, opierając się o ścianę.

- Małżeństwo jeszcze nie jest uzgodnione. Zamierzam dopilnować, żeby siostra wyszła za mąż z miłości.

- Nie powie mi pani chyba, że wciąż wierzy w istnienie miłości, mimo że została skazana na takie życie?

- Moje życie jest całkiem udane. Poza tym nie myślę o sobie, lecz o Lydii. Ona na to zasługuje.

- A pani nie?

- Mnie to nie interesuje. Co innego Lydia. Gdy tylko ojciec...

- Oboje świetnie wiemy, że pani ojciec nie żyje. Nowy baron Tolliver przyjechał do Paryża i chce panią poznać.

Zacisnęła dłonie na spódnicy.

- Skąd pan to wie?

- Jestem informowany na bieżąco o wszystkim, co dzieje się wśród emigrantów, mój kwiatuszku. Lord Jasper Harriman zmarł na apopleksję kilka miesięcy temu, a dziedzic, który zajął jego miejsce, przebywa obecnie w Paryżu. Zapewniam panią, że jeśli jego pobyt potrwa dostatecznie długo, to zawrzemy znajomość. Wątpię, czy może pani liczyć na ratunek z tamtej strony.

Nie zamierzała się poddać.

- Wobec tego Lydia musi poślubić przystojnego, życzliwego, zamożnego Francuza - stwierdziła.

Odsunął się.

- A co się stanie z panią i matką? Jeśli pani siostra jest tak ładna, jak wnoszę z pani postawy obronnej, to korzystne małżeństwo istotnie nie jest wykluczone. Obląkana teściowa i szwagierka są znacznie mniej atrakcyjne.

Tym razem oblała się rumieńcem, choć powiedział prawdę.

- Oboje wiemy, że moja matka nie pożyje długo - zauważyła. - Co do mnie, doskonale potrafię sobie radzić. Mogę zatrudnić się jako guwernantka. Znam angielski, umiem grać na fortepianie. Mogłabym też zostać damą do towarzystwa.

- To będzie wykluczone, jeśli wyda się, że spędziła pani ze mną noc.

Wstała. Kulenie się w fotelu było oznaką słabości. Wprawdzie mimo jej słusznego wzrostu Rohan i tak był wyższy, ale przynajmniej różnica stawała się mniejsza.

- Nie ma powodu, by tak się stało. Nic pan nie zyska, rozpowszechniając takie podłe plotki.

- To nie są plotki, mój króliczku. To fakt. Jeśli zaś chodzi o moje zyski, to powiedziałem już, że pani jest prawdziwym rarytasem w tym otoczeniu, a ja mimo woli poczułem fascynację.

- Niech pan raczej ulegnie swojej woli - odparła z przekąsem. - Mną nie warto sobie zaprzątać głowy. Poza tym wprawdzie miło pokonwersować, ale muszę jechać do domu.

- A jeśli ja nie zechcę pani wypuścić? Nie pójdzie pani do miasta piechotą, a poza tym moja fascynacja jest całkiem szczerą.

Strząsnął wyimaginowany pyłek z koszuli i zrobił krok w jej kierunku. Odsunęła się i jakby przypadkiem ustawiła między nimi krzesło, mimo że nie czuła się zagrożona, przekonana, iż to tylko gra w kotka i myszkę.

- Zdarzało mi się przejść więcej niż pięć mil, więc i tym razem dam radę.

- Na bosaka?

Natychmiast przykucnęła, aby jej przetarta spódnica ukryła ten szczegół.

- Jaka szkoda - powiedział. - Podobają mi się pani stopy. Większość kobiet ma krótkie pulchne paluszki i szerokie podbicie. A najgorzej ze wszystkich wyglądają stopy tancerek, pfuj! Za to pani...

- Byłabym zobowiązana, gdyby przestał pan się rozwodzić nad moją anatomią i wezwał powóz.

- Prawdę mówiąc, dość łatwo jest odczytać pani myśli. Zastanawiała się pani, co zamierzam. A ja powiem, że fascynują mnie pani dłonie.

Natychmiast schowała je pod chustą, to go jednak nie zniechęciło.

- Nie wydają się szczególnie miękkie. To nie są białe, bezużyteczne kluski, jak u większości kobiet. Ma pani długie piękne palce i wąskie dłonie. Miło mi, kiedy myślę, że czuję ich dotyk.

Te słowa wstrząsnęły nią tak, że nawet zapomniała się odsunąć, gdy znowu podszedł o krok i znalazł się niebezpiecznie blisko.

- Nie rób takiej przerażonej miny, gołąbeczko. Na pewno daleko ci do tego, by błędnie sądzić, że moje zainteresowanie tobą ma przyczyny humanitarne. To, co dzieje się z twoją matką, ani trochę mnie nie obchodzi. Nie mam też zwyczaju odrywać się od swoich zajęć, chyba że pojawi się coś, czego pragnę bardziej. Ciebie pragnę bardziej.

Spojrzała na niego niedowierzająco.

- Od jak dawna cierpi pan na takie zaburzenia umysłu, milordzie?

- Od jak dawna lekceważy pani swoją wartość, panno Harriman?

Mogłaby mu powiedzieć, że od sześciu lat. Nie zrobiła tego jednak. Tamto odeszło w przeszłość, zostało zapomniane i nie należało wracać do tego myślami.

- Bardzo proszę, aby wezwał pan gospodynię, która na pewno szybko znajdzie moje trzewiki, a potem wyruszę w drogę.

Aby zabrzmiało to bardziej dobitnie, ponownie się wyprostowała, nie bacząc na to, że odsłania bosc stopy.

- Panno Harriman, czyżby zabrakło pani rozsądku i chciała dowieść, że blefuję?

- Z pewnością nie, panie hrabio. Po prostu nie chcę brać udziału w pańskiej grze.

Przeszła przez pokój i pociągnęła za taśmę dzwonka.

Sądziła, że ruszy za nią. Liczyła się nawet z tym, że za chwilę znajdzie się w jego objęciach. On jednak zatrzymał się po pierwszym kroku. Potem uśmiechnął się ironicznie i znów usiadł na kanapie.

- Niech będzie. - Machnął ręką w jej stronę. - Pani Clarke odprowadzi panią do powozu.

Przy tych słowach otworzyły się drzwi.

- Pani Clarke nie zamierza tego zrobić - oznajmiła gospodyni. - Panicz teraz wstanie i odwiezie tę młodą damę do domu jak dżentelmen, którym kiedyś był.

Elinor spodziewała się, że Rohan wybuchnie złością. On jednak tylko westchnął z rezygnacją.

- Proszę mnie zawołać, kiedy powóz będzie gotowy.

- To nie jest dobry sposób podejmowania młodej damy - oświadczyła karcąco gospodyni.

- Niech więc ją pani zabierze.

- Paniczu!

W zabarwionym szkockim akcentem głose gospodyni zabrzmiała ostrzegawcza nuta.

- Zupełnie nie rozumiem, po co wziąłem panią ze sobą do Francji - powiedział znużonym tonem.

- Wcale mnie pan nie wziął. Przyjechaliśmy za panem wbrew pańskiemu wyraźnemu poleceniu. Powinno więc być dla pana jasne, że przynajmniej w tej części domu robię to, co moim zdaniem jest słuszne. Jeśli kogoś tu pan przyprowadza, ma być traktowany z szacunkiem.

- Tak jest, pani Clarke. Mam nadzieję, że pozwoli mi pani przebrać się, zanim odwiezę tę młodą damę do domu. Nie wolno mi schodzić poniżej pewnego poziomu. Nawiasem mówiąc, ta panna zdaje się potrzebować trzewików.

- Mam je ze sobą. - Pani Clarke, odkąd postawiła na swoim, zamieniła się we wzorową gospodynię. - Proszę iść się przebrać, poczekamy tu na pana.

- My? Jeśli pani jedzie z nami, nie ma potrzeby, abym...

- Ja nie jadę. Panicz dobrze wie, że bardzo nie lubię Paryża. Dotrzymam tej młodej damie towarzystwa jedynie podczas pańskiej nieobecności. Byłoby dobrze, gdyby pan się pospieszył, bo im dłużej to będzie trwało, tym więcej zdążę jej opowiedzieć.

Elinor spodziewała się, że Rohan wpadnie w złość, ale on się roześmiał

- Wątpię, czy cokolwiek z pani opowieści mogłoby tę pannę zaskoczyć. Ona już wie, że jestem przykładowym utracjuszem.

- Jeśli będzie się pan ociągał, opowiem jej wszystko to, co wiem o panu dobrego.

- Tylko nie to! - wykrzyknął ze zgrozą - Będę więc szybki jak diabli. - Podeszedł do drzwi i stamtąd jeszcze raz zerknął na Elinor.

- Paniczu... - ostrzegła go gospodyni.

- Chciałem tylko jeszcze popatrzeć na jej piękne stopy, zanim zostaną zakryte. Obawiam się, że minie dużo czasu, nim zobaczę je znowu.

- Niech pan na to w ogóle nie liczy - oznajmiła Elinor.

- Tak źle nie będzie, gołąbeczko. Nawet pani Clarke, chociaż rozpowszechnia wymyślne łgarstwa na temat mojej tak zwanej dobroci, musi przyznać, że zawsze osiągam swoje cele.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Rozdział szósty

- Naprawdę nie ma potrzeby, żeby pan hrabia mi towarzyszył - zapewniła Elinor. - Będzie mi nawet wygodniej samej. Skoro znalazła pani moje trzewiki, a teraz skieruje mnie do powozu, można powiedzieć panu Rohanowi, że jego pomoc nie jest konieczna.

- Proszę się nie martwić, panno Harriman - odparła dziarsko pani Clarke. - Będzie zachowywał się przyzwoicie. Zaraz też poproszę moją Janet, żeby znalazła jakieś ciepłe obuwie. Trzewiki, w których pani przyjechała, moja droga, się rozpadają, a na dworze spadł śnieg.

- Ciepłe obuwie?

Osoba o mniejszym poczuciu własnej godności niechybnie odczytałaby uśmiech pani Clarke jako figlarny.

- Lady Carlton wydaje się mniej więcej pani postury. Ilekroć tu przyjeżdża, ma ze sobą nedorzecznie dużo kufrów strojów i butów, sama bowiem twierdzi, że większość czasu spędza, nie mając na sobie niczego. Nawet nie zauważy, jeśli jedna para jej się zapodzieje.

- Nie mogę nosić kradzionych rzeczy!

- Może pani, może.

Drzwi się otworzyły i weszła Janet wyglądająca jak młodsza wersja pani Clarke. Przyniosła tacę z herbatą, a pod pachą trzymała buty z kozłej skóry. Postawiła jedno i drugie przed Elinor. Na tacy leżały również grzanki, a do butów została włożona para jedwabnych pończoch.

- Bez kłopotów, mała? - spytała pani Clarke.

- Śpią jak zabici, w większości jak ich Pan Bóg stworzył - odrzekła Janet. - Nie martw się.

- Nigdy tego nie robię - odparła jej matka. - Proszę wypić herbatę, panno Harriman. To, co dzieje się w tym domostwie, nie powinno pani niepokoić bardziej niż mnie.

- A pani nie niepokoi? - spytała Elinor z pełnymi ustami.

- Nigdy nie chodzę do tamtej części pałacu. Jego lordowska mość lubi różne ekscesy, ale dopóki nikt przy tym nie ponosi krzywdy, dopóty się do tego nie mieszam. Ta część pałacu jest ciasna, ale przytulna, i żadne kurtyzany nie mają tu wstępu.

- Myśli pani, że nie nadaję się na kurtyzanę? - Elinor naląła sobie herbaty i wsypała do niej niewiarygodnie dużo cukru. Chciała nacieszyć się jego smakiem, póki mogła. - To pewnie przez ten nos - stwierdziła zrezygnowana.

- Nos? - Pani Clarke zmarszczyła czoło. - A co w nim złego?

- To słynny nos Harrimanów. Kurtyzany są urodziwe.

- Kurtyzany są wyzywające. Co zaś tyczy się pani nosa, nie ma w nim nic niezwykłego. Nadaje twarzy wyraz, czego tamtym kobietom często brakuje.

- Ale mam szczęście - mruknęła Elinor.

Wzięła jeszcze jedną grzanekę. Nagle drgnęła, uświadomiła sobie bowiem, że Janet przed nią uklękła i ujęła ją za bosą stopę.

- Włożę panience buty - wyjaśniła. - Mama chce, żebym przyuczyła się do usługiwania.

- Niestety, na przyjęcia jego lordowskiej mości damy nie przychodzą - dodała pani Clarke. - A panicz zaraz wróci. Chyba nie zamierza pani fikać przed nim bosymi stopami?

To przekonało Elinor.

- Dziękuję, Janet - powiedziała. - Miło mi, że chcesz pomóc.

Wrażenie było niezapomniane. Ciepła, mocna herbata, grzanki z masłem i cukrem cynamonowym, a do tego służąca pomagająca się ubrać. To była naprawdę rozpusta. Co do pończoch, Elinor postanowiła, że przekaże je Lydii, choć nie miała jeszcze pojęcia, jakiej sztuczki użyć w tym celu.

Buty pasowały jak ulał. Zanim dopiła herbatę, były już zasznurowane, a ona miała poczucie, że teraz może stawić czoło najstraszniejszemu potworowi. Nawet temu, który właśnie pojawił się na progu.

- Powóz stoi i czeka - oznajmił hrabia. - Gdzie jest pani narzutka?

- Tutaj, proszę pana - powiedziała Janet, wychodząc zza jego pleców z futrzaną pelisą. Taką, która jest nie tylko ciepła, lecz i niesłychanie droga.

Elinor odsunęła tacę i wstała. Zdobyła się na słaby protest dopiero wtedy, gdy Janet zaczęła ją ubierać.

- Nie mogę tego wziąć.

- Proszę włożyć, panno Harriman - powiedziała głośno Janet, ujmując ją za ramię, by wsunąć je w rękaw pelisy. Elinor stawiała opór.

- Będziecie się biły? - spytał beztrosko Rohan. - Znam parę lepszych rozrywek niż oglądanie dwóch kobiet wyrywających sobie włosy, ale jeśli zamierzacie spróbować, to poczekajcie, każę sobie podać herbatę. Znajdźcie tymczasem lepsze miejsce.

Wreszcie Elinor przestała się bronić. Jednak gdy Janet zdołała umieścić pelisę na jej ramionach i przystąpiła do zapinania guzików, Elinor omal nie uderzyła jej po rękach. Czym innym były skradzione buty i jedwabne pończochy, a czym innym kosztowne futro. W duchu przyznała jednak, że dawało ono rzeczywiście mnóstwo ciepła.

- Nie będzie walki? Jestem zdruzgotany. Trudno, przyzwyczailem się do licznych rozczarowań w życiu. Chodźmy, panno Harriman. Im prędzej odstawię panią do Paryża, tym szybciej będę mógł oddać się wielkiej rozpuście, pani bowiem wydaje się niechętna moim zalotom. Poza tym nie chce pani figlować z moimi gośćmi. A może baraszkować?

- Tylko niech panicz nie figluje z panną Harriman - zapowiedziała surowo pani Clarke i zwróciła się do Elinor. - Do widzenia pani. Miło mi będzie zobaczyć panią znowu.

Rohan podał ramię Elinor, a gdy się zawahała, po prostu ujął ją za rękę i dość bezceremonialnie przyciągnął do siebie.

- Musi pani przynajmniej udawać, że chętnie ze sobą rozmawiamy.

- Po co?

Spojrzał na nią bez słowa. Wzrostem znacznie ją przewyższał, więc patrząc w jego bezlitosne niebieskie oczy, czuła się onieśmielona.

Gdy wyszli przed masywny portyk pałacu, na dworze padał drobny śnieg. Elinor ciaśniej otuliła się skradzioną pelisą, usiłując nie dopuszczać do głosu wyrzutów sumienia. Lokaj w liberii natychmiast otworzył przed nią drzwiczki powozu, więc szybko wsiadła, zanim Rohan zdążył jej pomóc. Chwilę później on również znalazł się w środku i ruszyli. Nie była pewna, czy kiedykolwiek jechała tak eleganckim pojazdem.

Tymczasem hrabia rozsiadł się wygodnie naprzeciwko i spokojnie ją obserwował.

- Powinna była pani polecić pani Clarke, żeby ukradła jeszcze jakieś ciepłe rękawiczki i czepek, skoro już doszło do kompletowania garderoby. Lady Carlton nie odczuje straty.

Dotąd było jej po prostu ciepło, ale nagłe palenie policzków stało się nieznośne. Zaczęła rozpinąć pelisę. Znieruchomiała jednak, gdy na niego zerknęła.

- Chyba nie zamierza pani siłować się teraz ze mną? - spytał rozbawiony. - Niczego bardziej nie pragnę, jak położyć na pani moje dłonie, korzystając z odosobnienia w powozie. Do Paryża jedzie się długo, a mnie przychodzi na myśl parę dobrych sposobów na urozmaicenie czasu i przy każdym musiałbym pani dotykać. Lady Carlton ma tuzin takich futer, a pani nędzna narzutka była pewnie zarobaczona.

- Nie była! - odparła dotknięta do żywego.

- Wierzę. - Zmrużył oczy i ziewnął. - Zakładam, że nie jest pani zainteresowana... figlowaniem ze mną.

- Nie!

- A baraszkowaniem? - Nie zrezygnował. - Już przecież flirtowaliśmy...

- Ależ skąd! - odparła przejęta zgrozą.

- Tak, dziecko, to nie ulega wątpliwości. Dlaczego właściwie nie zrezygnujemy z tych wszystkich umizgów i nie zajmiemy się sprośnymi przejawami namiętności?

Pierwszy raz w życiu Elinor straciła mowę ze wzburzenia. Gdy pokonała słabość, wyrwało jej się coś wyjątkowo niemądrego.

- W powozie?

Roześmiał się.

- Oczywiście. Chociaż jeśli woli pani łóżko, zawsze możemy wrócić do pałacu. Tylko wtedy musielibyśmy uniknąć czujnego oka pani Clarke.

Była przekonana, że Rohan się z nią drażni. Z pewnością wcale nie interesuje się nią jako kobietą. Nie mogła mu jednak tego powiedzieć, bo wtedy z czystej przekory chciałby dowieść, że jest odwrotnie.

- Obiecał pan zachowywać się przyzwoicie - przypomniała mu z wymuszonym spokojem.

- Taka obietnica, gdybym ją złożył, byłaby czczą, w rzeczywistości jednak wcale tego nie zrobiłem. Pani Clarke zna mnie od dziesiątek lat, panno Harriman, i nie żywi co do mnie złudzeń, tyle że nie chce wyzbyć się nadziei. - Zmrużył oczy. - Czy naprawdę jest pani tak odporna na pokusy? Uwodziłem już nawet zakonnice i zwolenniczki safizmu, nie jestem więc przyzwyczajony do tego, że kobieta mnie ignoruje.

Zaciekawienie wzięło w niej górę.

- Zwolenniczki safizmu?

- Kobiety, które wolą miłość innych kobiet.

- Jak to?

- Pozwól, moja miła, że ci wytłumaczę.

Błyskawicznie przesiadł się na miejsce obok Elinor. Chciała odskoczyć, ale Rohan objął ją w talii i uniemożliwił ruch.

- W mojej obecności dużo czasu zajmuje panu niestosowne zachowanie. Niech pan zabierze rękę.

- Proszę się nie bronić. Staram się jedynie wesprzeć pani edukację. - Zdjął jedną rękawiczkę, cisnął ją w kąt i ujął jej rękę. - Jestem zdziwiony, że pani Clarke nie ruszyła za nami w pościg z parą rękawiczek.

- To nie był mój pomysł.

- Naturalnie, że nie, kwiatuszk. Z panią Clarke trudno dyskutować. Nie myśl o tym. Oprzyj się wygodnie, a ja zajmę się twoją edukacją.

- Nie...

- Pst! - Palcem dłoni odzianej w rękawiczkę dotknął jej ust. - Zakładam, że wiesz, jak wygląda zespolenie mężczyzny z kobietą. Większość panien z przyzwoitych domów nie ma o tym pojęcia, ale twoje wychowanie pozostawia wiele do życzenia. Orientujesz się, co robią mężczyźni z kobietami?

- Oczywiście.

- Dwie kobiety, rzecz jasna, nie mają niezbędnego wyposażenia do dopełnienia aktu miłosnego. Muszą więc stosować środki zastępcze. Najprościej jest używać rąk. - Przestał nagle głaskać ją po dłoni i ostrożnie zacisnął jej trzy palce, pozostawiając

wyciągnięte tylko dwa środkowe. - Znasz to, kwiatuszku? Wiesz, jak zrobić sobie przyjemność?

- Jak pan śmie?! - syknęła. - Odczuwa pan silną potrzebę unurzania w rozpuście wszystkiego, co tylko znajdzie się w zasięgu pańskiej ręki - dodała.

- Pośpię i oszczędzę ci panięskich rumieńców.

- Jeśli pan zaśnie, przestanie mówić, a to będzie wielka sprawa - stwierdziła. - Jestem przekonana, że w swoim wieku może pan jedynie odnieść z tego korzyść.

- Moja droga panno Harriman, jeśli nie przestanie mnie pani zabawiać, będzie mi bardzo trudno utrzymać ręce na wodzy. Mało jest ludzi, którzy mnie nie nudzą, więc wykazuję dużą zaborczość wobec tych, których uważam za zabawnych.

- Wobec tego będę chrapać - oświadczyła Elinor i zamknęła oczy.

Usłyszała jego cichy śmiech. Wiedziała, że kobiety nie potrafią mu się oprzeć. Ona jednak nie była taka jak one.

Zbudził ją hałas. Powóz toczył się po miejskim bruku. Gdy otworzyła oczy, napotkała spojrzenie Rohana.

- I znowu pani ze mną spała, panno Harriman - powiedział. - Wyznające zasady towarzystwo może by pani wybaczyło jeden raz. Dwa razy to jednak zdecydowanie za wiele. Moim zdaniem powinna pani wrócić ze mną do pałacu. Mam też całkiem duży dom w Paryżu, mogłaby pani chodzić po nim całymi godzinami i nikogo nie spotkać. Spędzilibyśmy w łóżku...

- Niech pan nie będzie nużący, hrabio - przerwała mu Elinor i otrząsnąwszy się z resztek snu, wyprostowała ramiona. - Jesteśmy niedaleko mojego domu, a ten okazały powóz jest za szeroki, żeby przeciskać się wąskimi uliczkami. Może pozwoli mi pan wysiąść tutaj, a resztę drogi przejdę piechotą. Pani Clarke na pewno to panu wybaczy.

- Drogie dziecko. Nie zamierzam porzucić pani w chwili potrzeby. Poza tym muszę się przekonać, co z taką desperacją stara się pani ukryć. Wielkiego jak góra kochanka, który z panią mieszka? A może własny pokój w domu publicznym, gdzie pani święta matka należy to najlepszych dziwek? Nie, to wydaje się nieprawdopodobne. Na pewno jest w pani domu coś, czego nie chce mi pani pokazać, zakładam więc, że chodzi o

niezwykle piękną i wcale nie martwą siostrę. Musi pani jednak wiedzieć, że moja ciekawość jest niespożyta.

- Nie... - Raptownie przycisnęła dłoń do ust i pochyliła się do przodu. - Niech pan zatrzyma powóz! - podniosła głos.

Jej towarzysz ani drgnął.

- Źle się pani czuje? Pobladła pani.

- Jest mi niedobrze. Jeśli mnie pan nie wypuści, zabrudzę cały pański kosztowny powóz.

- Nie byłoby dobrze, ale pojazd można posprzątać. Mam do tego służbę.

Popatrzyła na niego, nie odrywając ręki od ust.

- Chce pan wracać do pałacu zanieczyszczonym zamkniętym powozem?

- Znakomity argument. - Zabębnił palcami w ściankę pudła. Ekwipaż raptownie stanął.

Elinor zsunęła z ramion pelisę, którą Rohan zdążył wcześniej rozpiąć, i szybko wyszła na schodki, rozłożone przez lokaja. Zasypane padającym drobnym śniegiem miasto wydawało się niemal ładne. Gdy tylko poczuła ziemię pod stopami, zwróciła się ku lokajowi, wydając z siebie bardzo sugestywne beknięcie. Mężczyzna odruchowo się odsunął.

Tego było jej trzeba. W okamgnieniu wtopiła się w tłum, kłębiący się na głównej ulicy. Klucząc uliczkami rejonu Rue du Pélican, błogosławiła panią Clarke za nowe buty. Na szczęście, dobrze знаła okolicę. Uznała, że ani Rohan, ani jego lokaj jej nie dogonią. To zaś znaczyło, że pan hrabia nie będzie miał innego wyjścia, jak wrócić do swojej jaskini rozpusty.

Wreszcie zwolniła kroku i ciasniej otuliła się chustą. Była święcie przekonana, że Rohan jej nie odnajdzie. Wprawdzie służący, którzy przywieźli matkę, znali adres, ale zanim hrabia z nimi porozmawia, straci zainteresowanie kobietą, która ukryła przed nim swój sekret.

Zaułek, przy którym stał ich dom, wyglądał jeszcze nędzniej niż zwykle, a gdy pokonywała dwa schodki prowadzące do wejścia, poczuła nagle, że znowu jest

przemarznięta do szpiku kości. Pelisa była piękna i Lydia wyglądałaby w niej wspaniale, lecz bezpieczeństwo należało cenić nade wszystko.

Otworzyła drzwi i ujrzała siostrę i pochylonego nad nią wysokiego mężczyznę. Co więcej, nawet w półmroku zauważyła, że Lydia pięknie się uśmiecha. Nieznajomy odwrócił się. Rozpoznała w nim widzianego poprzedniego wieczoru dżentelmena z blizną, któremu wówczas towarzyszyła uwieszona na ramieniu półnaga piękność. Człowiek, który w niczym nie był lepszy od Rohana, rozmawiał teraz z jej siostrą!

Lydia zerwała się na równe nogi z promiennym uśmiechem.

- Nell, tak bardzo się o ciebie martwiłam! - zawołała. - Pan Reading uspokajał mnie, że nie mam powodów do troski, ale znikłaś na całą noc, a odkąd byłeś we Włoszech...

- Wszystko w porządku, moja droga - szybko powiedziała Elinor, uprzedzając nieprzemyślane uwagi siostry.

- To jest pan Reading. Był taki miły, że odwiózł mamusię do domu.

Tylko Lydia nazywała lady Caroline tak pieszczotliwie. Zresztą, jeśli w ogóle można było powiedzieć, że lady Caroline darzy upodobaniem kogokolwiek oprócz siebie samej, to należałoby wskazać właśnie jej młodszą córkę. Elinor za bardzo kojarzyła się matce z rodziną męża, a poza tym miała naganny zwyczaj wyrażania jasno opinii, gdy została o coś zapytana.

- Bardzo uprzejmie - mruknęła Elinor. - Teraz poradzimy sobie same. - Nie mogła Readingowi pokazać drzwi, poprzestała więc na wyraźnej sugestii.

- Rohan obdarzył mnie zaufaniem. Wygląda na to, że pani matka się uspokoiła, ale nie jestem pewien, czy mogę zabrać z sobą lokajów, mimo że dostałem właśnie przykłądną odprawę.

Było to wyzwanie, ale Elinor gładko sobie z nim poradziła.

- Zaczyna padać śnieg, a do pałacu jest daleko. Nie chciałabym się czuć odpowiedzialna za pańskie niemiłe przygody podczas zamieci.

- Byłaby pani odpowiedzialna wyłącznie wtedy, gdyby osobiście wepchnęła mnie pani w zaspę, na co zdaje się pani mieć ochotę.

Ujął Lydię za rękę i z wielką ceremonią złożył na niej pocałunek.

- Sprawdź, jak się miewa chora - powiedziała Elinor. - Zważywszy jednak na to, że w domu panuje wspaniała cisza, wnioskuję, że matka wypoczywa. Nie potrzebujemy zatem pańskiej uprzejmej pomocy.

Odwróciła się, usiłując powstrzymać drżenie ciała. Było jej zimno, ogień na kominku ledwo się tlił, a ona nie miała pojęcia, skąd wziąć więcej drewna. Przede wszystkim jednak należało pozbyć się intruza. W tym celu musiała najpierw zajrzeć do lady Caroline, nawet jeśli oznaczało to, że siostra znów zostanie sam na sam z tym człowiekiem.

W korytarzu stało dwóch lokajów Rohana, jakby pełnili straż, a widząc nadchodzącą Elinor, skłonili się i odsunęli na bok. W pokoju matki zastała Maude. Lady Caroline leżała na wąskim łóżku, a ciemność rozpraszało jedynie wątłe światło zimowego poranka, wpadające przez okno.

- Biedaczka nawet się nie poruszyła, odkąd ją przynieśli - poinformowała niania. - Umyłam ją i spróbowałam jak najwygodniej ułożyć. Mężczyznom powiedziałam, że mogą wyjść. Matka panienki prawdopodobnie nie wstanie z łóżka przez wiele dni. - Spojrzała na swoją podopieczną. - Jeśli w ogóle wstanie.

Lady Caroline miała ciemne kręgi pod oczami i sinawą skórę, ale przynajmniej leżała spokojnie.

- Czy ona coś zjadła?

Niania doskonale wiedziała, jak skąpe zapasy są w spiżarni.

- Wypiła trochę słabej herbaty i przełknęła odrobinę kleiku. Więcej jednak wypluła.

- Przyślę tutaj Lydię, a ja tymczasem pozbędę się gości - oznajmiła Elinor.

- Co pani zamierza, panno Nell? - spytała ostrożnie niania. - Nie mam z czego zrobić obiadu. Drewno też się kończy, chyba że porąbiemy to łóżko.

Elinor najchętniej zaczęłaby krzyczeć, ale nie mogła sobie na to pozwolić. Przecież to ona musiała zaradzić ich problemom. Pomyślała, że Jacobs może sprzedać buty i jedwabne pończochy. Głupio uniosła się dumą, zostawiając pelisę w powozie. Za jej cenę mogliby skromnie przeżyć wiele tygodni.

Wyglądało jednak na to, że jest skazana na ponowne spotkanie z adwokatem i błaganie o pomoc kuzyna. Usłyszała za drzwiami hałas i ucieszyła się, że nieproszeni goście opuszczają dom.

- Pójdę po Jacobsa - oznajmiła. - Są różne możliwości.

Pchnęła drzwi.

- Lydio, moja droga, czy mogłabyś...

Głos uwiązał jej w gardle. Mężczyzna z blizną odsunął się pod ścianę, a na wprost niej stał Francis Rohan i trzymał za rękę jej siostrę.

TLR

Rozdział siódmy

Elinor nie ucieszyła się z jego widoku, to było oczywiste.

- Przez niedopatrzenie nie poczekała pani na mnie, panno Harriman - powiedział Francis Rohan. - Nie było mi łatwo za panią nadążyć.

- Niepotrzebnie zadał pan sobie tyle trudu, hrabio. Doskonale znam te ulice i nikt tutaj nie ważyłby się mnie napaść.

- To mnie akurat ani trochę nie dziwi. Umiałyby pani przestraszyć samego króla. Zostało jednak w powozie okrycie, a ja mimo wielu wad manieri mam znakomite, prawda, Reading?

Mężczyzna nieznacznie skinął głową.

- Właśnie poznałem pani uroczą siostrę...

Zaskoczyło go, z jaką szybkością Elinor zdołała wsunąć się między niego a tę śliczną pannę, którą przed chwilą trzymał za rękę. Lubił w swoim życiu pewien ład. Anomalie, choć dostarczały rozrywki, wymagały wyjaśnienia. Miał przeczucie, że wyjaśnienie anomalii, którą była Elinor Harriman, zajmie mu sporo czasu.

- Dziękuję bardzo, że pan przyszedł - powiedziała oficjalnym tonem. - Zachował się pan niezwykle uprzejmie, nie chcemy jednak pana zatrzymywać, przecież czekają na pana goście.

Gdyby naprawdę zainteresowała go młodsza siostra, mógłby bez trudu usunąć starszą z drogi. Jednak miał dość urodziwych panien i pięknych kobiet. Starsza z sióstr wydawała mu się pociągająca. Stała teraz stanowczo za blisko niego, by mogła czuć się swobodnie, a jednak uważała za swój obowiązek zasłonić siostrę przed jego pożądlivym wzrokiem. Reading wyglądał na nieco zmieszanego, choć Rohan dobrze wiedział, że przyjaciel nie traciłby czasu na zadawanie się ze zubożałą dziewczicą. Musiał wżenić się w majątek, co oznaczało, że na zawsze pozostanie od kogoś zależny.

- Słucham? - spytał, nadal stojąc w miejscu.

Był ciekaw, jak daleko jest gotowa posunąć się panna Harriman, by wyrzucić go z domu.

- Dziękujemy panu za pomoc, milordzie - powtórzyła z wystudiowaną uprzejmością. - Sądzę, że przestała być potrzebna.

Uśmiechnął się.

- Jest pani wspaniałą opiekunką, a ja zaspokoilem ciekawość. Wiem, czego czy raczej kogo chce pani strzec za wszelką cenę. Proszę przyjąć zapewnienie, że jestem stanowczo za bardzo znudzony życiem, aby ulec pociągowi do zwykłego piękna. Pani siostra jest przy mnie bezpieczna.

- Nell - odezwała się z wyraźną irytacją młodsza panna Harriman. - Może przestaniesz zachowywać się niedorzecznie?

- Nell? - powtórzył. - To urocze zdrobnienie. Sądzę...

- Do widzenia, hrabio - powiedziała stanowczo panna Elinor Harriman.

- Chodź, Francis - włączył się do rozmowy Reading. - Musimy wrócić na biesiadę. Nie możemy pozwolić, aby ominęła nas dobra zabawa.

- To prawda - przyznał Francis, choć wciąż bardzo go interesowało, czy panna Harriman byłaby gotowa po prostu wypchnąć go za drzwi.

Tymczasem Lydii udało się wysunąć zza górującej nad nią siostry.

- Jeszcze raz dziękuję za pomoc, panie Reading. I panu, hrabio.

Dygnęła z wdziękiem, co Elinor skwitowała marsową miną.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Lydio - zapewnił Rohan, zadowolony, że zapamiętał jej imię. - Widok pani urody jest dla mnie dostateczną nagrodą.

Starsza siostra zareagowała właśnie tak, jak chciał. Natychmiast się nastroszyła. Gdyby był młodszy i bardziej lekkomyślny, takie przejawy zaborczej opiekuńczości przypieczętowałyby los panny Lydii, ale teraz wydawało mu się to niewarte zachodu. Poza tym odniósł wrażenie, że naraziłby się Readingowi.

- Sługa uniżony, panno Harriman - powiedział, składając przesadnie głęboki ukłon.

Elinor zdążyła się odwrócić do Lydii, więc kpiący gest poszedł na marne.

Z wyrażaniem opinii poczekał, aż wyszli z przyjacielem z rudery, w której mieszkały panny Harriman, i znaleźli się w zaułku. Od powozu dzieliło ich zaledwie kilka kroków. Elinor skłamała, twierdząc, że trudno dojechać do jej domu. Mimo to śnieg i błoto na ulicy doszczętnie zrujnowały błękitne pantofle Rohana.

- Ciekawa rodzinka, nie sądzisz?

Reading zmarszczył czoło.

- Moim zdaniem powinieneś trzymać ręce z dala od tej panny, Francis. W pałacu jest dostatecznie dużo kobiet, żebyś miał zajęcie.

- Nie zamierzam wrócić do pałacu. Szacowni goście z pewnością zauważą moją nieobecność, lecz nie zrobi to na nich wielkiego wrażenia. To jest zwykła biesiada, jak wiele innych. Wiosenne igrzyska wciąż przed nami, musimy je dopiero zaplanować. Poza tym ona naprawdę wydaje mi się interesująca.

Reading wyraźnie nie był zadowolony z tej odpowiedzi, co też było interesujące.

- Jej jest naprawdę ciężko. Zimno tam jak w psiarni i nie wydaje mi się, żeby były gdzieś schowane zapasy opału. Kształty ma ta panna owszem, niczego sobie, wydaje mi się jednak, że nie dojada. Jeśli chcesz jej się przysłużyć, powinieneś ją wyswatać.

Francis spojrzał na przyjaciela.

- Charlesie, zaskakujesz mnie swoją przenikliwością. Właśnie to powinienem zrobić. Jedynym problemem jest znalezienie chętnego mężczyzny.

- Nie bądź śmieszny. Jest piękna. Każdy mężczyzna byłby dumny z takiej żony.

Doszli do powozu i Francis na chwilę przystanął.

- Drogi chłopcze, wydaje mi się, że mówimy o dwóch różnych osobach. Czy to panny Lydii bronisz z takim przekonaniem?

- Oczywiście. Chcesz mi wmówić, że nie masz wobec niej żadnych zamiarów? Świetnie wiesz, że to perła. - Powiedział to dziwnie ponuro.

- Podoba mi się siostra tej perły - wyjaśnił Francis zaskoczony własną szczerością.

- Masz jednak rację, twierdząc, że będzie dużo łatwiej się nią zająć, kiedy zostanie mężatką. Do roli męża znakomicie pasuje mój kuzyn.

Rohan wsiadł do powozu, a Reading za nim.

- Masz na myśli doktora?

- A któż mógłby być lepszy? - Usadowiwszy się w pudle, Francis z wielką starannością wygładził załamania płaszcza. - Potrzebuje żony, która pomogłaby mu w prowadzeniu praktyki, a ona musi mieć lekarza, żeby zajął się jej matką. Poślę go tam dziś po południu.

- Czy to ten młody człowiek, którego miałem okazję poznać? O ile sobie przypominam, nie odnosi się do twojego tytułu z przesadną atencją. Czy będzie skłonny wyświadczyć ci przysługę?

- Słuszne zastrzeżenie - przyznał Francis, strząsając pyłek z ramienia. - On uważa, że francuski tytuł należy się jemu. Niestety, urodził się z nieprawego łoża, więc dziedzicem tytułu został emigrant z Anglii. Potraktowałem tego młodego człowieka z wielką szczodrością, dlatego na pewno rozumie, że spełnianie moich życzeń jest dla niego najlepszą taktyką, służącą położeniu rąk przynajmniej na części rodzinnego majątku. Chyba że wcześniej wszystko przepuszczę.

- Masz tyle pieniędzy, że musiałbyś dokonać nadludzkiego wysiłku, żeby je stracić. Chyba nawet ty nie zdołałbyś tego dokonać.

Francis przesłał Readingowi uśmiech.

- Nie powątpiewaj we mnie, przyjacielu. Potrafię zrobić wszystko, co tylko postanowię.

- W to nie wątpię. Może jednak wrócimy na biesiadę? Do igrzysk jeszcze parę tygodni, a tymczasem dni będą się ciągnąć.

- Co do mnie, zamierzam doskonale się bawić, Reading. Znasz mnie dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że nie pasuje do mnie ani monogamia, ani abstynencja. Postanowiłem w tym roku hucznie obejść Wielki Post.

- Coś podobnego!

- Chciałbym, żeby panna Harriman zadbała o moje rozrywki.

- Nie sądzisz, że twój kuzyn Etienne może mieć coś do powiedzenia w tej kwestii? Oczywiście jeśli ją z nim wyswatasz?

- Nie. Dałby mi własną siostrę, gdybym go o to poprosił. W istocie zaproponowałbym nawet jego siostrę tobie, ale jest tłusta i płodna. Na pewno nie chcesz mieć potomstwa, póki nie usidlisz jakiejś dziedziczki.

Reading uśmiechnął się ironicznie.

- To prawda. Skąd jednak u ciebie przekonanie, że ta wiedźma jako mężatka zechce podciągnąć dla ciebie spódnicę? Wydaje mi się wyjątkowo przyzwoita. Dlaczego miałyby poddać się twoim manipulacjom?

- One zawsze to robią, drogi chłopcze. A panna Harriman... - Urwał. - Wielkie nieba.

Na zewnątrz rozległ się głośny trzask.

- Wielkie nieba? Masz bardzo dziwną minę.

Francis zerknął na błękitny aksamitny płaszcz.

- Najpierw zniszczyłem sobie buty, a teraz to - powiedział zbolalym głosem. - Obawiam się, że musimy pojechać prosto do mojego kuzyna.

- Ponieważ?

- Ponieważ zostałem postrzelony - wyjaśnił. - Powiedz woźnicy, żeby się pospieszył, dobrze?

Zamknął oczy, słysząc, że Reading gorączkowo tłucze w ściankę pudła.

Lydia kochała starszą siostrę, jednak teraz była na nią zła.

- Czy to było potrzebne? - spytała. - Ośmieszylaś się.

Elinor uniosła głowę i wtedy Lydia pierwszy raz zauważyła jej bladość.

- Nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak zepsuty jest hrabia Rohan - odparła zduszonym głosem.

- Zapewniam cię, Nell, że on się mną w ogóle nie interesuje. Nie sądzisz, że gdyby było inaczej, zdążyłby to powiedzieć? A on okazywał mi względy wyłącznie po to, żeby cię rozdrażnić.

Elinor spiekła raka. Lydii wydało się to niezwykle. Rzadko widywała starszą siostrę zakłopotaną.

- Nie rozumiesz problemu - powiedziała. - On jest dwulicowym potworem. Stracić czujność w tego obecności to tyle, co prosić się o nieszczęście. To było coraz ciekawsze.

- Czyżbyś straciła czujność? Patrzył na ciebie z wielką uwagą. Czy on... coś ci zrobił? Obraził cię w jakiś sposób?

- Nie, skądże. Czy wyglądam na kobietę zainteresowaną takimi rozpustnikami jak Rohan? Po prostu jest obdarzony bardzo szczególnym poczuciem humoru i posługuje się nim, aby dręczyć innych. Zresztą, może się mylisz. Przecież on ma do dyspozycji najpiękniejsze kobiety w Paryżu. Mimo wszystko bardzo cię proszę, żebyś uważała,

gdybyś jeszcze miała okazję go spotkać. Zakładam wprawdzie, że w przyszłości nie będzie nas nękał.

- A ja sędzę, że jeszcze go zobaczymy - odparła Lydia, nawet nie starając się ukryć uśmiešku.

- Jeśli widzisz w tej sytuacji coś zabawnego, wytłumacz mi, proszę, co to takiego.

- Spodobałaś mu się, Nell. Każdy rozumny mężczyzna powinien dostrzec, jaką jesteś wspaniałą kobietą. On nie będzie w stanie uwolnić się od myśli o tobie...

- Przestań natychmiast! - powiedziała ostrym tonem Elinor. - Wczoraj byłam po prostu osobliwością, niczym więcej. Cnotliwą kobietą w świecie dziwek. To jest bardzo płytki mężczyzna, łatwo poddający się znużeniu.

- Mnie się płytki nie wydaje.

Elinor zlekceważyła uwagę siostry.

- Po drugie, nawet gdyby żywił do mnie jakieś pokrętne uczucia, to miałby niehonorowe zamiary. Dobrze wiesz, jakie plotki słyszałyśmy o Zastępach Niebieskich. Ludzie zbierają się w pałacu i dopuszczają najbardziej występnych czynów, noszą dziwne stroje. Nie chciałabyś chyba, żebym należała do takiego świata, prawda? Nawet gdyby on mnie pragnął.

Lydia spojrzała siostrze w oczy i dostrzegła w nich tak wielką troskę, jakiej od lat tam nie było.

- Przepraszam, kochana. Nie pomyślałam w porę. Nie podoba mi się, że tak niesprawiedliwie się oceniasz, ale masz rację. Zainteresowanie tego rodzaju byłoby katastrofalne.

- To dotyczy również pana Readinga.

Lydia umiała uroczo trzepotać rzęsami i czarować mężczyzn, który przychodzili po pieniądze. Uznała więc, że potrafi również nabrać siostrę, zwłaszcza że była wzburzona. Zresztą pan Reading był dla niej po prostu uprzejmy, i to wszystko. Lydia potrafiła rozpoznawać ludzkie charaktery. Wiedziała więc, że Charles Reading jest inny niż wszyscy. Wprawdzie zachowywał dystans, ale to była tylko poza. Na myśl o nim miękły jej kolana, chociaż flirtowała z niejednym przystojnym młodzieńcem i zupełnie nie

robiło to na niej wrażenia. Wystarczyło jednak, że pojawił się nieszczęśliwy mężczyzna z blizną na twarzy, a jej wyobraźnia szalała.

- Naturalnie, Nell - powiedziała, zajęta swoimi myślami. - Zresztą on mnie nie interesuje. Przecież czekam na bogatego księcia, pamiętasz?

Elinor odwzajemniła jej uśmiech. Była zbyt zafrasowana, by zauważyć, że siostra pierwszy raz w życiu ją okłamała.

Rohan leżał w bardzo niewygodnej pozycji na wąskiej pryczy w dobrze wyposażonym gabinecie Etienne'a. Czuł, że napojono go laudanum, ale zamroczenie było w tej sytuacji korzystne. Mgliście pamiętał bardzo nieprzyjemne chwile, gdy Etienne grzebał mu w ramieniu, szukając kuli. Bez wątpienia miał satysfakcję, mogąc zadać cierpienie człowiekowi, którego uważał za uzurpatora. Tak czy inaczej, to minęło i Rohan poczuł się lepiej.

- Wracasz do świata, kuzynie.

Francis odwrócił głowę i ujrzał przyglądającego mu się z dezaprobatą Etienne'a de Giverney.

- Uratowałeś mi życie?

- Nie przesadzałbym. Kulę miałeś w ramieniu, nie w sercu. Ktokolwiek cię trafił, był marnym strzelcem.

- Musiało cię to zasmucić.

- Uważam, że zamachowcy powinni wiedzieć, co robią - odrzekł dość sztywno Etienne.

Francis zdołał samodzielnie usiąść.

- Sądysz, że to była próba zamachu?

- Trudno przypuszczać, by w Paryżu był to wypadek na polowaniu - zauważył kąśliwie Etienne. - Wydaje mi się też, że dużo ludzi pragnęłoby twojej śmierci.

Francis wyprostował się. Ramię miał owinięte bandażem, a mimo że laudanum jeszcze działało, ból dawał mu się we znaki bardzo dotkliwie. Wiedział, że po powrocie do domu będzie musiał znieczulić się z pomocą brandy.

- Nikt z nich nie jest dobrym strzelcem.

- Strzelec chybił - zwrócił mu uwagę Etienne.

- Całkiem nieźle mu to wyszło, jeśli zważyć na okoliczności. Był na gwarnej ulicy, a ja korzystałem z zasłony dawanej przez powóz. Krótko mówiąc, stawiałbym jednak na dobrego strzelca. Mógł to być ktoś niedawno zwolniony z wojska.

- Jeśli kiedyś odkryjesz, kto to był, możesz mu pogratulować umiejętności.

Rohan zapanował nad irytacją.

- Gdzie jest moja koszula? I gdzie jest Reading?

- Wypełnia twoje polecenia. Zanim poddałeś się sile laudanum, wydałeś ich całkiem sporo. W każdym razie lada chwila pojawi się służący z czystym ubraniem. Stare, przesiąknięte krwią, nie nadawało się do niczego.

- Stać mnie na nowe - powiedział Francis, aby sprowokować Etienne'a.

- Kogo starasz się ostatnio doprowadzić do upadku?

Francis uśmiechnął się uprzejmie.

- Każdego, kto tylko się zbliży. Czy chciałeś spytać o kogoś konkretnego?

- Polecieś Readingowi dostarczyć opał i żywność na Rue du Pélican. Nie wiesz, że każda kobieta z tej okolicy za parę sou pokaże ci, co ma pod spódnicą?

- Zgadzam się, że to nie jest porządna okolica, ale mieszkają tam dwie bardzo uczciwe i cnotliwe panny. W dodatku ze swoją chorą *maman*. Chciałbym, żebyś je odwiedził i sprawdził, czy możesz coś zrobić dla tej nieszczęśnicy.

- Dobroczynność nie jest w twoim stylu.

- Nie przypisuj mi szlachetnych pobudek. Mam bardzo nieczyste myśli w związku z jedną z tych panien. Chciałbym, abyś dopilnował szybkiego i bezbolesnego zejścia ich matki i ożenił się następnie ze starszą. Będzie wspaniałą żoną... ma zdrowy rozsądek i mówi to, co myśli. Doskonale zorganizuje ci życie i praktykę, a do tego urodzi pół tuzina dzieciaków.

Na chwilę zapadło milczenie.

- Wciąż potrafisz mnie zaskoczyć - odezwał się w końcu Etienne. - Nie zabiję dla ciebie żadnej staruchy. Nie zamierzam też poślubić jakiejś kobiety, żebyś mógł wciągnąć w bagno jej młodszą siostrę.

- Matka nie jest wcale taka stara, ale umiera na syfilis i jest niespełna rozumu. - Rohan dotknął postrzelonego ramienia i niespokojnie drgnął. - Na pewno odejdziesz w ciągu kilku miesięcy. Poza tym w bagno zamierzam wciągnąć twoją przyszłą żonę.

Etienne wytrzeszczył na niego oczy.

- Czasem się zastanawiam, czy nie popadłeś w obłęd.

- Na swój sposób owszem. Rozumiem, że nie marzysz o tym, żeby mi pomóc?

- Nie.

- Byłbym ci wdzięczny, gdybyś zechciał to rozważyć. Wiesz, że lubię wyrażać swoją wdzięczność w bardzo konkretny sposób. - W oczach kuzyna dojrzał błysk chciwości. - Tej matce może się przydać opieka lekarza. Mógłbym wysłać do niej kogo innego, ale postanowiłem dać szansę drogiemu kuzynowi i dziedzicowi zarazem.

Etienne wyprostował się.

- Pójdę odwiedzić tę biedną kobietę, ale dlatego, że przysiągłem opiekować się chorymi. Nie wierzę też, że dopuściłbyś do odziedziczenia przeze mnie tytułu. Byłbyś gotów ożenić się i spłodzić dziedzica na łożu śmierci, byle do tego nie doszło.

- Masz nad wyraz pochlebną opinię o mojej męskości - stwierdził Rohan. - Nie jestem jednak zainteresowany poczęciem dziedzica. Pomóż mi w tej sprawie, przynajmniej z matką. Zawsze może się zdarzyć, że w jej córce się zakochasz. Potrzebujesz żony, a ta panna to smakowity kąsek.

- Chcesz zrobić zapis na jej rzecz wyłącznie po to, by ją ściągnąć do łóża? - spytał oburzony Etienne.

- Czy nie to samo robię z tymi pięknymi dziewczynkami, które mi służą? Nawet wielkie damy oferują wdzięki za biżuterię lub pochlebstwa. Obcowanie cielesne zawsze jest rodzajem transakcji, a ja po prostu nie waham się zapłacić odpowiedniej ceny.

- Jesteś wyjątkowo cyniczny, kuzynie.

- Ty również, *mon fils*. - Rohan z wysiłkiem opuścił nogi na podłogę. Przez chwilę świat wirował mu przed oczami, wreszcie jednak odzyskał względną stabilność. - Słyszę jakieś hałasy. To pewnie wraca Reading, wypełniwszy powinność dobroczyńcy. Wyślij mu służącego do pomocy.

- Nie mam służącego, kuzynie. Pomaga mi w gabinecie starsza wdowa, ale nie pozwolę, aby usługiwała zepsutemu arystokracie.

- Będziesz szczęśliwy, kiedy zostaniesz zepsutym arystokratą, Etienne, przyznaj to. Twoja poza trybuna ludowego to efekt okoliczności, nie wyboru. Zresztą, wdowy będziesz musiał się pozbyć. Panna Harriman może się okazać zazdrosna i zaborcza, niewykluczone też, że nie spodoba jej się twoje familiarne stosunki z apetyczną wdówką. Tylko nie mów mi, że ona nie jest apetyczna, Etienne. Znam twoje upodobania aż za dobrze.

- Jeśli kobieta, której pożądasz, jest zaborcza i zazdrosna, to dlaczego się nią interesujesz? Dawniej takie cechy uważałeś za niedopuszczalne.

Zaskoczył Rohana.

- Nie mam pojęcia, dlaczego postanowiłem zdeprawować młodą kobietę, która przysporzy mi samych kłopotów. Inna sprawa, że nie poświęcałem zbyt wiele czasu rozważaniom nad motywami swojego postępowania. Pragnę jej, i to mi wystarczy. - Gdy podniósł głowę, ujrzał Readinga, wprowadzonego do pokoju przez piersiastą młodą kobietę, która musiała być „starszą wdową” Etienne'a. - Przyszedłeś mi na odsiecz, drogi chłopcze? Trudno mi znieść niechęć Etienne'a.

- Powóz czeka. Żywność i opał zostały dostarczone, meble, dywany i pościel dotrą wkrótce. Czy na pewno chcesz sobie zadać tyle trudu? Można ubrać świnię w aksamit i koronki, ale to wciąż będzie świnia.

Francis uśmiechnął się leniwie.

- Nazywasz moją przyszlą „świnią”, Charlesie?

- Przyszlą? Nie uwierzę, że masz uczciwe zamiary wobec tej panny. Kula trafiła cię w ramię, nie w głowę.

- Słusznie uważasz, chłopcze. Jestem za stary, żeby się zmienić. - Zwrócił się do naburmuszonego kuzyna. - Masz więcej tego wspaniałego laudanum, Etienne? Myślę, że aby dojechać w spokoju do Maison de Giverney, powinienem jeszcze go zażyć.

Rohan zauważył, że wzmianka o paryskim domu wywołała grymas na twarzy kuzyna.

- Dostałeś dosyć - odparł.

- Jeśli dasz mi więcej, mogę przypadkiem przedawkować i umrzeć. Czy to nie miła perspektywa, pomyśl tylko.

- Poczekaj chwilę.

Gdy Etienne wyszedł z pokoju, Rohan zwrócił się do Charlesa:

- Trzeba te panny jak najszybciej wyciągnąć z tego chlewu. Należy jednak postępować ostrożnie, moim znakiem jest przecież finezja. Podaj mi ramię. Tutaj śmierdzi kapustą i trupami. Im szybciej wrócę do swojego łóżka, tym będę szczęśliwszy.

- Twój kuzyn poszedł po laudanum.

- Zmęczyłem się widokiem jego paskudnej gęby. Niech je dostarczy przez umyślnego. Może zresztą powinniśmy mu wysłać kogoś, kto go pocieszy, na przykład Marianne? - Chwiejnie wstał. - Zabierz mnie stąd, na miłość boską. Muszę się zająć paskudnymi knowaniami. Jesteś ze mną?

- Zawsze - powiedział Reading, ujmując go za ramię. - Wiesz przecież, że pójdziemy do piekła.

- To zostało postanowione przed wieloma laty, Charlesie.

Nawet mimo zamroczenia Rohan usłyszał w głosie przyjaciela nutę wątpliwości. Wyszli na dwór. Wieczór był mroźny.

Rozdział ósmy

Dzień zapowiadał się na wyjątkowo nieudany. Po wyjściu Rohana, Elinor odczekała, aby upewnić się, że ani matka, ani siostra jej nie potrzebują i po kryjomu udała się do adwokata, pana Mitchuma. Zrozumiała, że postąpiła nierozsądnie, wychodząc z kancelarii poprzedniego dnia, zanim umówiła się na spotkanie z dziedzicem ojca. Prawda była taka, że bez wsparcia finansowego sobie nie poradzą.

Dowiedziała się od pana Mitchuma, że wprawdzie nowy baron Tolliver jeszcze nie opuścił Francji, ale właśnie składał wizytę przyjaciołom mieszkającym poza Paryżem. Nie był znany termin jego powrotu, nie można też było mieć pewności, że zechce spotkać się z ubogą krewną. Adwokat zaproponował, aby Elinor odwiedziła go ponownie za tydzień.

Po wyjściu z kancelarii długo wędrowała ulicami ciasno otulona chustą. Wprawdzie Rohan przywiózł pelisę, ale nie mogła chodzić w tym okryciu po mieście. W okolicach domu zdarto by je z niej w ciągu kilku minut.

Zresztą, gdy wychodziła, Lydia otuliła się pelisą i wreszcie było jej ciepło, więc okrycie i tak służyło swemu celowi. Elinor miała nadzieję, że siostra nie ulegnie nagłemu atakowi wyrzutów sumienia i nie przykryje futrem matki. Lady Caroline nie zasługiwała na to, a poza tym i tak wszystko, co było na łóżku, zrzucała na podłogę.

Szybko zapadał mrok i należało kończyć wędrowkę, bo po ciemku łatwo było o nieprzyjemne spotkania. Gdy dotarła pod dom, stanęła zaskoczona. W małych oknach jej mieszkania było widać światło. Przez chwilę myślała, że zabłądziła, usłyszała jednak głos Lydii, a po chwili wybuch śmiechu. Przyspieszyła kroku zaniepokojona, że wrócił jej zły duch.

Na kominku buzował ogień, a obok leżała wielka sterta drewna. Płonęły liczne świece, z małego pomieszczenia, będącego jednocześnie kuchnią i służbówką, doleciał ją aromat piezzonego kurczęcia. Nieufnie rozejrzała się dookoła, ale nigdzie nie zauważyła oznak obecności swojego prześladowcy. W pokoju były tylko siostra i niania.

- Czy to nie wspaniałe, Nell?! - krzyknęła Lydia, zrywając się z miejsca. - Drewno przyniesiono godzinę po twoim wyjściu. Wystarczy na kilka tygodni. Potem dostarczą

jedzenie. Nie uwierzysz; jest mąka, cukier, herbata, śmietana i masło. Poza tym kurczak, ziemniaki, kielbasy. Niania upiekła nam słodkie bułeczki. Są boskie.

Nie do końca, pomyślała Elinor, przypomniawszy sobie diaboliczny uśmiech Rohana.

- To wszystko będzie miało swoją cenę - zauważyła, zdejmując z ramion przetartą chustę i wchodząc głębiej do pokoju, który nagle stał się przytulny.

- Chętnie zapłacę - oznajmiła radosnym tonem Lydia. - Jeśli mam oddać swoją niewinność za ciepłe łóżko i kurczaka na obiad, to się nie zawaham. Sama bułeczka jest warta kilku nieprzyzwoitości.

- Nie żartuj z tego - przestrzegła siostrę Elinor. - To nie jest akt bezinteresownej dobroczynności.

Lydia wsunęła resztę bułeczki do ust i uśmiechnęła się z zachwytem.

- Też tak myślę. Nie sądzę jednak, żeby hrabia był człowiekiem, który weźmie cię siłą, nawet jeśli wydaje mu się, że jest zepsuty do szpiku kości. Po prostu lubi dreszczyk emocji towarzyszący zwykle polowaniu.

- Moja droga - odparła Elinor, sięgając po bułeczkę - on jest bezlitosnym, bezdusznym rozpustnikiem. Wątpię, czy jest coś, przed czym byłby gotów się powstrzymać w imię zasad moralnych, bo ich nie stosuje.

- Tego nie wykluczam. Podejrzewam jednak, że nie jest łotrem, za jakiego chce uchodzić. Lubi wyzwania i władzę. Stosowanie siły uważa za coś prymitywnego. Gdyby miał się do tego uciec, uznałby to za swoją porażkę.

- W tym przyznam ci rację, lecz on nie o mnie myśli. Nie zamierzam zaś pozwolić żadnemu mężczyźnie... - przełknęła kęs bułeczki - żeby się z tobą spoufalał... - Przełknęła następny kęs. - Jestem tutaj, żeby cię chronić... Do diabła! Masz rację! Smaczna bułeczka wystarczy, żeby zapomnieć o honorze w jednej chwili.

- Proszę nie używać takiego języka, panno Elinor - skarciła ją niania. - Za dużo czasu spędza panienka na ulicach i ze swoją matką.

- Z naszą straszną matką - dodała Lydia.

- Poza tym bułeczki przyniesiono razem ze wszystkim. Ja je tylko podpieklam. Mamy również prawdziwą gęstą śmietanę z Devonshire, czarną herbatę z Chin, świeże

przetwory z truskawek. Nawet kurczak był zabity i oczyszczony, tylko włożyć do garnka. Ktoś sądzi, że nie umiem gotować - powiedziała urażonym tonem Maude.

- Ktoś sądzi, że masz za dużo strapiień, doszedł więc do wniosku, iż zasługujesz na pomoc - zapewniła ją Lydia. Obróciła się dookoła, tocząc wzrokiem po pokoju. - Nie rozumiesz, Nell? Mamy anioła stróża, a kogo to obchodzi, czy nie jest upadłym aniołem? Ja się go nie boję. Poza tym jesteś w błędzie, on nie ma niecznych zamiarów wobec mnie, a ty na pewno potrafisz stawić mu czoło. Jeśli coś knuje, to przeżyje rozczarowanie.

Elinor przysiadła na podłodze przy ogniu, wyciągając ręce ku płomieniom. Siostra podała jej filiżankę z najprawdziwszą herbatą.

- Ktoś jest za drzwiami - powiedziała niania.

- Powiedz lordowi Rohanowi, żeby sobie poszedł - odrzekła Elinor. - Nie przyjmujemy gości o tej porze.

- To nie on. Słyszę kilku mężczyzn. Pewnie dostarczyli te wszystkie rzeczy przez pomyłkę i przyszli je odebrać.

- Tym bardziej powiedz, żeby sobie poszli - stwierdziła Elinor, której przy kominku znacznie poprawił się nastrój. - Nie pozwolę im zabrać ciepła ani herbaty.

Jacobs wyłonił się z kuchni, wyraźnie zirytowany tymi rozmówkami, i poszedł otworzyć drzwi.

- Następne zbytki - oznajmił. - Uważajcie tylko, gdzie to stawiacie - zwrócił się do mężczyzn, którzy wnieśli do mieszkania kilka mebli, dywany, materace i pościel.

Elinor zerwała się na równe nogi. - Nie możecie tego tutaj zostawić!

- Bardzo panią przepraszamy, ale mamy wyraźne polecenie - powiedział jeden z nich. - Nie zabierzemy tych rzeczy z powrotem. Proszę powiedzieć, gdzie mamy je ustawić. Nie wolno nam stąd wyjść dopóty, dopóki pani nie będzie zadowolona.

- A ja nie będę zadowolona, jeśli te rzeczy zostaną w mieszkaniu - stwierdziła zdecydowanie Elinor.

- Znacznie bardziej niż pani boję się jego lordowskiej mości, a on polecił mi dokładnie opowiedzieć o tym, co tu się działo. Wolę nie myśleć, jak by zareagował, gdybym cokolwiek musiał przywieźć z powrotem.

Elinor zwróciła się do Lydii.

- To nie do zniesienia. Jeszcze trochę i przyniosą nam ubrania i bieliznę.

Lydia uśmiechnęła się rozmarzona.

- Byłoby miło mieć znowu ładną bieliznę.

- Nie bądź śmieszna. Zaraz położę kres temu wszystkiemu.

Odepchnęła mężczyznę, niosącego dywan, i chwyciła za chustę.

- Nie możesz teraz wyjść!

- Mogę i wyjdę. Poinformuję jego lordowską mość, że jego niestosowne prezenty mają zostać niezwłocznie usunięte.

- Ale kurczak nie? - spytała nieśmiało Lydia.

- Kurczak nie - zgodziła się Elinor. - Bułeczki i opał też nie - dodała, gdy poczuła przeciąg od drzwi ciągle otwieranych przy wnoszeniu mebli.

- Nie pojedzie panienka znowu do tego pałacu! - piskliwie zaprotestowała niania.

- Nie ma potrzeby. Pan Rohan jest w swoim domu przy Rue Saint-Honoré - powiedział mężczyzna. - Jestem Rolande, zarządzam paryską posiadłością pana hrabiego. Daję słowo, że te meble są mu niepotrzebne w przepelnionej rezydencji.

- Mimo wszystko taki dar jest nie do przyjęcia. Idę.

- W razie potrzeby mogę panią zawieźć - zaofiarował się.

Elinor zmierzyła go podejrzliwym wzrokiem.

- Czy to on kazał mnie sprowadzić?

- Nie rozmawiałem z panem hrabią, *mademoiselle*. Jestem tylko jego zarządcą. Po prostu chciałem pomóc.

Długo mierzyła go wzrokiem. Wieczór był mroźny, a ona nie wiedziała dokładnie, gdzie znajduje się rezydencja Rohana.

- Idziemy - oznajmiła.

Przejazd z dzielnicy biedoty do wielkiego świata okazał się zaskakująco krótki. Dobrze się stało, ponieważ Rolande miał tylko zwykły wóz, wolne miejsce było na koźle, a lodowaty wiatr przenikał do szpiku kości. Elinor trudno było się skupić na gadaniu zarządcy, bo trzęsła się z zimna.

- Jesteśmy na miejscu, *mademoiselle* - powiedział Rolande. - Czy chciałaby pani, żebym z nią wszedł? To nie jest dom, w którym tacy ludzie jak my są ciepło witani, w każdym razie nie przy frontowych drzwiach.

„Tacy ludzie jak my?” - pomyślała zaskoczona. Uprzytomniła sobie jednak, że sługa hrabiego był lepiej ubrany od niej. Wahala się tylko chwilę.

- Pan hrabia mnie przyjmie - oświadczyła, choć wcale nie była tego pewna.

Zeskoczyła z kozła, zanim Rolande zdążył jej pomóc.

- Na wszelki wypadek poczekam, *mademoiselle*.

- Nie ma potrzeby...

- Na wszelki wypadek.

- Pan jest bardzo uprzejmy, Rolande - powiedziała. - Wspomnę panu hrabiemu, żeby podwoił pańską płacę.

- Jego lordowska mość płaci bardzo szczerze. Poza tym robię to dla pani, nie dla niego. - Spojrzał z niechęcią na wielki dom. - Proszę iść, zanim pani zamarznie.

Oczywiście, niekończące się schody, pomyślała z niechęcią, rozpoczynając wspinaczkę. Oczekiwała świateł i licznych oznak zabawy, tymczasem dom wydawał się niemal wymarły. Sięgnęła do mosiężnej kołatki, ale zanim zdążyła zastukać, drzwi się otworzyły. Kamerdyner w liberii spojrzał na nią tak, jakby była brudna jak nieboskie stworzenie.

- Wejście dla służby jest z boku - burknął i zaczął zamykać drzwi.

Zrobiła krok naprzód, żeby mu to uniemożliwić.

- Chcę się widzieć z panem hrabią. Proszę mu powiedzieć, że przyszła panna Harriman.

Kamerdyner bardzo niechętnie spojrzał na stojący w pobliżu wóz, a potem znowu na Elinor.

- Nie znam takiego nazwiska - oznajmił i zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

- Poczekaj - syknęła ze złością. - Sam się prosiłeś.

Wróciła do Rolande'a, w duchu dziękując pani Clarke za buty.

- Jedziemy do wejścia dla służby - powiedziała.

W sieni było czysto i ciepło. Słyszała rozmowę służących, prawdopodobnie przygotowujących kolację. Zadała sobie w duchu pytanie, czy mogłaby zostać służącą. Niestety, niczego właściwie nie umiała dobrze robić. Miała dziurawe ręce, co wykluczało pracę pokojówki, ze swoim koślawym szyciem nie mogłaby też zostać osobistą służącą pani, a o gotowaniu wiedziała doprawdy niewiele. Może nadawałaby się na pomoc kuchenną...

- *Mademoiselle?* - wyrwał ją z głębokiej zadumy Rolande. - Proszę iść do końca sieni, jest tam frontowy hol i schody do części mieszkalnej. Proszę uważać na Cavalle'a, on rządzi tutaj żelazną ręką.

- Dziękuję bardzo - odparła zakłopotana. - Żałuję, że nie mam pieniędzy...

- Nie trzeba. Jest mi przyjemnie, że mogłem pomóc - powiedział i skłonił głowę.

Ruszyła na spotkanie swojego losu. Nie bardzo wiedziała, co dalej, kiedy znajdzie się po drugiej stronie. Mężnie jednak pchnęła drzwi i wkroczyła do jaskini lwa. W holu było ciepło i jasno, paliły się tu najlepsze woskowe świece. Takie same jak teraz u niej w domu. Wszędzie pełno było złocień, kunsztownej snycerki, lśniących posadzek i zwierciadeł. Zajrzała do biblioteki, do nieużywanego saloniku, niewątpliwie urządzonego z myślą o pani domu, i do pokoju muzycznego, gdzie stały klawesyn i harfa. Obok znajdowała się sala balowa, w tej chwili mroczna i pusta.

Na parterze nie było ani śladu pana domu. Nie pozostawało jej nic innego, jak wspiąć się po schodach. Jeśli Rolande się mylił i hrabiego nie ma w rezydencji? Jednak gdy dotarła na piętro, dobiegł ją niski i dźwięczny głos Rohana. Zamarła w bezruchu, oczekując, czy usłyszy również odpowiedź kobiety. Rozmówca hrabiego okazał się mężczyzną, choć słów nie sposób było rozróżnić. Wysunęła się z mroku i skierowała ku miejscu, w którym prowadzono rozmowę. Nagle jej oczom ukazał się kamerdyner spotkany już przy drzwiach. Niósł na tacy karafkę i kieliszki.

- Ty! - powiedział z głęboką pogardą, ale był zbyt dobrze wykształcony, by upuścić tacę. Musiał odstawić ją na stolik, a Elinor tymczasem zerwała się do biegu.

Drzwi do pokoju były uchylone, przez szparę wylewało się na korytarz światło. Miała do celu jeszcze kilka kroków, gdy kamerdyner chwycił ją za włosy i boleśnie szarpnął. Odwróciła się i ugryzła go w rękę. Poprawiła kopnięciem, które dzięki solid-

nym butom lady Carlton też musiało zrobić na nim wrażenie. Kamedyner puścił jej włosy, ale chwycił za suknię. Szarpnęła się naprzód i usłyszała trzask rozrywanej tkaniny. Nie zważając na to, skoczyła ku otwartym drzwiom. Gdy w nich stanęła, głosy nagle zamilkły. Niewątpliwie wywołała konsternację.

TLR

Rozdział dziewiąty

Elinor odniosła wrażenie, że Reading jest wstrząśnięty jej widokiem. Co innego Rohan - sprawiał wrażenie, jakby na nią czekał. Siedział na wielkim łożu, wśród pięknych, haftowanych złotą nicią draperii, długie włosy opadały mu na ramiona, a do tego był chyba nagi. Wprawdzie dolną połowę jego ciała okrywała pościel, ale i tak trudno było mówić o skromności.

- Nie powinieneś robić takiej zdziwionej miny, Charlesie - zwrócił się hrabia do swego towarzysza. - To mój śliczny kwiatusek, którego poznałem wczoraj wieczorem. Widocznie nie mógł znieść rozstania. Czy powiedziałem ci, że ze sobą spaliśmy? Dwa razy. To niezwykle przyjemne doświadczenie.

Reading stłumił kasznięcie.

- Pan hrabia swoim zwyczajem fałszywie przedstawia rzeczywistość - wyjaśniła Elinor. - Ma na myśli to, że zasnąłam w jego obecności. Nie wszystkim jednak pan hrabia wydaje się taki dowcipny jak panu.

- Już rozumiesz, czym mnie oczarowała, przyjacielu? - spytał Rohan i nagle wyraz jego twarzy się zmienił. - Mam nadzieję, Cavalle, że nie obraziłeś panny Harriman. Byłbym bardzo niezadowolony, gdybyś nie okazał jej najwyższego szacunku.

Kamerdyner pobladł.

- Zostałam potraktowana z pełnym szacunkiem - oświadczyła Elinor, mimo wszystko nie chcąc, aby służący poniósł karę. - Cavalle chciał jedynie zaanonsować moje przybycie, aby mógł się pan okryć jak przyzwoity chrześcijanin. Niestety, spieszyłam się, więc nie zdążył.

- Rozumiem - powiedział Rohan, choć bez wątpienia nie uwierzył ani jednemu jej słowu. - To znaczy, że zawsze pani biega w podartej sukni i z rozpuszczonymi włosami? Możesz odejść, Cavalle, porozmawiamy na ten temat później.

- Tak jest, milordzie.

Rohan skupił spojrzenie błękitnych oczu na twarzy Elinor.

- A skąd pani przyszło do głowy, dziecko, że jestem przyzwoitym chrześcijaninem? Czuję się wręcz urażony.

- Zawsze należy mieć nadzieję. Chcę z panem porozmawiać, hrabio.

- Trafiła pani we właściwe miejsce, moja droga. Czy to sprawa prywatna? Reading chętnie nas tu zostawi. Proszę usiąść obok mnie. - Poklepał śnieżnobiałe prześcieradło. - Jeśli podejmuję kobietę w swojej sypialni, to lubię, żeby była jak najbliżej.

- Wolałabym, żeby pan coś na siebie włożył.

- Po co? - spytał rzeczowo.

Dopiero teraz zauważyła grubą bandaż na jego ramieniu.

- Jest pan ranny - stwierdziła zaskoczona.

- To drobiazg. Dlaczego pani chce, żebym się ubrał?

- Nie będę rozmawiała z... z nagim mężczyzną. To rozprasza.

- Trudno, gołąbeczko. Reading zaprowadzi panią do mojego pokoju dziennego, a ja zadzwonię na służącego.

- Chodźmy, panno Harriman. - Charles Reading ujął ją pod ramię. - Kiedy jest w takim kapryśnym nastroju, lepiej nie podsuwać mu niemądrych pomysłów. Poczekamy zatem na niego w innym pomieszczeniu.

Rohan zdążył odchylić pościel, więc Elinor szybko przeszła do sąsiedniego pokoju.

- Proszę usiąść, panno Harriman - zaprosił ją tymczasowy gospodarz. - Czy mogę zaproponować coś do picia? Cavalle przyniesie nam herbatę albo coś mocniejszego. On nie przepada za schodami, więc możemy się zabawić jego kosztem, każąc mu chodzić tam i z powrotem.

- Dziękuję panu, ale nie - odparła i przysiadła na krawędzi złoconego krzesła.

Za nic nie chciała pokazać po sobie, jak bardzo jest zmęczona i głodna.

- Ufam, że u pani... rodziny wszystko w porządku? I że do wyjścia z domu w taki śnieżny wieczór nie zmusiło pani nic złego?

Usłyszała niepokój w jego głosie i omal nie westchnęła. Kto tylko zobaczył jej siostrę, natychmiast się w niej zadurzał. Reading nie stanowił wyjątku.

- Moja siostra ma się dobrze - odparła.

Uśmiech Readinga był ujmujący.

- Czy mogę pani w czymś pomóc?

- To sprawa między hrabią a mną.

Usiadł na krześle obok niej.

- Jest pani rozumną młodą kobietą i na pewno zauważyła już, że jesteśmy z Rohanem przyjaciółmi. Może pani porozmawiać ze mną o wszystkim, co ją niepokoi.

- Poczekam na pana hrabiego, dziękuję.

- W takim razie pozwolę sobie odejść. Dawno nie byłem w Paryżu i winien jestem odwiedzić różnym znajomym. Naturalnie wiem, że pozostawiając panią samą, postępuję grubiańsko, niemniej przy całym szacunku, jakim panią darzę, jestem płytkim człowiekiem, a zarazem niewolnikiem swoich pragnień. Domyślam się ponadto, że Rohan woli zostać z panią sam na sam. W tej sytuacji więc przyjaźni bierze górę nad manierami.

Wstał, ujął ją za rękę i nisko się skłonił. Cofnęła dłoń, zanim zdążył złożyć na niej pocałunek, bo dobrze pamiętała, czym ostatnio skończyło się dla niej całowanie w rękę, ale Reading tylko się uśmiechnął i wyszedł.

Wyrzała przez okno, za którym wciąż padał gęsty śnieg. Zegar na kościelnej wieży wybił ósmą. Odetchnęła z ulgą. Było jeszcze całkiem wcześnie. Może nie na wizytę towarzyską, ale na załatwienie sprawy z Rohanem bez wątpienia tak. Należało jasno i wyraźnie zażądać od niego zabrania wszystkich przyniesionych mebli. Żałowała, że nie przyjęła propozycji wypicia herbaty. Ze zmęczenia kleiły jej się oczy, zwłaszcza że w pokoju było duszno, a nie mogła przecież po raz kolejny zasnąć w obecności Rohana. Zmusiła się więc, by wstać i przejść kilka kroków. Ciekawa była, co tak długo zatrzymuje gospodarza.

Ponieważ zaczęły ją nachodzić bardzo niepokojące myśli związane z hrabią i stanem, w jakim go zastała, przywołała przed oczy obraz rozległych pól w majątku swego ojca w Dorset. Jeździła po nich na klaczy, ciesząc się słońcem grzejącym twarz i orzeźwiająjącym ruchem powietrza. Miała wtedy dwanaście lat i wkrótce potem matka zabrała ją i Lydię na kontynent. Wspomnienie tych chwil zawsze przywracało jej poczucie spokoju i harmonii.

- Ma pani rozmarzoną minę, panno Harriman - wyrwał ją z zadumy Rohan. - Czyżby rozmyślała pani o mnie?

Otworzyła oczy.

- Mogłabym, gdybym wyobrażała sobie, na przykład, pańską głowę zatknietą na czubku dzidy - odparła.

Hrabia miał na sobie luźną białą koszulę, długą czarną kamizelkę przetykaną srebrną nicią oraz srebrne spodnie do kolan. Włosy związał z tyłu w kucyk. Przyglądał jej się z nieukrywanym rozbawieniem.

- Nie będę tracił czasu na pytanie, czemu zawdzięczam te zaszczytne odwiedziny - powiedział, wchodząc głębiej do pokoju. - Chce mnie pani surowo skarcić za to, że uratowałem jej siostrę od zamrożenia a może od śmierci głodowej. Nie myślę się, prawda?

Zmartwiła.

- Nie będzie pan próbował zbliżyć się do mojej siostry! - oznajmiła tonem pełnym niepokoju.

- Dlaczego pani wyobraża sobie, że to urocze dziecko miałoby budzić we mnie pożądanie? Są setki pięknych dziewcząt w tym mieście i uważam, że mogę mieć je wszystkie, jeśli tylko wykażę odrobinę zainteresowania.

- Nie wszystkie - odparła zajadle.

- Droga panno Harriman - powiedział uspokajająco, popychając ją na krzesło. - Zapewniam, że również jej siostrę mógłbym mieć, ale wydaje mi się, że zatroskałbym tym Readinga, a najlepszemu przyjacielowi czegoś takiego się nie robi. Naturalnie, on też nie może jej mieć. Musi ożenić się z dziedziczką. Poza tym mimo mojego demoralizującego wpływu jest o wiele za honorowy, aby igrać ze szlachetnie urodzoną panną.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

- *Entrez* - powiedział Rohan i pojawił się służący z ciężką tacą.

Nie był to jednak ten okropny Cavalle, a gdy Elinor poczuła zapach grzanek z cynamonem, pocięła jej ślinka.

- Uznałem, że nie będę kusił pani winem i winogronami, ale może herbata i grzanki będą do przyjęcia. - Uniósł jedną z przykrywek na tacy. - Aha, są też jajka. Doskonale, Willis, możesz odejść.

- Nie jestem głodna.

- Proszę nie opowiadać andronów. Omal się pani nie popłakała, kiedy powiedziałem „jajka”. Proszę pozwolić, że usłużę.

- Nie wezmę do ust pańskiego jedzenia.

- Dlaczego? Czy obawia się pani, że po zjedzeniu sześciu pestek granatu będzie musiała pozostać tutaj uwięziona przez całą zimę?

Spiorunowała go wzrokiem.

- Pan może sobie wyobrażać, że jest królem podziemnego świata, ale tak naprawdę jest pan jedynie zepsutym arystokratą przyzwyczajonym do robienia wszystkiego po swojemu.

- Nie będę się z panią sprzeczał - oświadczył, stawiając sobie talerz na kolanach. - Widzi mnie zresztą pani ze wszystkimi moimi wadami. Jestem tylko zepsutym, bezużytecznym hulaką. Co jednak oburza panią w moim drobnym akcie dobroczynności? I proszę się nie zaperzać, tylko zjeść jajka, zanim wystygną. Chce mi pani powiedzieć, że nie potrzebuje pomocy, ale z drugiej strony jest zbyt cnotliwą duszyczką, by kłamać. Słyszałem też, że nie zdążyła pani się zwrócić o wsparcie do swojego kuzyna. Proszę więc rozważyć to, co powiem. Gdybym utrzymywał swój dom w lepszym stanie, pani matka nie wtargnęłaby do środka i nie przepuściła żalosnej resztki majątku waszej rodziny. Można więc uznać, że po prostu spłacam dług.

Gdybym była kobietą z zasadami, nie tknęłabym tych jajek, uznała Elinor. Jednak nie zdołała oprzeć się pokusie. Po pierwszym kąsie musiała odwrócić głowę, żeby Rohan nie zauważył jej łez. Co za absurd! - płakać nad jajkami.

- Droga panno Harriman, może wytłumaczy mi pani, dlaczego tak naganne jest to, że postanowiłem okazać jej nieco hojności.

- Kto pana postrzelił?

- Nie widzę, jaki to ma związek z naszą sprawą. Reading twierdzi, że każdy, kto kiedykolwiek mnie poznał, ma powód, by do mnie strzelać, więc nie znam odpowiedzi na pytanie. Może pani strzelała?

- Ja na pewno nie chybiłabym.

- Marzy pani czy naprawdę umie dobrze strzelać? - chciał wiedzieć.

- Pragnienie pozwala zapomnieć o braku praktyki - wypaliła bez namysłu.

Zapadło milczenie i dopiero wtedy Elinor uświadomiła sobie dwuznaczność swoich słów. Skupiła uwagę na jajkach, starając się nie przejmować tym, że się zarumieniła.

- Bardzo się cieszę, że wybrała pani na odwiedziny tak cudownie niestosowną porę, panno Harriman - odezwał się po dłuższej przerwie Rohan. - Wpadłem na pomysł, który rozwiązałby problemy nas obojga. Mógłbym wtedy ku swemu zadowoleniu zaopatrzyć panią w dobra doczesne, nie narażając się na kose spojrzenia eleganckiego świata i nie wystawiając na szwank pani reputacji.

Omam nie udławiła się jajkiem.

- Co pan przez to rozumie? - spytała przerażona.

- Tylko tyle, że długie przebywanie w moim towarzystwie prawdopodobnie zniszczy pani reputację. Mam nadzieję, że nie bezpowrotnie, bo niczego nie osiągnąłem, ale mimo wszystko... W każdym razie znam rozwiązanie tego problemu.

- Ciekawe jakie.

- Znalazłem pani męża.

Całkiem ją zaskoczył.

- Nie wiedziałam, że go potrzebuję.

- Ależ naturalnie. Mając męża, będzie mogła pani osiągnąć prawdziwą swobodę badania rozkoszy życia.

- To wyjątkowo miłe, że pan o tym pomyślał - odezwała się lodowatym tonem. - Wyszukał mi pan męża, który dostarczy takich rozkoszy?

- Rzadko zdarza się, by rozkoszy dostarczał mąż, panno Harriman. To jest zadanie kochanka.

- Czyli wyjdę za mąż po to, żebym mogła wziąć sobie kochanka? Proszę mi wybaczyć, ale to jest kompletna niedorzeczność. Sądzę, że kandydat może nie zgodzić się na pański akt dobroczynności.

- Pani mnie nie docenia. Mam kuzyna, surowego młodego człowieka, który myśli o mnie jak najgorzej. Jest medykiem, doszedłem więc do wniosku, że żona pomoże mu prowadzić praktykę. To musi być kobieta, która nie boi się życia. Ręczony kuzyn jest również moim dziedzicem. Ponieważ zrobiłem wszystko, by uniknąć spłodzenia potomka, kuzyn dostanie w spadku wszystkie moje posiadłości we Francji. Wspieram go już od dobrych dziesięciu lat. Wydaje się całkiem logiczne, że będę wspierał również jego żonę.

- Wydaje mi się, milordzie, że pan oszalał - powiedziała zirytowana. - Co pan zyska na takim układzie?

- Myślałem, panno Harriman, że to zupełnie oczywiste.

- Nie dla mnie, panie hrabio.

Jajka wydały jej się nagle zimne i zaczęły jej ciążyć w żołądku. Ten absurdalny plan mógł zapewnić Rohanowi dostęp do Lydii pod płaszczykiem rodzinnych uczuć.

- Wtedy, moja droga panno Harriman, będzie pani moja.

Z tymi słowami podał jej filiżankę herbaty.

TLR

Rozdział dziesiąty

Elinor przełknęła ostatni kęs i odłożyła widelec obok złożonego talerza. Zastanawiała się, czy nie zachować go jako broni, uznała jednak, że hrabia Rohan nie ma zwyczaju posługiwać się siłą.

- Pan umie dobrze kłamać, prawda?

Siedząc na kanapie naprzeciwko niej, wyglądał jak uosobienie bezradności.

- Jak mógłbym się do tego przyznać? Jeśli ma pani rację, to mówię jej wyłącznie nieprawdę. Szkoda czasu na zadawanie takich pytań. Co innego gdyby pani chciała spytać o sposoby pieszczot. Zapewniam, że w sprawach wiedzy o rozkoszach cielesnych nie mam sobie równych.

Spojrzała na niego z wyraźną niechęcią.

- To mnie trudno mi dorównać.

- Niech pani nie kłamie, perełko. W głębi serca wie pani też, że jestem jedynym mężczyzną, który...

- Och, niech pan przestanie! To zaczyna być męczące. Proszę nie patrzeć na mnie w taki sposób, jakbym budziła u pana nieustające pożądanie. Jestem trochę za stara na takie fantazje.

- Pani jest dzieckiem.

- Może dla pana, jeśli wziąć pod uwagę jego podeszły wiek. Skończyłam dwadzieścia trzy lata i mało która kobieta w moim wieku widziała więcej. A ile pan ma lat?

Wydawał się rozbawiony.

- Trzydzieści dziewięć. Mógłbym być pani ojcem. Jako szesnastoletni młodzieniec przejawiałem dużą aktywność.

- Proszę pozwolić, że ujmę rzecz krótko. Nie interesuje mnie małżeństwo z pańskim kuzynem bez względu na powód, dla którego uważa pan to za dobry pomysł. Nie będzie pan przysyłał więcej niestosownych prezentów do naszego domu, a co najważniejsze, będzie pan trzymał się z dala od mojej siostry. Czy to jest jasne, czy mam powtórzyć wolniej?

- To jest całkiem jasne, panno Harriman - odrzekł Rohan. - Tylko co będzie, jeśli mam inne zamiary i potrzebuję zachęty, żeby dostosować się do pani surowych naka-
zów?

- Jakiej zachęty? - spytała podejrzliwie.

- Powinna pani do mnie podejść, panno Harriman - powiedział aksamitnym głó-
sem. - Pokażę pani.

To było wyzwanie. Choć rozsądek kazał je zlekceważyć, to natura mówiła co in-
nego. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, po czym Elinor przeszła przez pokój i stanęła
przed Rohanem.

- Jestem. I co dalej?

Na szczęście udało jej się zapanować nad kłopotliwym rumieńcem.

- Teraz proszę uklęknąć.

Zerknęła na niego kątem oka. W jego bajki o pożądaniu oczywiście nie wierzyła,
ciekawa była jednak, jak daleko jest gotów się posunąć.

- Znakomicie, gołąbeczko. A teraz możesz mnie pocałować.

Zamierzała wstać, ale chwycił ją za ramię i zmusił, by znowu uklęknęła. Z niepoko-
jem stwierdziła, że jest silny.

- Chcę doświadczyć pocałunku rozzłoszczonej dziewicy. Nie proszę o nic więcej,
w każdym razie nie teraz. Na ogół nie przepadam za pocałunkami, ale mgliście przypo-
minam sobie, że to jest część rytuału, jakiemu poddaje się niedoświadczone kobiety.

- Pan naprawdę jest szalony. Zakładam, że dręczy pana ta sama choroba, co moją
matkę. Naturalnie, bardzo mi pana żal, ale taką cenę płaci się za występki. Nie można
bezkarnie obcować cieleśnie ze wszystkim, co się rusza.

- Perełko, pani przecenia moje siły witalne i uważa mnie za głępszego, niż jestem.
Jak wszyscy rozsądni mężczyźni pilnuję, żeby nie zadawać się z chorymi kobietami.

- Cieszę się i życzę panu długiego życia w rozpuście. Nie zamierzam jednak stać
się jego częścią.

- Moja nieoceniona, wcale pani o to nie proszę. Domagam się tylko pocałunku.
Czy to tak wiele? Niech pani nie będzie pruderyjna. Przecież nie rozpinam spodni.

Elinor powinna być zgorszona tymi słowami, ale nie była. W różnych zaułkach i w zakątkach salonów widziała niejedno. Nie mogła tylko pojąć, dlaczego ludzie tak bardzo tego chcą.

- Czy delikatny pocałunek to naprawdę wygórowane żądanie? Potem może pani wrócić do domu moim powozem i słowo daję, że nawet nie zażądam zwrotu prezentów, które dałem.

Nie wyszłaby bez upokarzającej szarpaniny. Zresztą, nie była całkiem zdecydowana, czy pragnie wyjść.

- Jeśli naprawdę chce mnie pan pocałować, proszę wstać z kanapy.

- Tego nie zrobię. Całowaniem pani nie jestem w tej chwili zainteresowany. Nie twierdzą, że to się nie zmieni, ale tymczasem wolałbym sprawdzić, co się stanie, jeśli to pani mnie pocałuje.

Tknięta nagłym impulsem, wyrwała się i rzuciła ku drzwiom. Rohan okazał się jednak zaskakująco szybki. Dopadł ją, zanim pociągnęła za klamkę, chwycił za ramiona i odwrócił ku sobie.

- Powiedziałem przecież, że bez pocałunku pani nie wyjdzie. Zapewniam, że to nic trudnego.

Z tymi słowami przytknął usta do jej warg.

To był dla Elinor wstrząs. W tak intymnej sytuacji jeszcze się nie znajdowała. Ten pocałunek bardzo różnił się od skromnego cmoknięcia, jakie sobie wyobrażała. Pierwszy raz przemknęło jej przez myśl, że chyba już rozumie, dlaczego ludzie tak bardzo tego pragną.

Wreszcie Rohan podniósł głowę.

- Przeżyła to pani i nic złego się nie stało. Teraz pani pocałuje mnie. Chcę poczuć smak dziewiczego pocałunku.

- Przykro mi, ale nie spełniam wymagań - powiedziała drętwą Elinor. - Musi pan poszukać kogo innego na moje miejsce.

- Nie uwierzę, że nikt nigdy pani nie całował. To niemożliwe. Są w Paryżu głupi mężczyźni, ale przecież nie wszyscy.

- Cały świat jest pełen głupich mężczyzn. A poza tym owszem, byłam całowana.

- Chyba ma pani rację w sprawie mężczyzn. Powinienem był spróbować raczej w ten sposób.

Tym razem ledwie musnął jej wargi. Odruchowo je rozchyliła. Rohan objął ją i głaszcząc po twarzy, pogłębił pocałunek. Zawstydzona Elinor musiała w duchu przyznać, że tego pragnie. Gdy chwilę potem Rohan cofnął głowę, przyjrzał jej się badawczo.

- Rzeczywiście była pani wcześniej całowana, ale i tak nie spełnia moich wymagań - powiedział. - Skoro nie jest pani dziewicą, nic nie powinno powstrzymać pani przed pójściem ze mną do łóżka.

Sama się o to prosiła. Chciała przyprawić go o wstrząs, ale sama tylko poczuła się bardziej upokorzona.

- Nie? - wycedził leniwie, odwracając się do niej bokiem. - Mogę pani udzielić lekcji.

Natychmiast wycofała się do stołu, gdzie obok jej talerza wciąż leżał widelec. Jako broń wydawał się dość żaloszny, ale lepszy niż nic.

- Jeśli jeszcze raz mnie pan dotknie, dźgnę pana.

Rohan popełnił gruby błąd, ponieważ się roześmiał.

- Przez ubranie nie wyrządzi mi tym pani wielkiej krzywdy, gołąbeczko. Nie warto mi zresztą grozić. Nigdy nie uwiodłem kobiety wbrew jej woli.

Niepewnie opuściła ramię.

- Jest pani stanowczo zbyt interesująca, bym miał ją wziąć gwałtem. Nawiasem mówiąc, co chciała pani zrobić z tym widelcem?

- Mogłabym wybić panu oko.

- Nie sposób trafić. Poza tym pani wcale tego nie chce. Wolałaby, żebym znowu ją pocałował. Zaraz tego dowiodę.

Wyciągnął do niej ramiona. W panice uniosła ramię i z całej siły uderzyła widelcem w miejsce, gdzie Rohan miał bandaż.

To, co stało się później, zaskoczyło ją w najwyższym stopniu. Rohan wzdrygnął się, ale jej nie puścił. Chwilę potem leżała na kanapie, a on tulił ją tak, jak ojciec tuli zrozpaczone dziecko. Nagle usłyszała swój głośny szloch.

Rohan otoczył ją ramieniem, nie zważając na sączącą się z rany krew, i trzymając jej głowę przy piersi, delikatnie głaskał ją po włosach i twarzy. Jak z oddali słyszała jego kojące słowa, ciepły, uspokajający głos. Pierwszy raz od bardzo, bardzo dawna zapomniała, że musi walczyć. Poczwała, że nie musi się niczym przejmować.

Panna Harriman wykazywała zadziwiającą umiejętność zasypiania w jego obecności. Rohan pogłaskał ją po załamanej twarzy. Zastanawiał się, czy nie zanieść jej do łóżka, żeby tam mogła się wyspać, ale uznał, że to zły pomysł. Gdyby niebacznie ją zbudził, naraziłby się na kolejny cios, a tego nie chciał ryzykować. Mógłby upuścić ją na ziemię i romantyczny nastrój diabli by wzięli. Omal nie roześmiał się głośno. Romantyczne gesty były mu całkiem obce. Mógł się zdobyć jedynie na to, czego sam przed wielu laty doświadczył od pani Clarke.

- Śpij spokojnie, moja miła - szepnął.

Na adamaszkowym obiciu kanapy widać było ślady jego krwi. Pomyślał, że jeśli będzie spędzał więcej czasu z panną Harriman, czeka go radykalna wymiana garderoby i mebli, wszystko bowiem zużywało się w zastraszającym tempie. Popatrzył na śpiącą pannę. Nie przypominała w niczym piękności, które go otaczały. A mimo to zainteresowała go. Dlaczego? Odpowiedź sama się narzucała. Ze znużenia. Panna Harriman była całkowitą nowością w jego sferze, a on potrzebował świeżości. Wiedział, że wkrótce się nią znudzi, tymczasem jednak miał rozrywkę.

Etienne wydawał mu się idealnym kandydatem na jej męża. Niby nie podejrzewał kuzyna o talenty do rozbudzania kobiecych zmysłów, ale przecież Francuzi mieli pod tym względem bardzo dobrą opinię. Przy odrobinie szczęścia medyk pomoże panie Harriman wyrzucić z głowy bolesne wspomnienia, a wtedy on, Rohan, wkroczy i uzupełni jej edukację. No i znika problem dziewictwa.

Zauważył nagle, że krew ścieka mu z ramienia na dywan, więc ruszył w stronę sypialni, po drodze pozbywając się odzienia. Jego osobisty służący, Georges, który spał w garderobie, pojawił się niemal natychmiast. Dyskretnie stłumił ziewnięcie, ale gdy zerknął na zakrwawione ubranie pana, natychmiast się ocknął.

- Co się stało, milordzie? - spytał wstrząśnięty. - Pańska rana znowu krwawi. Zaraz wezwę doktora. Pan musi się położyć...

Rohan odtrącił wyciągnięte do pomocy ręce.

- Zwykła nieostrożność z mojej strony. Nie potrzebujemy medyka, sam zmienisz mi bandaż. Najpierw jednak idź do pokoju dziennego i okryj śpiącą tam młodą damę.

Georges, jak można było oczekiwać, bardzo się zmieszał.

- Młoda dama? W pokoju dziennym? I pan nie chce, żeby tam była?

- Myślę, że to ona może mieć zastrzeżenia. Tymczasem jednak śpi, więc bardzo uważaj, żeby jej nie zbudzić. Weź coś jedwabnego, futrem jej nie przykrywaj, bo nie chcę, żeby mi je zniszczyła. Ja tymczasem ściągnę to zakrwawione ubranie i wtedy przyjdiesz mi pomóc.

- Milordzie...

- Czyżbym zachęcał do dyskusji?

Georges zbladł. Większość służby bała się Rohana. Nie bez powodu; nie był dobrym człowiekiem.

- Pamiętaj, jeśli ją zbudzisz, będę bardzo zły.

- Naturalnie, milordzie. - Służący wziął jedwabne przykrycie świeżo posłanego łóżka i znikł za drzwiami.

Wkrótce wrócił.

- Panie hrabio, ona poszła - zameldował lekko drżącym głosem.

Rohan pobiegł do pokoju dziennego. Okazało się, że Georges miał rację. Elinor nie było. Podszedł do okna z nadzieją, że zobaczy ją śpieszącą ulicą. Nic z tego.

- Zbierz służbę i poszukajcie jej - polecił. - Jeśli okaże się, że nie ma jej pod tym dachem, wyślij kogoś, żeby przekonać się, czy bezpiecznie wróciła do domu.

- Czy ten ktoś ma ją sprowadzić z powrotem, milordzie?

Rohan pokręcił głową.

- Na to jeszcze przyjdzie czas - orzekł beztrósco. - Kiedy wykonasz moje polecenia, pomożesz mi się ubrać. Wychodzę do miasta. Dziś wieczorem potrzebuję towarzystwa. Damskiego towarzystwa.

- Rozumiem, milordzie.

Powinien był zauważyć, że panna Harriman tylko udaje sen. Może zresztą zasnęła naprawdę, a zbudziła się dopiero wtedy, gdy kładł ją na kanapie. Tak czy inaczej, posta-

nowił zostawić ją w poczuciu, że przed nim uciekła. Miał na głowie igrzyska i inne sprawy. Niech tymczasem panna Harriman poczuje się bezpieczna.

Tymczasem.

Elinor dotarła do domu półżywa z zimna. Ogień na kominku wygasł, ale rozżarzone polana nadal wydzielały miłe ciepło. Dawniej obie z siostrą spały na posłaniach przy samym kominku, teraz jednak nie było ani śladu Lydii. Elinor poszła więc ciemnym, wąskim korytarzem. Mała spiżarnia, przedtem pełna kurzu i pajęczyn, została dokładnie wysprzątana. Teraz znalazły w niej miejsce łóżko i stojak na miskę. Na łóżku leżała Lydia i smacznie spała.

Elinor wróciła do saloniku. Spojrzała na kanapę, ponieważ jednak niebezpiecznie przypominała jej tę u Rohana, wolała położyć się skulona przy kominku.

Zaczęła wspominać.

TLR

Rozdział jedenasty

Miała wtedy siedemnaście lat i myślała, że kiedyś będzie szczęśliwa, mimo że odziedziczyła po ojcu nos Harrimanów. Była młoda, silna i pełna nadziei. Mieszkała z siostrą i matką na obrzeżach centrum miasta, ponieważ zasoby finansowe powoli się wyczerpywały. Lady Caroline od miesięcy nie miała hojnego adoratora.

Elinor była z tego zadowolona. Mężczyźni, którzy pojawiali się na dłużej, zazwyczaj odnosili się do matki z krępującą poufałością, przenoszącą się również na córki. Kiedy lady Caroline akurat nie była z nikim związana, najczęściej wychodziła wieczorami, aby grać w karty. Jeśli zostawała w domu, zwykle wyładowywała zły humor na Elinor. Lydii nigdy nie atakowała.

Zdarzało się jednak, że matka pojawiała się w szampańskim nastroju, roześmiana i radosna. Tak jak tamtego dnia, gdy wróciła do domu z popołudniowej wizyty i zaczęła tańczyć z małą Lydią w salonie. Elinor przyglądała się temu oczarowana. Ich matka potrafiła urzec każdego, a przed sześcioma laty była u szczytu powodzenia. Objawy jej choroby jeszcze nie rzucały się w oczy, Elinor miała siedemnaście lat, a Lydia jedenaście.

- Poznałam wspaniałego mężczyznę, moje kochane - powiedziała. - Jest starszy ode mnie, bogaty i ustabilizowany. Od Solange wiem, że o mnie pytał, zresztą specjalnie zaprosiła go tego popołudnia i od razu między nami coś się zaczęło. Idę do niego dziś wieczorem i jeśli dopisze nam szczęście, wprowadzimy się razem do jego domu. Nareszcie wyniesiemy się z tej ohydnej, mieszczańskiej nory.

- Czy on jest przystojny, mamó? - spytała Lydia.

- To nie ma znaczenia. Ważne jest piękno wewnętrzne.

- Kto to jest, mamó? - zainteresowała się Elinor.

- Szlachetnie urodzony i niewyobrażalnie bogaty człowiek. Wspominałam już o tym? To sir Christopher Spatts. Czy nie pięknie się nazywa? Tak bardzo po angielsku, chociaż mieszka w Paryżu. Zresztą, wydaje mi się, że minęło dość czasu, abym mogła wrócić do Anglii. Naturalnie, w najwyższych kręgach nie będziemy przyjmowane, ale większość towarzystwa na pewno już zapomniała. Tyle jest nowych skandali. Czy nie

byłoby wspaniale znów zobaczyć Anglię? Mogłabyś pojeździć konno, Elinor. Christopher nie ma stajni w Paryżu, ale kiedy się wprowadzimy, to może zechce wynająć ci klaczkę. - Znów wykonała kilka tanecznych kroków. - Ciekawa jestem, czy mogę liczyć na małżeństwo. On nie ma nawet tytułu baroneta, więc może... Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby go poślubić.

- Pani stawia sprawę na głowie - oświadczyła niania Maude, która jako jedyny domownik nie wahała się otwarcie powiedzieć w obecności lady Caroline, co myśli.

- E tam! - odparła ze śmiechem. - Wszystko będzie wspaniale.

Lady Caroline dała się ponieść fantazji, niewiele to miało wspólnego z rzeczywistością, ale radość wypełniała cały dom. Wieczorem wyszła z domu wystrojona w szmaragdy Harrimanów, które miała odziedziczyć po niej Elinor, i wróciła dopiero ponad dwa tygodnie później. Właśnie wtedy Elinor pierwszy raz poznała smak odpowiedzialności za innych. Poradziła sobie całkiem dobrze, ale nadzieje na wspaniałą przyszłość skończyły się po powrocie lady Caroline. Wkroczyła do domu tanecznym krokiem, zatoczyła się na krzesło i oznajmiła, że jest ledwie żywa. Miała na sobie nowy, kosztowny strój, ale biżuteria znikła. W dodatku jej skóra miała żółtawy odcień.

- Gdzie są szmaragdy, mamó? - spytała Elinor.

Była to przecież najcenniejsza własność rodziny, lokata na czarną godzinę.

- Ależ ty jesteś mała kutwa - odparła matka z pogardą. - Jeśli musisz wiedzieć, tymczasowo są w innych rękach.

- Oddałaś je do czyszczenia? Do naprawy?

- Straciłam je w wyniku zakładu. Mam nadzieję odzyskać je za kilka dni. Okropnie jesteś chciwa, Elinor. Nie dorównujesz urodą swojej siostrze i dlatego powinnaś się postarać o uzyskanie właściwej pozycji w towarzystwie. - Spojrzała z niechęcią na córkę. - Skąd wzięłaś taką suknię?

Była to jedna z dwóch sukni, które Elinor nosiła przez ostatni rok. Nie było pieniędzy na inne, zwłaszcza że o obraz rodziny w wielkim świecie dbała lady Caroline, i to jej wygląd był dużo ważniejszy. Zanim jednak Elinor zdecydowała się odpowiedzieć, matka już przeniosła zainteresowanie na Lydię.

- Jesteś, kochanie. Jak ja za tobą tęskniłam! Daj mamie buzi!

Lydia rzuciła jej się w ramiona.

- Przeprowadzamy się, mamo?

- Nie sędzę, kochanie. Uznałam, że sir Christopher to jednak nie jest mężczyzna dla mnie. Przede wszystkim jest za stary. Poza tym... - Wzruszyła ramionami. - W każdym razie przyjdzie tu dzisiaj na podwieczorek. Macie być bardzo grzeczne. A ty, Elinor, postaraj się wyglądać trochę ładniej. Czy nie znajdzie się nic lepszego, co mogłabyś włożyć?

- Nie - wtrąciła niania Maude.

- Już wiem, co zrobimy. Nasi sąsiedzi mają córkę, tę z końską twarzą. Na pewno uda mi się ich przekonać, żeby na jeden dzień pożyczyli jedną z jej sukni.

- Clothilde Bonneau ma trzynaście lat - sprzeciwiła się Elinor - i jest dużo grubsza ode mnie.

- Z tym sobie poradzimy. Niania świetnie szyje. Przynieście mi papier listowy, niewiele czasu nam zostało.

Oczy gorączkowo jej błyszczały, a na uróżowanych policzkach miała dwie ciemne plamy. Urok lady Caroline zadziałał i suknię pożyczono niemal natychmiast. Była w okropnym, zjadliwym odcieniu, a piersi Elinor zupełnie nie mieściły się w staniku, na szczęście skromnym. Gdy w końcu Elinor obejrzała się w lustrze, okazało się, że dzięki umiejętnościom niani wygląda w kosztownej toalecie całkiem ładnie.

Matka z zadowoleniem cmoknęła.

- Szkoda, że jesteś taka pospolita, dziecko, ale zrobiliśmy, co w naszej mocy. Miejmy nadzieję, że to wystarczy.

- Do czego, mamo?

Lady Caroline nie odpowiedziała, jednak pierwszy raz to nie młodsza córka była w centrum uwagi. Poleciała Lydii włożyć najstarszą suknię, jej falujące złociste włosy zaplotła w dwa warkocze i kazała jej podczas wizyty siedzieć w kącie ze spuszczoną głową, żeby nie zwracała uwagi żywymi niebieskimi oczami, zadartym noskiem i kształtną buzią.

Sir Christopher Spatts okazał się dużo starszy od lady Caroline. Był otyły, nosił perukę z długimi włosami, miał nalaną twarz i znamię na policzku. Jego palce ozdobione

sygnetami przypominały kiełbaski. Elinor nie lubiła zwracać na siebie uwagi, ale tym razem nie pozostawiono jej wyboru. Sir Christopher szczekliwym głosem stawiał jej pytania, przez cały czas ukradkiem zerkając na Lydię, która starała się wtopić w otoczenie.

Ciągnęło się to bez końca. Sir Christopher obsypał się okruchami ciasta i siorbał herbatę. Wreszcie gość wstał.

- Może być - powiedział, energicznie skinąwszy głową. - Zgadzam się na pani cenę. - Omiótł wzrokiem pokój. - Wolałbym młodszą. Zapłacę podwójnie.

- Nie, sir Christopherze - odparła lady Caroline.

Gdy ponownie skinął głową, przekrzywiła mu się peruka. Porządny służący nie wypuściłby pana z domu świadom, że grozi taka sytuacja. Elinor z trudem ukryła uśmiech.

- Oczekuję, że dotrzyma pani warunków umowy, lady Caroline - powiedział, choć wyraźnie nie był zadowolony.

- Naturalnie, sir Christopherze. Zawsze dotrzymuję słowa. Pana pełnomocnik może odwiedzić mnie w tej sprawie w dogodnym dla niego terminie.

Mężczyzna obdarzył Elinor pożegnalnym niechętnym spojrzeniem, charknął i wyszedł, zostawiając za sobą wyraźną smugę zapachu.

- Idź do drugiego pokoju, droga Lydio - poleciła lady Caroline. - Muszę porozmawiać z twoją siostrą. Ty też idź sobie, stara - zwróciła się grubiańsko do niani.

Elinor rozumiała naturalnie, co się dzieje, mimo że nie padło na ten temat ani jedno słowo. Wiedziała, że prędzej czy później do tego dojdzie. Matka znalazła jej męża. Powinna być wdzięczna. Sir Christopher opływał w dostatki. Mogła też mieć nadzieję na jego niewierność, co oznaczałoby, że nie będzie jej zbyt często narzucał swego towarzystwa.

Lady Caroline spojrzała na nią niepewnie, jakby z poczuciem winy.

- Nie martw się, mamó. Rozumiem, co się dzieje.

- Rozumiesz?

- Oczywiście. Uzgodniłaś moje małżeństwo z sir Christopherem. Traktuję to jako swój obowiązek. Prawdopodobnie nie będę miała wielu innych szans, więc powinnam się cieszyć.

- Niezupełnie tak - powiedziała matka, odwracając spojrzenie.

Elinor starała się nie okazać, jak bardzo jej ulżyło. Woląла swoje staropanieństwo niż kogoś w rodzaju sir Christophera, ale dla Lydii była gotowa się poświęcić.

- O co więc chodziło?

Lady Caroline stanęła w wystudiowanej pozie przy oknie.

- Jesteśmy w dosyć trudnym położeniu. Dlatego potrzebujemy twojej pomocy. Dla swojej siostry zrobiłabyś wszystko, prawda?

- Oczywiście.

- Miałam nadzieję, że właśnie to usłyszę. Jesteś wyjątkowo lojalna, wiem, że zawsze mogę na ciebie liczyć.

Elinor westchnęła cicho. Ta rozmowa przybierała dziwny obrót.

- Co mam zrobić? - spytała.

- Sir Christopher ma... dość szczególne zainteresowania, tak to nazwijmy. Wiesz coś o męskich pragnieniach, prawda?

Elinor przytaknęła, choć nie wiedziała na ten temat niczego.

- Ojciec sir Christophera umarł na francuską chorobę, więc sam sir Christopher bardzo boi się zarazić i wyjątkowo starannie dobiera sobie kobiety.

- Nie rozumiem.

- On bierze do łóżka jedynie dziewice. Jego zdaniem to jedyny sposób, by mieć pewność, że kobieta jest zdrowa.

Elinor roześmiała się.

- W końcu pewnie mu ich zabraknie.

- O ile wiem, chętnie przyjmuje pod swój dach bardzo młode dziewczęta. A jeśli któraś mu odpowiada, zatrzymuje ją na dłużej i w ten sposób zapewnia ujście swojej... męskiej sile.

Elinor nabierała podejrzania, że wie, w czym rzecz.

- Co to ma wspólnego ze mną?

- Sir Christopher słyszał o moich dwóch córkach. Chce jedną z nich w zamian za moje weksle. Jest gotów darować mi długi i dołożyć tysiąc funtów, a jeśli będzie zado-

wolony, to nawet więcej. Słyszał o urodzie Lydii, ale stanowczo mu odmówiłam, więc jest skłonny przystać na ciebie.

- Chcesz, żebym spała w jego łóżku? - spytała Elinor, nie wierząc własnym uszom.

- Nie patrz tak na mnie. Przecież nie masz szans na porządne małżeństwo, nie musimy więc przejmować się twoim dziewictwem. Gdybyś w przyszłości mimo wszystko przypadkiem kogoś znalazła, to są różne sposoby... Tymczasem nadarza nam się wielka szansa. Możemy nie tylko wyjść z długów, lecz również odłożyć trochę na zapas. Powinnyśmy być wdzięczne...

- Jak to my? - zdziwiła się Elinor. - Nie zrobię tego.

Matka spojrzała na nią z niechęcią.

- Powinnam była wiedzieć, że jesteś egoistką. Wobec tego porozmawiam z Lydią.

- Ona ma jedenaście lat!

- Powiedziałam ci, że sir Christopher jest... dziwny. Przez cały czas chciał właśnie ją, ale miałam nadzieję, że zdołamy jej tego oszczędzić. Skoro jednak podwoił ofertę, to jeśli odmówisz, Lydia będzie musiała zająć twoje miejsce.

- Chcesz zrobić dziwki z córek, żeby spłacić swoje długi, tak? - spytała Elinor. - Jeśli nie będę spać z tym obleśnym staruchem, to oddasz w jego łapska Lydię? Dobrze rozumiem?

Lady Caroline nawet się nie wzdrygnęła.

- Dostałaś szansę uratowania rodziny, zapewnienia bezpieczeństwa młodszej siostrze i wspomżenia matki w potrzebie. Możesz samolubnie odmówić albo z wdzięcznością przyjąć tę propozycję. Wybór należy do ciebie.

Wyboru jednak nie było. Nawet niania, która pokłóciła się z matką późnym wieczorem, w końcu ustąpiła. Różową sukienkę zwrócono sąsiadom, a modniarka lady Caroline błyskawicznie przygotowała dla Elinor specjalną kreację. Do tego wyposażono ją w komplet przezroczystej bielizny daytime i nocnej.

Następnego wieczoru przyjechał po nią powóz. Podczas drogi siedząca w nim kobieta o pociągłej twarzy nie odezwała się do niej ani słowem, tylko spoglądała na nią z głęboką pogardą. Elinor dobrze wiedziała, że zasłużenie.

W domu sir Christophera było gwarnie i wesoło. Elinor machinalnie skierowała się w stronę odgłosów życia, ale kobieta chwyciła ją za ramię.

- To nie jest miejsce dla ciebie - powiedziała po francusku. - Masz czekać na niego w swoim pokoju. Będzie z tobą służąca.

- Myślałam...

- Jesteś tutaj tylko w jednym celu, *mademoiselle*. Nie zapominaj o tym i o nic mnie nie pytaj. Kiedy pokażę ci twój pokój, masz być cicho i robić to, za co bierzesz pieniądze.

Elinor najchętniej obróciła by się na pięcie i wyszła, ale przypomniała jej się zdziwiona mina siostry, której tłumaczyła, że wyjeżdża na pewien czas do przyjaciółki we Włoszech. Nie wiedziała, czy matka potwierdzi jej wersję, ale nie miało to znaczenia. Tak więc *madame* Hachette zaprowadziła ją na górę, do przestronnego narożnego pokoju, w którym na podwyższeniu stało niepokojąco wielkie łóżko.

- Czy to jego sypialnia? - spytała Elinor.

- Nie zadawaj głupich pytań. On tu przyjdzie, kiedy mu się zachce. Poza tym masz nie wychodzić z tego pokoju. Jedzenie będzie przynoszone.

- A co robić z resztą czasu?

- To nie moja sprawa. Rób to samo, co inne dziewczyny - odparła bezdusznie. - Marie będzie dbać o twoje potrzeby. Jako służąca jest beznadziejna, ale przecież i tak żadnych zachcianek nie będziesz miała.

W pokoju pod ścianą stała młoda dziewczyna ze spuszczoną głową.

- Jeśli pani chce, mogę w czymś pomóc - powiedziała cicho, gdy zostały same.

Elinor pozwoliła przebrać się w nową, przezroczystą bieliznę.

- On nie będzie od pani wiele żądał - zapewniła ją rzeczowo Marie. - Trzeba spokojnie leżeć i pozwalać mu na to, co chce robić. Jeśli pani zażyje opium, łatwiej to znieść.

Elinor spojrzała w smutne oczy dziewczyny i nawet nie musiała pytać, skąd tyle wie.

Zażyła więc opium, wdrapała się do łóżka, a kiedy przyszedł sir Christopher, nawet nie drgnęła i nie wydała żadnego dźwięku. Po prostu zamknęła oczy i zasnęła. Przez trzy

miesiące widywała za dnia jedynie Marie. Podbierała książki z biblioteki, żeby czymś zająć Elinor, przygotowywała jej napary zabezpieczające przed poczęciem i pomagała odpływać w zapomnienie, kiedy przychodził pan domu.

Skończyło się to równie nagle, jak się zaczęło. Któregoś ranka Elinor wstała, zmyła z siebie zapach sir Christophera i nagle pojawiła się *madame* Hachette, by odwieźć ją do domu. Wciąż miała na twarzy ten sam wyraz pogardy. Elinor nawet nie zdążyła pożegnać Marie. Wchodząc do domu, spodziewała się zobaczyć zmiany. Stała w holu i rozejrzała się dookoła. Owszem, były ślady dostatku, nowy dywan przy wejściu i chiński wazon na stoliku przy schodach, poza tym jednak wszystko zostało po staremu.

Matkę zastała w sypialni. Na twarzy miała krosty. Niania siedziała na krześle w pobliżu łóżka.

- Znudził się tobą, co? - odezwała się matka. - Powinam była wiedzieć, że nasza dobra passa nie potrwa długo, skoro wszystko zależy od ciebie. - Odwróciła głowę.

Niania zerwała się z miejsca i mocno uściskała Elinor, która próbowała się bronić, bo od dawna nikt nie dotykał jej z taką czułością, a ona czuła się brudna i wstrętna. Mięło wiele miesięcy, nim Elinor psychicznie doszła do siebie. Dopiero wtedy któregoś dnia objęła siostrę i porządnie się wyplakała.

Rozdział dwunasty

Następne dziesięć dni okazało się dla Elinor trudnym wyzwaniem. Codziennie przywożono prezenty od Rohana. Pogodziła się z tym, że nie ma innego wyjścia, jak je przyjmować. Za każdym razem pisała uprzejmy bilecik z podziękowaniem i obiecywała odwzajemnić się w nieokreślonej przyszłości.

Na szczęście Rohan nie próbował kontaktować się z Lydią, więc Elinor stopniowo odzyskiwała spokój. Jednak trzeciego dnia po jej wizycie u hrabiego ktoś niespodziewanie zapukał do drzwi.

- Idź do sypialni, Lydio - poleciała, wstając z krzesła przy kominku. - Zaraz go wyproszę.

Siostra bez sprzeciwów spełniła jej życzenie. Wiedziała, że swoją urodą przyciąga uwagę, czasem bardzo niepożądaną.

Elinor spodziewała się zobaczyć lorda Rohana, tymczasem Jacobs wpuścił rosłego młodzieńca, który na progu musiał się pochylić. Przybysz był nieskazitelnie ubrany i trzymał w dłoni torbę lekarską.

- Panna Elinor Harriman? - spytał wzorową francuszczyzną. - Nazywam się Etienne de Giverney. Przysłała mnie mój kuzyn, hrabia de Giverney. Podobno mogę w czymś pomóc.

Wpatrywała się w niego osłupiała, gdy przypomniała jej się propozycja Rohana, by poślubiła tego młodego człowieka. Sam pomysł był niedorzeczny, ale pomocą medyka nie należało gardzić.

- Pan jest bardzo uprzejmy. Mam ciężko chorą matkę. Będę bardzo wdzięczna, jeśli pan spojrzy, czy może coś dla niej zrobić.

- Zrobię, co w mojej mocy - zapewnił sztywno. - Wiele kuzynowi zawdzięczam. Zapłacił za moje kształcenie i pilnuje, abym miał pacjentów.

- Pan hrabia jest bardzo uczynny - odważyła się stwierdzić.

Medyk parsknął.

- Powiedzmy, choć o nazywaniu go hrabią można by dyskutować.

- Jak to? - spytała Elinor, niewątpliwie zgodnie z jego oczekiwaniami.

- Tytuł wicehrabiowski w Anglii piastuje inny człowiek, natomiast tytuł hrabiego de Giverney należy się mnie. To czysty przypadek, że jeden z nas urodził się tak, a drugi inaczej. Gdyby Rohan był człowiekiem honoru, nie przyjąłby tytułu.

Co za zadufany w sobie młokos, pomyślała Elinor, i pełen zapiekłej złości.

- Nie wydaje mi się, żeby hrabia Rohan słynął ze swojej bardziej szlachetnej części charakteru.

- Powiem pani, *mademoiselle*, że to jest dla mnie bardzo trudne. Ja, prawdziwy de Giverney, muszę ciężko pracować, a tymczasem on bawi się w pałacu, ma kamienicę, pieniądze...

Okazała mu współczucie tyle razy, ile należało, w duchu dziękując opatrności za nos Harrimanów. Nawet gdyby rozważała małżeństwo, to na pewno nie z tym nadętym młodzieńcem. Zaprowadziła go do sypialni lady Caroline.

- Choroba hiszpańska - powiedział ze znużeniem. - Bardzo rozwinięta. Nic już nie można zrobić, jedynie ulżyć w cierpieniach.

Pochylił się nad chorą i uniósł jej powieki. Oczy miała mętne i szkliste, ale zdołała wysyczeć obsceniczne przekleństwo.

- Bardzo przepraszam - bąknęła skonsternowana Elinor.

- To nie ma znaczenia. W późnych stadiach chorego trawi obłęd, z człowieka, którym był dawniej, zostaje bardzo niewiele. Pani matka na pewno była szczodłą i życzliwą kobietą, zanim została ciężko doświadczona. Zakładam, że zaraziła się chorobą od pani ojca. Czy on jeszcze żyje?

- Niestety, nie. Zmarł niedawno, zostawiając nas z pustymi rękami. Gdyby nie pański kuzyn, byłybyśmy zdane na łaskę losu.

- Mam dla pani matki laudanum. Proszę dawkować ostrożnie. W miarę nasilania się bólu i pogarszania nastroju, dawki należy zwiększać. Jeśli za dwa tygodnie jeszcze będzie żyła, wpadnę do niej.

Zamilkł, ujrawszy zaglądnącą do pokoju Lydię.

- Nie wygląda pan jak księżę ciemności - powiedziała bez ogródek.

- To jest pan Etienne de Giverney - przedstawiła gościa Elinor, obrzucając siostrę karcącym spojrzeniem. - Właśnie wychodzi...

Nie zdążyła dokończyć, bo medyk wysunął się przed nią i ujął Lydię za rękę.

- Moja droga pani, to musi być dla pani przygnębiające przeżycie.

Większość mężczyzn ulegała czarowi Lydii od pierwszego wejrzenia i ten nadęty młokos nie był wyjątkiem.

- Doktor de Giverney mówi, że matce zostało niewiele czasu. Musimy starać się, aby jak najmniej cierpiała. Doktor zakończył wizytę - oznajmiła dobitnie Elinor.

- Przeciwnie, panno Harriman - zaprzeczył młody człowiek, wpatrując się w błękitne oczy Lydii. - Jeszcze nie skończyłem badania. Kiedy to się stanie, niezwłocznie poinformuję panią i jej siostrę, czego możecie oczekiwać. Wasza matka jest bardzo chora, ale to nie znaczy, że niczego nie można dla niej zrobić. Tymczasem proszę, aby zstawiły mnie panie z chorą - zakończył, wskazując drzwi.

Mogło być gorzej, pomyślała Elinor, polecając podać herbatę dla trzech osób. Doktor był przystojny i przynajmniej coś umiał. Doskonale nadawał się na męża dla Lydii, choć oczywiście zanim choroba zaatakowała umysł lady Caroline, ich matka snuła w związku z Lydią wielkie plany. We wszystkich występował tytuł i majątek. Teraz nie było już o tym mowy, zresztą Lydia nie była zainteresowana wielkim światem. Jako *madame de Giverney* miałyby męża o solidnej pozycji i nawet nadzieję na francuski tytuł, gdyby Francis Rohan zmarł bezpotomnie.

W miarę jak mijały dni, a hrabia Rohan nie dawał znaku życia, Elinor coraz częściej myślała o ewentualnym małżeństwie siostry z doktorem. Nie miała pojęcia, co Etienne powiedział kuzynowi, niespodziewanie jednak Rohan przestał odpowiadać na jej podziękowania. Za pierwszym razem, gdy Jacobs wrócił z pustymi rękami, przez dłuższy czas nerwowo chodziła tam i z powrotem, w każdej chwili spodziewając się umyślnego. Następnego dnia dostarczono bażanta, jabłka i kryształowe kieliszki do wina, więc jak zwykle usiadła, by napisać parę słów, ale i tym razem odpowiedzi się nie doczekała.

Podobno hrabia był zajęty przygotowaniem do wielkiego przyjęcia. Mimo to każdego ranka dostarczano drobne prezenty, a Elinor sumiennie pisała bileciki z podziękowaniami, próbując cieszyć się z tego, że Rohan wreszcie o niej zapomniał.

Lydia wsunęła stopy w drewniaki, okryła ramiona grubą wełnianą narzutką i wzięła koszyk. Akurat trafił się cieplejszy dzień w środku zimy, a ona dość już miała siedze-

nia w czterech ścianach. Musiała odpocząć od widma rychłej śmierci matki i uciążliwej obecności Etienne'a de Giverneya. Paryskie hale, gdzie odbywały się targi, należały do miejsc, które nawet nadopiekuńcza Elinor pozwalała jej odwiedzać, choć jedynie pod warunkiem, że Jacobs nie spuści jej z oka.

Zdawała sobie sprawę z tego, że Etienne jest znakomitym kandydatem na męża, a Elinor i niania go aprobują. Był przystojny, czasem nawet miły, miał pewne źródło utrzymania i korzystał ze wsparcia tego diabolicznego Rohana. Była więc gotowa powiedzieć „tak”, jeśli tylko Etienne zdobędzie się na oświadczyzny. A że marzyła o kim innym, to zupełnie inna sprawa. To wszystko była jednak przyszłość, a Lydia nie zwykła przejmować się jutrem, skoro dziś była najedzona.

Hale znajdowały się o dziesięć minut drogi zwawym krokiem od ich domu. Lydia współczuła Jacobsowi, który jak zwykle z trudem za nią nadążał. Nawet nieco zwolniła, mimo że rozpierała ją energia. Miała ochotę biec, tańczyć, oddychać pełną piersią. W pewnej chwili raptownie się zatrzymała. Zerknęła za siebie, ale Jacobsa nigdzie nie było, za to przed sobą zobaczyła wpatrującego się w rząd budynków wzdłuż ulicy Charlesa Readinga. Wszystkich mężczyzn natychmiast owijała sobie wokół małego palca, natomiast pan Charles Reading, który naprawdę jej się podobał, utrzymywał wobec niej dystans.

Chyba jej jeszcze nie zauważył. Obserwował dachy domów tak, jakby znajdowało się tam coś wyjątkowo zajmującego. Lydia wyprostowała się, poprawiła kapelusik i przybrawszy zdecydowaną minę, ruszyła prosto na niego.

Widocznie wyczuł, że ktoś się zbliża, bo nagle się odwrócił i odruchowo sięgnął dłonią do rękojeści szpady, którą miał u boku. Większość dżentelmenów nosiła białą broń dla ozdoby, Lydia odniosła jednak wrażenie, że pan Reading dobrze wie, jak należy posługiwać się tym orężem.

- Panna Lydia - powiedział i ukłonił się, zdejmując kapelusz. - Co za miła niespodzianka. - Ton jego głosu świadczył o czymś wręcz przeciwnym. - Jak pani mnie znalazła?

Dygnęła, choć zdążyła pożałować, że nie skrzyła w inną stronę.

- Dzień dobry, panie Reading. Właśnie szłam na targ. Nie miałam pojęcia, że pana tutaj spotkam.

- Nie mogła pani tego wiedzieć. Bardzo przepraszam.

Zapadło kłopotliwe milczenie.

- Czego pan szuka? - spytała w końcu. - Może pomogę to znaleźć.

- Mało prawdopodobne - odparł, wkładając kapelusz, którego rondo przysłaniało mu twarz. - Hrabia Rohan został trafiony kulą, kiedy tędy jechał. Próbowałem sobie wyobrazić, skąd strzelano.

- Ojej! - przestraszyła się nie na żarty. Co teraz zrobi Elinor? Całe szczęście, że niania starannie chowała wszystkie przysyłane pieniądze. - Zabito go?

- Skądże znowu. Siostra pani nie powiedziała? Rana nie była poważna. Stało się to ponad tydzień temu, kiedy jechaliśmy powozem po wizycie w pani domu. Hrabia wydo-
brzał i uważa, że strzelono przypadkiem. Ja nie jestem tego taki pewien.

- Czy to znaczy, że on ma wielu wrogów?

- Sporo.

Znowu zapadło krępujące milczenie. Lydia wiedziała, że powinna zakończyć spotkanie, chociaż chętnie by je przedłużyła.

- Muszę już iść - powiedziała. - Miło mi było pana zobaczyć, panie Reading.

- Chyba nie wyszła pani z domu sama, panno Lydio?

Zerknęła przez ramię.

- Nie. Szedł za mną Jacobs, ale trochę za bardzo się pospieszyłam i po prostu go zgubiłam. Na pewno wkrótce dołączy. - Wyciągnęła do niego rękę. - Do widzenia, panie Reading.

Ujął jej dłoń.

- Jeśli można, będę pani towarzyszył.

- Nie ma potrzeby...

- Jako dżentelmen nie mogę pozwolić, aby dalej szła pani sama - orzekł. - Piękna młoda dama nie powinna spacerować bez opieki. Nie darowałbym sobie, gdyby coś się pani stało.

- Nie musi pan udawać zainteresowania. Wiem, że nie jestem w pańskim guście. Zapewniam, że nie musi mi pan towarzyszyć. Dziesiątki razy bywałam na tym targu z Jacobsem, a nawet sama i nigdy nic złego mi się nie przytrafiło. Może więc puści pan moją rękę...

Pociągnęła, ale uścisk stał się mocniejszy. Dostrzegła uśmiech Readinga.

- Czy wszyscy padają pani do stóp?

- Prawdę mówiąc, pan pierwszy tego nie zrobił - odparła Lydia. - Niania twierdzi, że jestem próżna, ale to nieprawda. Przecież urodziłam się ładna przypadkiem, więc nie mam w tym żadnej zasługi. Mama była urodziwa, a ojciec był przystojny. Ludzie zazwyczaj się do mnie uśmiechają, a mężczyźni próbują flirtować. Pan jest wyjątkiem, panie Reading.

Położył sobie jej dłoń na ramieniu i ruszył naprzód. Nie miała innego wyjścia, jak dostosować się do rytmu jego kroków.

- Przecież flirtuję - powiedział. - Jeśli pani tego nie zauważyła, to proszę o wybaczenie, widocznie straciłem w tym zręczność. Postaram się jednak poprawić. Czy mam wyznać, jak bardzo podobają mi się pani złociste loki i delikatna mleczna cera? I że porusza się pani z wdziękiem, który może wzbudzić zazdrość aniołów, a pani uśmiech rozjaśnia każdy dzień? A może jakiś sonet?

„Panna Lydia ma piękne oczy.

W te klejnoty wpatrzony stoję,

Bogów może ich blask zamroczyć,

Lecz, niestety, nie będą moje”.

- Nieszczerze mi się to podoba - powiedziała szczerze. - Brzmi to tak, jakbym wytrzeszczała oczy, a pan chciał wyjąć mi je z głowy i położyć na poduszce albo na talerzu.

Reading wydał z siebie dziwny odgłos, jakby kasznięciem chciał zamaskować wybuch śmiechu.

- Obawiam się, że moja umiejętność improwizacji ogranicza się do obscenicznych rymowanek wygłaszanych ku uciesze kompanów od kieliszka. Na prawdziwy sonet musiałaby pani poczekać, aż go napiszę. Nie chciałbym wręczyć jej byle czego.

- Uwolnię pana od obowiązku flirtowania, panie Reading - powiedziała. - Proszę opowiedzieć mi o hrabim Rohanie. Czy bardzo cierpi?

- Radzę, panno Lydio, kierować spojrzenia w inną stronę. Rohana nie interesują urodziwe niewinne panny.

- Ale moja siostra go pociąga, prawda? Czy nie jest urodziwą niewinną panną?

W razie złej odpowiedzi była gotowa zdzielić go po głowie pustym koszykiem.

- Oboje doskonale wiemy, że pani siostra jest nie tylko ładna.

- To prawda - przyznała udobruchana. - Ja też nie jestem taka płytka i próżna, jak pan sądzi.

- Wcale tak nie sądzę - odparł cicho. - Pani jest wspaniałą, piękną, cudowną...

- Och, proszę! - przerwała mu. - Pan uważa, że... - Urwała w pół zdania.

Przystanęli na skraju targowiska, w podcieniach otaczających je budynków.

- Pani jest cudowną pokusą, tyle że na pewno nie dla mnie. Ma pani wszystkich mężczyzn na zawołanie, panno Lydio. Po co jeszcze ja?

- Ponieważ właśnie pana chcę - powiedziała półgłosem, wstrząśnięta własną śmiałością.

Długo wpatrywał się w jej oczy. Lydią wiedziała, że za chwilę pan Reading ją pocałuje, nie zważając na ludzi dookoła. Wiedziała też, że zarzuci mu ręce na szyję i odwzajemni pocałunek.

- O, nareszcie jest panienka! - rozległ się głos Jacobsa i czar prysł.

Reading puścił ramię Lydii.

- Już myślałam, że się zgubiłeś, Jacobsie - powiedziała z udaną lekkością, jakby wcale nie ominął jej najwspanialszy pocałunek w życiu. - Pan Reading był tak miły, że dotrzymał mi towarzystwa.

Reading uklonił się.

- Sługa uniżony, panno Lydio - rzekł i wmieszał się w tłum.

Stała z bijącym sercem, odprowadzając go wzrokiem. Najchętniej pobiegłaby za nim, nie dbając o nic. Uważał, że ona jest nie dla niego. A jej to zupełnie nie obchodziło. Byłaby gotowa iść za nim wszędzie...

- Panno Lydio? - Jacobs wyrwał ją z rozmarzenia. - Musimy zrobić zakupy i wrócić do domu. Po południu ma przyjść pan doktor i zabrać panią do parku.

Etienne, pomyślała ze smutkiem. Mężczyzna, którego powinna poślubić. Ktoś odpowiedni dla niej. Naturalnie pod warunkiem, że uda jej się zapanować nad marzeniami.

- Mamy kupić flaki - powiedziała. - Chodźmy, Jacobsie. Powinniśmy się pośpieszyć, to prawda.

Nakazała sobie przestać myśleć o panu Readingu i niemal jej się udało.

Niemal...

TLR

Rozdział trzynasty

Elinor siedziała w odmienionym saloniku, czytając traktat filozoficzny. Na podłodze leżał gruby perski dywan, ciężkie adamaszkowe draperie zasłaniały ponury widok za oknem, krzesło miało miękką wyściółkę. Na kominku palił się ogień, a na stoliku stały świeże kwiaty. Nie było tu już biedy, tyle że za to wszystko trzeba było podziękować Rohanowi.

Tego popołudnia pozwoliła Lydii na spacer z panem doktorem. Po porannych zakupach na targu Lydia wróciła rozstrojona i cały czas do przybycia Etienne'a spędziła w sypialni. Na szczęście gdy z niej wyszła, była już prawie sobą. Elinor zastanawiała się jednak, co mogło tak poruszyć siostrę, skoro przez cały czas towarzyszył jej Jacobs.

Jej rozważania przerwało pukanie do drzwi. Raptownie poderwała się z krzesła przejęta niezrozumiałą nadzieją. Zorientowała się jednak, co zrobiła, i ponownie usiadła, a tymczasem Jacobs poszedł otworzyć drzwi. Wkrótce wiedziała już, że to nie lord Rohan przybył z wizytą.

- Baron Tolliver do pani - zaanonsował Jacobs niczym rasowy kamerdyner.

Elinor wstała na powitanie kuzyna, którego miała po raz pierwszy zobaczyć.

Rohan nie pojmował, dlaczego tak trudno mu zapomnieć o panie Elinor Harriman. Zastanawiał się nad tym, doglądając montażu dekoracji. Dwutygodniowe igrzyska były zwykle najważniejszym wydarzeniem roku, a jego służba przygotowywała się do nich od miesięcy. Salę balową przystrojono czarnymi draperiami, kuchnię i spiżarnię wypełniono jedzeniem, starannie przygotowywano ceremonię inicjacji.

Tym razem Rohan nie bardzo wiedział, na co właściwie czeka. Kostiumy wydawały mu się niepotrzebne i prawdę mówiąc, nie przychodziła mu na myśl żadna kobieta, której widok burzyłby mu krew. Ku swemu niezadowoleniu, stwierdził, że wszystkie jego pragnienia kierują się teraz ku ruderze przy Rue du Pélican i pewnej jej mieszkanke.

Reading martwił się o stan jego umysłu i wspominał o tym kilkakrotnie, ostatnio bowiem wszystkie ich powroty do domu z przyjęć i sesji gry w karty obejmowały przejazd ciemnymi uliczkami w pobliżu domu panien Harriman. Każdego wieczoru Rohan

obiecował sobie, że to już ostatni raz i od tej pory będzie interesował się tym domem jedynie za pośrednictwem służby. Niewątpliwie byłoby dla niego lepiej, gdyby skupił się na przygotowaniach do igrzysk.

Spodziewał się nowych gości z Anglii i z kontynentu. Miały pojawić się arystokratki, które w końcu odkryły, że mężowie nie spełniają ich oczekiwań, i mało doświadczone kobiety z klas niższych szukające protektorów. Dopływ świeżej krwi zawsze był cenny, lecz mimo to Rohan nie umiał zapanować nad ogarniającym go znużeniem.

Sięgając po kieliszek bordo, przez chwilę podziwiał koronki zdobiące mankiet jego okrycia. Miał dużą słabość do strojów, a ostatnie nabytki były wyjątkowo efektowne. Nagle jednak złapał się na tym, że myśli o panie Elinor Harriman, leżącej na łóżku jedynie w koronkowej koszulce. Dopił wino i ostrożnie odstawił kieliszek, choć miał ochotę cisnąć nim o ścianę. To jednak byłby kolejny dowód na fatalny stan jego umysłu i woli. Spodziewał się wizyty Marianne. Liczył na to, że przynajmniej na kilka godzin zajmie jego uwagę. Nikt lepiej niż ona nie znał jego pragnień.

A może należało się zająć ważniejszymi sprawami? Na przykład odkryć, kto próbował go postrzelić. Czy był to zawiedziony w nadziejach Etienne, czy raczej ktoś inny, żywiący do niego urazę? W każdym razie, próba zamachu na jego życie się nie powtórzyła. Istniała więc także możliwość, że trafiła go zabłąkana kula.

Przede wszystkim należało jednak wymazać z pamięci Elinor Harriman.

Nowy baron Tolliver był przystojny. Elinor uznała, że sławny nos Harrimanów na męskiej twarzy wygląda znacznie lepiej. Poza tym kuzyn miał jasnoniebieskie oczy, pełne usta i muskularne ciało. Był wyższy niż przeciętny mężczyzna i miło się uśmiechał.

- Panno Harriman - powiedział, ujmując ją za rękę. - Jest mi niezmiernie przykro, że znajdowałem się poza Paryżem, kiedy pani chciała się ze mną zobaczyć. Pan Mitchum powinien był przysłać mi wiadomość, abym mógł niezwłocznie wrócić.

- Nie było takiej potrzeby, milordzie - skłamała Elinor. - Liczyłam na to, że porozmawiamy...

- Och, droga kuzynko... Mam nadzieję, że mogę tak się do pani zwracać. A mnie proszę nazywać Marcusem. Bądź co bądź, jesteśmy dalekimi krewnymi.

Elinor nie spodziewała się takiej uprzejmości. Nos sprawiał, że Marcus przypominał jej ojca. Nie odbierała go jak uzurpatora. Naturalnie, nawet gdyby udało się podważyć jego prawo do majątku, przeszedłby on prawdopodobnie na własność Korony.

- Jest pan bardzo miły, kuzynie - powiedziała, wracając na krzesło. - Proszę usiąść. Może herbaty i coś do jedzenia?

- Dziękuję - odrzekł, zajmując miejsce naprzeciwko Elinor. - Chętnie napiję się herbaty. Cieszy mnie widok takiego dostatku, kuzynko, muszę bowiem wyznać, że gdy znalazłem się w tej okolicy, zaniepokoiłem się poważnie, czy nie żyjecie w ubóstwie. Proszę mi więc powiedzieć, w czym mogę pomóc, a postaram się spełnić pani prośby.

Ciepły uśmiech kuzyna budził zaufanie i Elinor zaczęła się odprężyć.

- Pan Mitchum wspominał o niewielkim zapisie na moje nazwisko. Obawiam się, że nasze obecne warunki życia nie są aż tak dobre, jak mogłoby się zdawać, żyjemy bowiem z łaski bogatego dobroczyńcy, którego pomoc w każdej chwili może się skończyć. Wolałabym nie opierać naszego utrzymania na tak niepewnym źródle, interesuje mnie więc wspomniany zapis.

Starannie dobierała słowa, aby nie sprawić wrażenia osoby chciwej. Okazało się jednak, że ostrożności nigdy dość.

- Bogaty dobroczyńca? A któż to taki?

- Woli pozostać anonimowy - odparła Elinor.

W pewnym sensie była to prawda. Rohan nie życzyłby sobie ujawniania, że pomaga innym, nie żądając nic w zamian, bo zniszczyłoby to jego reputację bezwzględniego, bezdusznego człowieka.

- Szkoda - stwierdził świeżo upieczony baron. - Chętnie podziękowałbym mu za życzliwość okazaną moim kuzynkom. Adwokat powiedział mi, że pani matka, aczkolwiek bardzo chora, jeszcze trzyma się przy życiu.

- Nie pożyje długo. Jest nieprzytomna, choć bardzo niespokojna. Dla pana lepiej byłoby w ogóle jej nie oglądać.

- Niedorzeczność - orzekł pańskim tonem, którego widocznie szybko się nauczył. - Muszę złożyć wyrazy szacunku byłej pani baronowej.

Wstał, więc Elinor poszła za jego przykładem, przeklinając w duchu tę gorliwość. Nie mogła położyć się na progu i zabronić mu wstępu, chociaż dobrze wiedziała, że ta wizyta nie przyniesie pożytku.

- Naturalnie - powiedziała zrezygnowana. - Tędy, proszę.

W mieszkaniu zastawionym meblami było bardzo ciasno i kuzyn aż syknął, gdy przechodząc, zawadził bokiem o dostarczoną przed czterema dniami komodę wypełnioną pięknymi szklanymi naczyniami.

Elinor weszła do pokoju chorej pierwsza, pełna złych przeczuć. Już od ponad tygodnia lady Caroline miała zdjęte więzy, jej stan zdawał się bowiem pogarszać. Niania, siedząca na krześle w pobliżu łóżka, zdołała ją dziś nakarmić kilkoma łyżkami rosółu, a chora od czasu do czasu otwierała oczy.

- Nianiu, to jest nasz kuzyn, nowy lord Tolliver. Marcusie, to jest niania Maude, która od dawna wspaniale się nami opiekuje.

Niania wstała z wysiłkiem i zmierzyła przybysza uważnym spojrzeniem.

- Dzień dobry, milordzie - powiedziała i nawet zdołała dygnąć.

Dla postronnego obserwatora wszystko przebiegało tak, jak należy, ale Elinor odniosła wrażenie, że coś się stało. Maude miała dziwny wyraz twarzy. Kuzyn uprzejmie skinął głową i stanął przy łóżku lady Caroline. Ku zaskoczeniu Elinor, matka otworzyła oczy i nawet skupiła wzrok na gościu.

- Kim jesteś? - spytała skrzekliwie.

Były to pierwsze zrozumiałe słowa, jakie wypowiedziała od tygodnia.

- Dziedzicem pani zmarłego męża, lady Caroline - odparł uprzejmie. - Nazywam się Marcus Harriman.

- Marcus, tak? Podejdź tu. Bliżej.

- Proszę tego nie robić - przestrzegła cicho bardzo zakłopotana Elinor.

- Niech pani nie będzie śmieszna, kuzynko. W takim stanie jest zupełnie niegroźna.

- Podeszedł do samego łóżka. - Czy mogę w czymś pomóc, lady Caroline?

Pochylił się i ujął jej szponiastą dłoń. Zanim Elinor zdążyła go ostrzec, matka pociągnęła go tak, że stracił równowagę i upadł na łóżko. Wtedy chwyciła go za spodnie, klnąc i wykrzykując ordynarne słowa.

Marcus zerwał się spłoszony, a Elinor szybko wyprowadziła go z pokoju.

- Ona całkiem postradała zmysły - powiedziała bezradnie i stanowczym ruchem zamknęła drzwi, zza których było słychać nianię próbującą uspokoić chorą.

Marcusowi leciała krew ze skaleczonego przez lady Caroline policzka. O dziwo, nie opuścił natychmiast ich domu, lecz spojrzął na Elinor ze współczuciem.

- Biedaczko.

- Dajemy sobie radę - stwierdziła. - Medyk mówi, że niewiele dni jej zostało, a te ataki podniecenia oznaczają, że zbliża się koniec. Niania o nią dba, a ja i Lydia jakoś tu gospodarujemy.

- Ojciec niczego wam nie zostawił? To nie do pomyślenia!

- O tym pan powinien wiedzieć więcej niż ja.

Poinformowano mnie, że cały majątek był obciążony długiem.

Kuzyn Marcus wydał się nieco zakłopotany.

- Nie sędzę, aby pani siostra była...

- Siostra jest dzieckiem moich rodziców i ich prawowitą dziedziczką - zapewniła zaniepokojona, że złość bierze nad nią górę.

- Zna pani prawo i jest pani wykształconą kobietą. To trochę dziwi, zważywszy na marne wychowanie.

Musiała wytłumaczyć sobie w duchu, że Marcus nie chciał powiedzieć nic złego, bo miała na końcu języka ostrą ripostę.

- Lubię czytać - odrzekła oschle.

- I jest pani rozumna. To godne podziwu w naszych czasach, kiedy tyle panien ma ptasie mózdzki. Zdecydowanie wolałbym towarzystwo starszej kobiety o bardziej pospolitej urodzie niż głupiutkiej piękności.

- Jest pan nad wyraz uprzejmy - wycodziła. - Obawiam się jednak, że niania jest zajęta i nie może nam zrobić herbaty.

Krzyki matki były teraz stłumione, wciąż jednak rozbrzmiewały wyraźnie. Kuzyn Marcus bardzo się strapił.

- Przyszedłem w złym momencie. Wrócę, kiedy sytuacja się uspokoi. - Już przesuwiał się powoli ku drzwiom.

- Nie wspomniał pan ani słowa o testamencie ojca - zwróciła mu uwagę Elinor. - Poza tym leci panu krew, proszę pozwolić, że przynajmniej opatrzę to skaleczenie, zanim wyjdzie pan na ulicę.

- Możemy porozmawiać kiedy indziej - odparł, ocierając twarz chustką. - Pan Mitchum już panią poinformował, że zapis jest symboliczny, ale chcę wypełnić wolę pani ojca najlepiej, jak potrafię. - Nie poczekał na Jacobsa, żeby otworzył drzwi. - Do widzenia pani.

Odprowadziła go wzrokiem. Prezentował się bez zarzutu, nosił wysokie buty, a nie eleganckie pantofle jak Rohan. W jego pozie widać było arogancję, ale przecież uzasadnioną - był angielskim palem.

Zamknęła za nim drzwi i wróciła do sypialni matki.

- Czy nie powinniśmy znowu przywiązać jej do łóżka? - szepnęła do ucha niani.

Staruszka miała zasmucony wyraz twarzy.

- Nie ma potrzeby. Ona po takim ataku długo śpi. Nie ruszy się i nie odezwie przez kilka dni. Kim był ten dżentelmen? - spytała nagle.

- Przedstawiłam was sobie. To nasz kuzyn, Marcus Harriman.

- Nie pamiętam żadnego Marcusa, a mieszkałam w posiadłości przez pierwsze pięćdziesiąt lat życia.

- Jest dalekim krewnym. Bliższego adwokaci nie potrafili znaleźć, na pewno jednak wszystko jest w porządku.

Niania pokręciła głową, wciąż niezadowolona.

- Nie wydaje mi się, żeby ta rodzina miała inną gałąź.

- Ten człowiek wygląda jak Harriman. Zresztą, gdyby nie przekazano majątku jemu, pewnie znalazłby się kto inny. On przynajmniej sprawia takie wrażenie, jakby chciał ze mną rozmawiać.

- Kiedy przyjdzie następnym razem, posadźmy przy pani biednej mamie Jacobsa. Chcę tego człowieka wypytać - odparła niania.

Elinor usiadła przy kominku i wzięła do ręki książkę. Był to zbiór umoralniających kazań pewnego gorliwego mnicha, który był w obu Amerykach i miał ugruntowane, bezkompromisowe poglądy na sprawy kobiet i religii. Uważał on mianowicie, że kobiety

są złem koniecznym, więc gdy wypełnią swój prokreacyjny obowiązek, należy zsyłać je do klasztorów, by mieszkały tam razem z innymi kobietami po złożeniu ślubu milczenia.

Elinor wiedziała, że Rohan przysłał tę książkę celowo, wyłącznie po to, by ją rozdrażnić, ale ponieważ nie miała zbyt wiele lektur, przeczytała te głupie kazania. A czytając, starała się nie myśleć o Francisie, wicehrabim Rohanie i jego Zastępach Niebieskich.

TLR

Rozdział czternasty

Lydia nie kupiła flaków. Praca w kuchni spadłaby prawdopodobnie na nią, a ona za podrobami nie przepadała. Zdecydowała się więc na jajka, pory i ser oraz bochen świeżego chleba. Mogła z tego przyrządzić coś dobrego, gdy tylko przejdzie jej ponury nastrój, jaki ogarnął ją po trzech godzinach spędzonych przymusowo w towarzystwie Etienne'a. Ciągnęły się one bez końca, a doktor mówił wyłącznie o swoich wybitnych umiejętnościach zawodowych, które opisywał ze wszystkimi możliwymi szczegółami, oraz o wielkiej krzywdzie wyrządzonej mu przez kuzyna.

Na szczęście nie potrzebował częstych zachęt od rozmówcy i wystarczało raz na kilka minut wtrącić słowo lub dwa. Lydia siedziała więc w parku zajadała zimne kurczę *à la diable* i wyobrażała sobie, że jest gdzie indziej. W pewnej chwili wpadło jej w ucho interesujące słowo.

- Jakobitą? - powtórzyła, marszcząc czoło.

- Och, zapomniałem, jaka pani jest młoda - powiedział wyrozumiale Etienne. - To się działo jeszcze przed pani urodzeniem. Głupi Anglicy kłócili się o to, kto powinien być królem, i próbowali osadzić na tronie katolika, szkockiego księcia.

- Słyszałam o księciu Karolu Stuarcie - odparła Z lekką irytacją Lydia. - Co to jednak ma wspólnego Z hrabią Rohanem?

Przez twarz Etienne'a przemknął wyraz bezbrzeżnej pogardy.

- Według Anglików nie jest lordem, tylko zdrajcą. Razem ze swoją rodziną walczył po stronie króla Szkocji, podczas powstania jego ojciec i brat zginęli, a on został pozbawiony własności i skazany na banicję. Jeśli kiedykolwiek wróci do Anglii, trafi do twierdzy Tower i zostanie stracony. Chętnie doczekałbym tego dnia.

- Chciałby pan zobaczyć egzekucję lorda Rohana? - Lydia nie wierzyła własnym uszom.

- Zapomina pani, że jestem lekarzem i widzę śmierć na co dzień. Rzadko uważam, że przyszła sprawiedliwie. Proszę jednak pamiętać, że Rohan uciekł do Francji i wystąpił o tytuł, który należał się mnie, a w dodatku od tej pory służy diabłu.

Etienne głośno parsknął. Lydia zauważyła, że to u niego nawyk, który z wiekiem prawdopodobnie będzie się nasilał. Gdyby była z nim skuta małżeńskimi kajdanami...

- Ile miał lat, gdy to się stało?

- Kiedy walczył w Anglii i go wygnano? Chyba siedemnaście.

- O Boże - szepnęła Lydia.

Niania Maude i Jacobs pochodzili ze szkockich rodzin, w których wszyscy byli wiernymi jakobitami. Niania opowiadała jej o prawdziwym królu i o masakrze pod Cul-loden*, kiedy ten rzeźnik Cumberland wymordował tysiące ludzi. Siedemnastoletni chłopak pośrodku krwawego konfliktu... Zaczęła nieco lepiej rozumieć Rohana.

* Bitwa w 1746 r. między jakobitami wspieranymi przez wojska francuskie, a wojskami króla Jerzego II, zakończona zwycięstwem sił królewskich (przyp. red.).

- Chciałbym, żeby musiał pojechać do Anglii - ciągnął Etienne. - Postarałbym się wtedy zawiadomić angielskie władze, a jego egzekucja usunęłaby ostatnią przeszkodę na mojej drodze do francuskiego tytułu. Gdybym się wtedy ożenił, moja żona byłaby hrabiną de Giverney - dodał, patrząc znacząco na Lydię.

- Wydaje mi się, że Rohan nie wybiera się do Anglii.

- Nie - potwierdził ze smutkiem. - Musimy poczekać, *ma chère*.

„My” - nie sposób było nie zauważyć ohydy tego konceptu. Lydia dotarła do domu z bólem głowy i nie słuchając Elinor, która z podnieceniem próbowała jej opowiedzieć coś o kuzynie, powlokła się do zaciemnionej sypialni i położyła na łóżku. Miała tego dnia stanowczo za dużo wrażeń. A gdy w końcu zasnęła, wcale nie przyniosło jej to ulgi. Charles Reading właśnie chciał ją pocałować, gdy nadbiegł Etienne i uderzył go piką w twarz. Ocknęła się z krzykiem.

Powlokła się do kuchni, żeby pomóc przy kolacji, ale okazało się, że posiłek jest gotowy i niania właśnie go podaje.

- O, jest panienka - powiedziała. - Nie chcieliśmy budzić, panienka taka wymizowana.

- Nic mi nie jest. Rozumiem, że mieliśmy dzisiaj gościa?

- Był tu nasz kuzyn Tolliver - wyjaśniła Elinor. - Mama dostała ataku i go wypłószyla, ale wydaje się porządnym człowiekiem.

Maude głośno i znacząco chrząknęła.

- Nie zwracaj na nią uwagi - powiedziała Elinor. - Niania uprzedziła się do tego człowieka. Twierdzi, że nie mamy żadnych dalekich kuzynów i że to jakiś oszust. Wystarczy jednak na niego spojrzeć, żeby wiedzieć, że nie oszukuje.

- Nos Harrimanów? - domyśliła się Lydia.

- Właśnie.

- Nie słuchajcie mnie - wtrąciła z przekąsem niania. - Jestem starą kobietą, co ja tam mogę wiedzieć? Wspomnicie jednak kiedyś moje słowa, że z tym Marcusem Harrimanem coś jest nie w porządku.

- Mam nadzieję, że się mylisz - odparła Elinor oschłym tonem, którego Lydia nie znosiła. - Jeśli kuzyn nam nie pomoże, zostaniemy zdane całkowicie na łaskę Rohana, a nie wolno liczyć na to, że ten nikczemny leń...

- Nie oczerniaj go tak - sprzeciwiła się Lydia, przyglądając się zapiekance z sera i porów zrobionej przez nianię.

Wszyscy na nią spojrzeli.

- Moja droga - zaczęła Elinor - to nie jest właściwy mężczyzna dla ciebie...

- Ile razy mam ci powtarzać, że ani mnie nie interesuje lord Rohan, ani ja jego? Po prostu spędziłam popołudnie z Etienne'em i to obudziło we mnie znacznie większą wyrozumiałość dla hrabiego.

- Dlaczego?

- Czy wiesz, dlaczego Rohan mieszka w Paryżu?

- Nic mnie to nie obchodzi, moja droga. Przypuszczalnie dlatego, że towarzystwo w Paryżu, ujmując kwestię ogólnie, na wiele pozwala. A ponieważ jest on żywo zainteresowany tym, by sobie pozwalać, więc to dobrze się składa.

- Wygnano go z Anglii. Nie może tam wrócić, bo zostałby stracony.

- Czyżby? Czyjego męża zamordował?

- Niczyjego - odparła Lydia.

- To straszny człowiek, panienko - wtrąciła niania. - Ma konszachty z diabłem i...

- On był pod Culloden! - wykrzyknęła Lydia. - Miał około siedemnastu lat, kiedy walczył za księcia Karola. Widział, jak wymordowano mu całą rodzinę. Sam ledwo uszedł z życiem.

Zapadło milczenie. Przerwała je niania.

- Mówiłam, że w nim kryje się coś dobrego, i próbowałam wam na to zwrócić uwagę. Jest przystojny, a odpowiednia kobieta położyłaby kres tym jego przyjęciom.

Jacobs się nie odezwał, tylko aprobująco kiwnął głową.

- Czy to jednak usprawiedliwia jego postępowanie później? - spytała Elinor. - I czy daje mu prawo, by niszczyć życie innych?

- A czyje życie zniszczył? - spytała Lydia. Moje! - odrzekła w myśli Elinor.

Zbudził ją cichy kaszel Lydie. Przez chwilę Elinor leżała nieruchomo, nasłuchując. Czowała, że coś jest nie w porządku. Usiadła na łóżku i rozejrzała się dookoła. Oczy ją paliły, w gardle czuła nieprzyjemne drapanie, słyszała też niebezpiecznie blisko złowieszcze trzaski.

Potrząsnęła siostrą.

- Pali się! - zawołała. - Musimy uciekać.

Lydia już wkładała suknię. Dym dostawał się przez szpary. Elinor pobiegła do drzwi. Gdy je otworzyła, uderzył ją w twarz gęsty kłęb.

- Nianiu! - krzyknęła, na oślep przedzierając się przez korytarz.

Zobaczyła Jacobsa, spieszącego w stronę sypialni lady Caroline. Nagle rozległ się śmiech matki, który zjeżył jej włosy na karku. Jacobs otworzył drzwi kopniakiem, z pokoju strzeliły ku niemu płomienie. Bez wahania skoczył w ogień i po chwili ukazał się, niosąc drobną, skuloną postać. Zmierzając do wyjścia, zerknął na siostry.

- Za mną! - zakomenderował.

- Mamo! - zawołała Lydia, ale spomiędzy płomieni było teraz słychać sprośną marynarską przyśpiewkę.

- Jacobs wyniósł nianię! - krzyknęła do niej Elinor. - Idź za nim. Ja sprowadzę mamę.

- Nie zostawię cię! - odparła Lydia, ale Elinor po prostu pchnęła ją śladem Jacobsa.

Tymczasem matka wciąż wyśpiewywała gardłowym głosem. Elinor wpadła do jej pokoju. Lady Caroline leżała skulona na podłodze. Płomienie lizały jej łóżko i jedwabną pościel.

- Mamo! - krzyknęła Elinor, starając się do niej podejść.

Między nimi pojawił się już jednak ogień.

Lady Caroline spojrzała na nią.

- Gdzie jest moja córka? - spytała ochryple. - Gdzie jest Lydia?

- Bezpieczna, mamó. Chodź ze mną, zaprowadzę cię do niej. Tylko wstań.

Lady Caroline rechętnie się zaśmiała.

- Wyglądasz jak on, twój ojciec. On chce mnie zabić i ty też. Sprowadź Lydię, bez niej nigdzie nie pójdę.

Dzieląca je rzeka płomieni stawała się niebezpiecznie szeroka. Elinor ogarnęła panikę.

- Chyba nie chcesz skrzywdzić Lydii, prawda? - przekonywała. - Jeśli ona po ciebie wróci, może zginąć. Wstań i podejdź do mnie, to wyprowadzę cię w bezpieczne miejsce. Zaufaj mi. Kocham cię.

- Kochasz? - Roześmiała się złowieszczo. - Co ty wiesz o miłości? Nikt cię nigdy nie kochał i nikt nie będzie kochał. Tu jest ciepło, a na dworze zimno.

- Mamo!

Dym gęstniał coraz bardziej. Elinor zrozumiała, że jeszcze chwila, i sama nie zdąży uciec. Nie mogła jednak zostawić matki... Nagle objęło ją i uniosło silne ramie. Krzyknęła, ale obcy nie zwracał uwagi na jej protesty. Niósł ją przez płonące mieszkanie do wyjścia. Za nimi zawalił się strop, ale jeszcze gdy wybiegli na dwór, słyszała ochryply głos zaśmiewającej się matki.

Została dość bezceremonialnie rzucona w śnieg. Zerwała się i chciała wrócić do domu i wtedy ujrzała Francisa Rohana.

- Muszę ją ratować! - wykrzyknęła.

- Nie warto za nią umierać, dziecko. Obawiam się zresztą, że jest za późno, żeby ją wynieść.

Właśnie w tej chwili płonący dom runął, a głos jej matki nagle się urwał. Elinor usłyszała szloch siostry. Odsunęła się od Rohana i zaczęła rozglądać się za Lydią. Klęczała w śniegu przy niani, zasłaniając twarz dłońmi. Elinor otoczyła siostrę ramieniem i uświadomiła sobie, że ma łzy w oczach. Z mroku wyłonił się Jacobs. Na jego uczernionej sadzą twarzy łzy pozostawiły wyraźne smugi.

- Musimy znaleźć miejsce dla niani - powiedział. - Potrzebuje medyka.

- Połóż ją w powozie - polecił energicznie Rohan. - Mój kuzyn ją obejrzy - dodał. - Reading, zajmij się panną Lydią, z pewnością doceni twoje silne ramię.

Chwilę potem Elinor klęczała w śniegu sama.

- Nie może pani tkwić tutaj całą noc - powiedział stojący obok Rohan.

- Pozwolił jej pan umrzeć.

- Za to panią zachowałem przy życiu. Niech pani wstanie, a jeśli nie, to zaniosę panią do powozu. Tylko proszę szybko się decydować, bo jest zimno. Poza tym zniszczyłem sobie kolejną parę butów. Pani sieje prawdziwe spustoszenie w mojej garderobie.

Spojrzała na niego, nie kryjąc złości.

- Jak miło - powiedział ze złowieszczym uśmiechem. - Co za pogarda. Nie szkodzi, kwiatuszku, ma pani do tego prawo. Zabieram panią z tego śniegu do powozu, bo zaraz będę miał sopele zamiast stóp.

Rohan zaniósł Elinor do pojazdu i wrzucił do środka, a Lydia pomogła jej wdrapać się na siedzenie. Trzasnęły drzwi i ekwipaż ruszył. Rohan wciąż stał w śniegu przed płonącym grobem nieszczęsnej lady Caroline Harriman.

Rozdział piętnasty

Elinor bezsilnie oparła się o miękkie poduszki. Miejsce w środku powozu przewidziano na cztery osoby, więc pięciorgu pasażerom było dość ciasno. W kątach pudła paliły się nieduże srebrne świece w szklanych lichtarzach. Dawały tyle światła, by było widać, że z nianią nie jest dobrze.

Elinor wiedziała, że to na niej spoczywa odpowiedzialność za resztę rodziny, więc wzięła się w garść.

- Co z nianią, Jacobs? - spytała chropowatym głosem. - Poparzona?

Stangret pokręcił głową.

- Musiała bardzo się przestraszyć i nałykać dymu. Ma już swoje lata, więc to dla niej śmierć...

- Nie gadaj takich rzeczy! - przerwała mu ostro. - Kuzyn hrabiego jest medykiem, na pewno będzie na nas czekał, gdy dojedziemy na miejsce.

No właśnie, dokąd dojadą? Elinor podejrzewała, że zna odpowiedź.

- Ciężko jej oddychać - powiedział łamiącym się głosem Jacobs. - Milady odeszła, a teraz Maude...

- Przestań! - nakazała mu Elinor. - Niani stracić nie możemy.

Zwróciła się do Lydii i ujrzała, że Charles Reading ją obejmuje. Elinor wyciągnęła ramiona, aby odebrać mu siostrę, ale skapitulowała. Reading trzymał Lydię z niewiarygodną czułością i szeptał jej słowa pocieszenia. Postanowiła poczekać z interwencją do rana. Nie mogła strofować Lydii, nawet jeśli sytuacja wydawała się całkiem niestosowna.

- Dokąd jedziemy, panie Reading? - spytała.

- O ile wiem, do paryskiego domu Rohana - odrzekł. - To niedaleko, a kiedy tam dotrzemy, powinien już na nas czekać doktor de Giverney. Gdyby tymczasowo przyjęła pani takie rozwiązanie...

- Nie mam wyboru - odparła znużonym głosem. - Gdzie mielibyśmy się podziąć? - Przyklękła między siedzeniami i ujęła dłoń niani. Staruszka oddychała ciężko i chrapliwie. - Będzie dobrze - powiedziała do posępnego Jacobsa. - Wszyscy jakoś sobie poradzimy.

- Ale matka panienki...

- Nie żyje. Tego nie zmienimy, zresztą ona i tak wiele czasu przed sobą nie miała.

- Zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy, najdroższa - odezwała się Lydia.

- Nie chciała ze mną iść. Próbowałam ją przekonać, ale ona tylko krzyczała. Całkiem oszalała. Może nawet sama podłożyła ogień.

- Musiało tak być - potwierdził Jacobs. - Zanim położyłem się spać, sprawdziłem, czy kominek jest wygaszony. Niemożliwe, żeby strzeliła jakaś zabłąkana iskra. Najgorsze, że niania była razem z nią w pokoju. Piekielnie się przestraszyłem...

Powóz przystanął i otwarto drzwi. Lokaj w liberii czekał na zewnątrz, by pomóc pasażerom. Najpierw wysiadł Jacobs, niosąc nianię. Potem zeskoczył na ziemię Reading. Wyciągnął ramiona do Lydii, a gdy postawił ją na ziemi, zaczął prowadzić ją ku domowi. Elinor wciąż klęczała między siedzeniami w pustym już powozie. Przez chwilę zastanawiała się nawet, czy tu nie zostać. Gdyby nikt jej nie zauważył podczas odprowadzania powozu do stajni, mogłaby całkiem wygodnie wypaść się na siedzeniu...

- Panno Harriman? - Do wnętrza zajrzał Etienne de Giverney. - Czy mogę pomóc?

- Nie, dziękuję - odparła dziarsko. - Ma pan w domu dwoje pacjentów. Niania zaśląbla i potrzebuje pańskiej pomocy, a Lydia przeżyła wielki wstrząs, więc musi jej pan dodać otuchy. - I wyrwać ją z rąk pana Readinga, dodała w myśli. - Proszę tam iść, ja zaraz dołączę.

Lokaj pozostał przy otwartych drzwiach, chociaż Elinor bardzo chciała, żeby sobie poszedł. Z wysiłkiem wdrapała się z powrotem na siedzenie. Ból stóp tymczasem ustąpił, ona zaś ze zdumieniem stwierdziła, że ma na sobie jedynie cienką koszulę nocną, tak starą, że miejscami praktycznie przezroczystą. Lydia wykazała dość przytomności umysłu, by włożyć jakieś okrycie i trzewiki. Elinor nie pomyślała nawet o pantofelkach.

Dopiero teraz dotarł do jej świadomości ogrom poniesionej straty. Zostali bez domu, bez pieniędzy, jedynie w tym, co mieli na sobie. I co dalej?

Wysiadła z powozu i poczuła pod stopami lodowate zimno. Padał gęsty śnieg. Szkoda, że dopiero teraz, choć tego ognia, który szalał w ich domu, i tak by nie zgasił. Elinor miała nadzieję, że pożar nie przeniósł się na sąsiednie domy. Ogień był wszędzie.

Płomienie strzelały z pokoju matki i pożerały salonik. Czy to możliwe, żeby sprawczynią tego wszystkiego była lady Caroline?

Powóz odjechał, a ona spojrzała na wznoszący się przed nią dom i powlokła się do drzwi, dumając, czy znowu będzie musiała rozmawiać z tym nieprzyjemnym kamerdynerem. Może nawet służący przypomni sobie, że go ugryzła, i nie zechce jej wpuścić. Na szczęście nic takiego się nie stało, a przy drzwiach stał kto inny.

Nianię położono do łóżka w pokoiku w głębi domu, prawdopodobnie używanym właśnie jako miejsce dla chorych. Staruszka miała popielatą twarz i z trudem oddychała. Ktoś starannie ją umył i obłożył ciepłymi kocami, a Lydia siedziała na łóżku i trzymała ją za rękę. Etienne de Giverney stał obok z poważną miną.

- Przeżyła bardzo silny wstrząs - zawyrokował. - Serce ma już słabe.

- Ona nie umrze! - sprzeciwiła się Elinor i usiadłszy na łóżku, ujęła drugą rękę staruszki.

- Obawiam się, że należy spodziewać się najgorszego, nie umiem jednak określić kiedy. Zrobiłem dla niej wszystko, co mogłem, reszta jest w rękach Boga - oznajmił Etienne i zanim Elinor zdążyła na niego krzyknąć, odwrócił się do Lydii. - Powinna pani odpocząć. Siostra jest na miejscu, może teraz czuwać przy niani.

- Nie zostawię ich samych - powiedziała przez łzy Lydia.

Elinor podniosła głowę.

- Najdroższa, on ma rację. Nie byłoby dobrze, gdybyś zachorowała.

- Chodźmy, panno Lydio - powiedział Etienne. Ujął ją za rękę i odciągnął od łóżka.

- Gospodyni kuzyna przygotowała dla pani pokój. Po takim wstrząsie delikatna, wrażliwa istota potrzebuje spokoju. Pani siostra dotrzyma towarzystwa niani i nie grozi jej to chorobą.

- To prawda - przyznała Elinor.

- Jestem równie mocna jak siostra i na pewno jej nie zostawię - oświadczyła buntowniczym tonem Lydia, usiłując wyrwać się Etienne'owi. - Gdzie jest pan Reading? Odprowadził nas tutaj...

- Pan Reading wrócił po mojego kuzyna - wyjaśnił Etienne, nie starając się ukryć niezadowolenia. - On nie jest pani do niczego potrzebny.

Tym razem Elinor wyjątkowo zgadzała się z panem de Giverney. Miłość siostry do Charlesa Readinga prowadziła jedynie do katastrofy. Nie było jednak czasu na takie rozważania.

- Będę czuwać pierwsza, a ty odpocznij, najdroższa - powiedziała. - Potem możesz mnie zastąpić. Nie chciałabym, żebyś zachorowała z wyczerpania. Nie musisz się też obawiać o hrabiego Rohana i jego przyjaciela. Na pewno wrócą cali i zdrowi.

- Oczywiście - powiedziała Lydia, już wyraźnie spokojniejsza.

Tym razem gdy Etienne de Giverney ujął ją za rękę, nie stawiała oporu.

- Skoro panna Elinor nie potrzebuje mojej pomocy, zaprowadzę pannę Lydię do gospodyni - powiedział Etienne. - Kiedy już znajdzie się w dobrych rękach, wrócę tutaj sprawdzić, czy można jeszcze pomóc waszej służącej.

- To nie jest służąca... - syknęła Lydia i przesłała Etienne'owi nienawistne spojrzenie, którego ten w ogóle nie zauważył.

Za to Elinor spostrzegła je natychmiast i serce jej zamarło. To, że siostra zakochała się w niewłaściwym mężczyźnie, było bardzo niefortunne, o wiele gorsza była jednak jej nienawiść do człowieka, którego powinna poślubić.

Tymczasem Etienne otoczył Lydię ramieniem i wyprowadził ją z pokoju. Elinor popatrzyła na swoją brudną od sadzy koszulę nocną. Na szczęście w pokoju palił się ogień na kominku. Stopy miała w takim stanie, że bólu już właściwie nie czuła, starannie jednak ukrywała to przed Etienne'em. Nie chciała, żeby ich dotykał.

Odwróciła się z powrotem do niani. Staruszka wciąż sprawiała takie wrażenie, jakby była jedną nogą na tamtym świecie. Elinor wstała gotowa jeszcze raz wezwać Etienne'a, ale w ostatniej chwili się rozmyśliła. I tak nie umiał nic więcej dla niej zrobić.

- Jacobs? - zawołała półgłosem.

- Jestem, panienko.

Bez wątpienia czekał tuż pod drzwiami, bo pojawił się natychmiast. Spojrzał na nianię i spuścił głowę.

- Czy mogę zostać, panienko? - spytał.

- Naturalnie. Przynies sobie krzesło. Ona pewnie chciałaby, żebyśmy potrzyмали ją za rękę.

- Nie ja, panienko. Zawsze mówiła, że mam łapy rzeźnika. Niezgrabne.

- Myślę, że dzisiaj wieczorem to nie ma większego znaczenia.

Jacobs wziął więc krzesło, usiadł i ostrożnie ujął nianię za rękę.

W ciągu następnych kilku godzin staruszka otworzyła oczy tylko raz, a jej wzrok padł na Elinor.

- Co ty robisz, nianiu? - spytała dziewczyna przez łyżę. - Leniuchujesz w łóżku, kiedy cię potrzebujemy. Musisz natychmiast obiecać, że wydobrzejesz, bo inaczej będę na ciebie bardzo zła.

Maude uśmiechnęła się.

- Nic tu po mnie, panno Nell. Jestem zmęczona i przygotowana. Panience już nic nie grozi. Mama nie będzie dłużej jej krzywdzić... - Na chwilę zamknęła oczy, wyraźnie jednak nękał ją niepokój. - Muszę panience coś powiedzieć - szepnęła.

- Możesz powiedzieć nam rano.

- Dla mnie nie będzie rana, dziecko - odparła z cieniem swej zwykłej szorstkości w słabnącym głosie. - Niebezpieczeństwo, to ci miałam powiedzieć. - Kaszel znów zaczął wstrząsać jej drobnym ciałem. - To nie on, panience tylko się zdaje - dodała po chwili.

- Kto?

Maude jednak opuściła powieki, a uścisk jej dłoni zelżał. Z tego snu już nie mogła się obudzić.

Kilka godzin później Etienne uchylił drzwi i oznajmił:

- Pani siostra śpi i na pewno nie zbudzi się do południa. Poleciałem gospodyni, żeby podała jej laudanum.

- Dziękuję panu - odparła Elinor.

Wiedziała, że Lydia będzie zła. Na pewno chciałaby towarzyszyć odchodzącej niani. Gdy za oknem pojawiły się pierwsze oznaki świtu, oddech staruszki stał się płytszy i wolniejszy, zaczął się urywać, aż w końcu ustał całkowicie. Elinor podeszła, by objąć Jacobsa, który zapłakał jak dziecko.

- Stracić je obie w ciągu jednej nocy, panienko, to za dużo - powiedział po chwili.

- To prawda.

- Idę się upić. Upiję się tak, że nikt mnie nie znajdzie przez wiele dni, a potem pewnie upiję się znowu.

Elinor nawet nie miała siły się uśmiechnąć.

- Może to i dobry pomysł, Jacobs, ale pamiętaj, żeby nas znaleźć, kiedy już postanowisz wytrzeźwieć.

Stangret, powłócząc nogami, opuścił pokój i Elinor została sama. Liczba osób, nad którymi sprawowała opiekę, zmniejszyła się nagle, ale wcale nie przyniosło jej to ulgi. Wręcz przeciwnie, wzbudziło w niej poczucie winy.

Gdy wyjrzała na korytarz, przekonała się, że w domu panowały cisza i bezruch, ale paliło się dostatecznie dużo świec, by mogła dotrzeć do rozległego holu. Miejsce nie wydawało jej się znajome, ale przecież przedtem widziała tylko niewielki fragment tego olbrzymiego domu. W każdym razie hol, którego podłogę zaścielały piękne dywany, a ściany zdobił adamaszek i obrazy, z pewnością należał do części mieszkalnej.

Musiała znaleźć kogoś, komu mogłaby powiedzieć o śmierci niani. Ciało trzeba było umyć i złożyć do trumny, a potem ktoś musiał zająć się pogrzebem. Jej nie pozostawało nic innego, jak poprosić Rohana, żeby zapłacił za godny pochówek. Przynajmniej nie musiała organizować pogrzebu matki. Teraz nie podobałaby temu na pewno. Trudno jej było skupić myśli na najprostszej czynności. Marzyła tylko o tym, by znaleźć pokój, w którym umieszczono Lydię, położyć się obok niej i zasnąć.

Szła mrocznymi korytarzami i czuła, że coraz bardziej kręci jej się w głowie. Powinna usiąść, ale znów piekielnie rozboleły ją stopy, a nogi nie chciały jej nieść. Bała się więc, że jeśli choćby na chwilę spocznie, to zabraknie jej siły, aby wstać. Parła przed siebie, choć nie bardzo zdawała sobie sprawę z tego, gdzie jest.

Otworzyły się drzwi i na korytarz wyszła z nich tyłem dziewczyna, niosąc tacę. Odwróciła się, zobaczyła Elinor i wykrzyknęła przerażona:

- Duch! Duch!

Nagle na korytarzu zaroilo się od ludzi. Było ich znacznie więcej, niżby Elinor sobie życzyła, służący wszelkiej rangi, bardziej lub mniej ubrani, z lichtarzami w rękach. Zbliżała się do niej kobieta niewątpliwie będąca gospodynią, a z drugiej strony ten

okropny Cavalle. Chciała uciec, ale potknęła się i zatoczyła. Przed upadkiem ocaliły ją mocne ramiona. Nawet bez patrzenia wiedziała, do kogo należą.

- Zawsze irytowały mnie wrzaski służących - rzucił Rohan. - Czy ktoś mógłby zakneblować tę dziewczynę?

Służąca wciąż krzyczała coś o duchu, więc gospodyni szybko wymierzyła jej policzek i poparła go ostrą reprimendą.

- Dziękuję, pani Bonnard. Czy mogłaby mi pani wytłumaczyć, dlaczego panna Harriman chodzi po domu w łachmanach? Czy w ten sposób podejmuje się u mnie gości? Gdzie jest jej siostra? Szoruje podłogę w kuchni?

Obcemu jego ton mógł się wydać niemal przyjazny, ale służba wpadła w popłoch.

Rohan stał za Elinor i wciąż ją podtrzymywał, a ona nawet nie miała siły się odwrócić, żeby na niego spojrzeć.

- To nie ich wina - wybąkała i z trudem poznała swój głos. - Ktoś musi zająć się zmarłą. Niania odeszła. - W głowie kręciło jej się coraz bardziej. - Muszę się zdrzemnąć...

W tym momencie nagle wchłonęła ją upragniona czerń.

Rohan złapał Elinor, gdy osuwała się na ziemię. Nie dopuścił do niej żadnego z lokajów, którzy pospieszyli na pomoc. Był wściekły. Na ogół panował nad emocjami i starał się spoglądać na świat z dystansem. Teraz najchętniej wygnałby służących z domu. Trzeci raz tego wieczoru musiał wziąć Elinor na rękę. Uśmiechnął się na myśl o tym, jak bardzo by jej się to nie spodobało.

Pani Bonnard podeszła do chlebobawcy.

- Wyślę dwie służące, żeby zajęły się zmarłą - powiedziała. - Bardzo pana przepraszam, nie miałam pojęcia, że nikt nie zaopiekował się pańskim gościem. Winni zostaną niezwłocznie oddaleni.

- Chce pani oddalić samą siebie? - odparł z przekąsem hrabia. - Zabieram pannę Harriman do zielonej sypialni. Będzie potrzebna gorąca woda do kąpieli, czyste ubrania i trochę francuskiej brandy.

- Czy należy dawać brandy komuś, kto zemdlął, proszę pana? - spytała dość nieprzezornie gospodyni.

- Brandy dla mnie, tępa kobieto.

Służba natychmiast się rozpiezchła. Drogę do zielonej sypialni oświetlono, podobnie jak i sam pokój. Pierwsze wiadra z gorącą wodą pojawiły się, zanim Rohan ułożył pannę Harriman na wielkim łożu. Chwilę później pani Bonnard z własnej inicjatywy przyniosła mu miskę i ręczniki, licząc na ułaskawienie.

Rohan zaczął obmywać twarz Elinor. Gdy uporał się z pierwszym zadaniem, zaczął rozsznurowywać nocną koszulę, wydając jednocześnie polecenia lokajom.

- Milordzie - odezwała się zgorszona gospodyni. - Proszę pozwolić, że ja to zrobię.

Popatrzył na nią wymownie.

- Jak długo pani u mnie służy, pani Bonnard?

- Siedem lat, panie hrabio.

- Czy w tym czasie odniosła pani wrażenie, że nie potrafię samodzielnie rozebrać młodej kobiety?

- Nie, panie hrabio. Nie kwestionowałam pańskiej umiejętności. Brałam pod uwagę raczej odczucia tej młodej damy.

Gospodyni najwyraźniej zmierzała ku samozagładzie.

- Przypomina mi pani, że mam w sobie również żyłkę szlachetności. Niestety, nie jestem zainteresowany jej rozwijaniem i wolę raczej dbać o własne interesy niż o interesy tej młodej damy. Jeśli pani tak się o nią troszczy, proszę raczej zająć się ciałem jej niani. Panna Harriman wpadnie w wielkie wzburzenie, jeśli ocknie się i przekona, że nie potraktowano go odpowiednio godnie.

Został sam na sam ze swoją podopieczną. Podobało mu się odkrywanie jej mleczonej cery i liczenie piegów na słynnym nosie Harrimanów. Ten nos, wąski i szlachetny, naprawdę mu się podobał, czynił twarz Elinor wyrazistą. Rohan był przekonany, że w wieku czterdziestu lat Elinor będzie prezentować się wspaniale, nie mógł jednak czekać aż tak długo. Nie był nawet pewien, czy tego dożyje. Zresztą, nawet gdyby dotrwał do tych czasów, miałby pięćdziesiąt sześć lat i byłby starym człowiekiem. I pewnie nawet nie pamiętałby już o istnieniu Elinor Harriman.

Wyplukał ręcznik i zabrał się do obmywania szyi. Elinor spała jak zabita. Przykro mu było patrzeć na nią, kiedy jest całkiem bezbronna, nie wątpił jednak, że wkrótce od-

zyska chęć do walki. Była jak rzymska bogini, nic nie mogło złamać jej na długo. Odłożył ręcznik i rozchylił koszulę nocną, by spojrzeć na ciało Elinor. Wiedział, że jest drańmiem, ale nie miał co do tego złudzeń.

Piersi miała naprawdę ładne, nieduże i kształtne. Spodobało mu się też, że sutki są ciemne, a nie nieznośnie różowe. Zawsze miał słabość do ciemnych sutek. Powinien był zgadnąć, że natknie się na taki skarb właśnie u Elinor.

Oglądał jej ciało z coraz większym zaangażowaniem. Był ciekaw, jakie jeszcze wspaniałości są ukryte przed jego wzrokiem. Już miał rozedrzeć przód koszuli, ale coś go powstrzymało. Nie przypuszczał, że mogło to być poczucie przyzwoitości. Tak czy inaczej zawiązał koszulę pod szyją. Na pewno nie mógł pieścić nieprzytomnej kobiety.

Zadzwonił i natychmiast pojawiła się czujna pani Bonnard.

- Nie wzięła pani sobie do serca tego, co jej powiedziałem? - spytał niebezpiecznie ugrzecznionym tonem.

- Wzięłam, panie hrabio. Liczyłam jednak na to, że łatwo ulega pan znużeniu.

Mimo woli wybuchnął śmiechem.

- Zna mnie pani lepiej, niż myślałam. Nie jestem jednak pewien, czy mnie to nie kępuje.

- Słucham pana?

- Pani Bonnard, oboje wiemy, że to nie kwestia znużenia, ale potrzebne mi jakieś wytłumaczenie, aby ocalić miłość własną. Podsunęła mi je pani znakomicie. Proszę przysłać pokojową, żeby skończyła myć pannę Harriman, a ja tymczasem pójdę się upić.

Gospodyni nie próbowała z nim dyskutować.

- Dobrze, panie hrabio.

Rohan ostatni raz zerknął na Elinor leżącą nieruchomo na łóżku. Jest nie dla mnie, pomyślał. Wziął kieliszek brandy, wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Rozdział szesnasty

Gdyby nie myśl o siostrze, Elinor natychmiast po przebudzeniu zasnęłaby z powrotem. Lydia na pewno jej potrzebowała. Nie wolno było chować się pod kołdrą i udawać, że nic się nie stało, podczas gdy matka zginęła w płomieniach, niania umarła, a cały dobytek spłonął. Należało poczynić jakieś plany. Przyjmowanie pomocy mającego złą sławę hrabiego Rohana nie przynosiło im chwały. Natomiast mieszkanie w jego domu niweczyło szanse siostry na korzystne małżeństwo. Pozostawał jeszcze Etienne. Był zauroczony Lydią, ale, niestety, zobaczył ją w ramionach Charlesa Readinga i słyszał jej tęskne westchnienia. Co gorsza, zadurzenie w Readingu mogło uczynić Lydię ślepą na zalety takiego kandydata jak Etienne.

Elinor uniosła powieki i zobaczyła szarozielone światło wypełniające pokój. Dzielnie oparła się chęci ponownego zamknięcia oczu i usiadła. Królewskie łoże! Pościel z delikatnego jedwabiu. Rozejrzała się dookoła. Nie miała pojęcia, w jaki sposób tutaj trafiła. Pamiętała cichą śmierć niani i swoje poszukiwania siostry. A potem wszystko się urwało.

Nie miała na sobie brudnej koszuli nocnej. Ktoś przebrał ją w piękny batyst. Nie było też na jej ciele ani śladu sadzy, została umyta, a gdy opuściła nogi na podłogę, przekonała się, że stopy ma zabandażowane.

Pokój był tak duży i elegancki, że czuła się w nim nieswojo. Podeszła do okna i odciągnęła zasłonę. Śnieg, lepiący się do szyb, wciąż padał i uformowały się spore zaspas. Z zewnątrz przenikał do środka chłód, więc Elinor zasłoniła okno. Włożyła peniuar rozłożony w nogach łóżka i zbliżyła się do ognia płonącego w kominku. Nie miała pojęcia, jak długo spała, ale trudno jej było zebrać myśli, a nie był to odpowiedni moment na okazywanie słabości. Otworzyła drzwi na korytarz i ujrzała służące. Jedna z nich natychmiast ją zauważyła i podeszła.

- Niedawno do pani zaglądałam, ale pani smacznie spała - powiedziała. - Proszę wrócić do pokoju, zaraz podam kolację.

- Chcę zobaczyć siostrę. Możesz mnie do niej zaprowadzić?

Dziewczyna się zawahała.

- Pan hrabia powiedział, że pani będzie pozostawać w swoim pokoju, zamiast włóczyć się po domu...

- Jeśli zaprowadzisz mnie prosto do siostry, nie będę się włóczyć. Poza tym, jeśli tego nie zrobisz, będę musiała znaleźć ją sama.

Służąca wciąż wydawała się nieprzekonana, ale skinęła głową.

- Czy chciałaby pani najpierw się ubrać?

- Nie mam co na siebie włożyć.

- Pan hrabia polecił mi zapełnić garderobę odpowiednimi strojami.

- Najpierw porozmawiam z siostrą. Dziękuję...

- Jeanne-Louise - podpowiedziała dziewczyna. - Jak pani sobie życzy. Proszę tędy.

Ruszyła ku schodom a Elinor za nią.

- Pokój mojej siostry nie sąsiaduje z moim? - spytała zaskoczona.

- Nie, *mademoiselle*.

To było bardzo dziwne. Idąc za Jeanne-Louise, czuła na sobie spojrzenia służby. Zabandażowane stopy i tak ją bolały, starała się jednak nie utykać. Patrzyło na nią zbyt wielu ludzi. Zaciśnęła zęby i z zapamiętaniem pokonywała kolejne stopnie. Dlaczego Lydię zakwaterowano na innym piętrze? - zastanawiała się.

Dotarły do kolejnego ciągu schodów i wtedy Jeanne-Louise skręciła w prawo, do innego skrzydła budynku. Elinor z trudem za nią nadążała, ale byłaby gotowa pójść do siostry nawet po rozżarzonych węglach. To skrzydło na pewno zbudowano wcześniej, pomyślała, bo stopy znajdowały się wyraźnie niżej. Służąca przystanęła w końcu przed drzwiami i zapukała, po czym je otworzyła.

Elinor ujrzała salonik połączony z sypialnią. Mimo ciasnoty było tu przytulnie, całkiem inaczej niż w jej pokoju, wielkim i wystawnym. Lydia, siedząca przy oknie w szarej sukni, zwróciła głowę w jej stronę.

- Och, to ty! - zawołała.

Natychmiast podbiegła do siostry i zarzuciwszy jej ręce na szyję, rozplakała się.

Elinor przez chwilę uspokajała Lydię, a potem zaprowadziła ją na kanapę. Nie miała zresztą innego wyjścia, bo nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Gdy siostrze zabrakło łez, Elinor otarła jej policzki chusteczką znaną w kieszeni peniuaru.

- Jesteś, moja droga, jedyną znaną mi osobą, która może płakać przez godzinę, a mimo to przepięknie wygląda - powiedziała z czułością.

- Co teraz zrobimy?

Elinor zamknęła oczy. Sytuacja ją przytłaczała. Musiała jednak szybko o tym zapomnieć.

- Nie martw się, moja miła. Zajmę się wszystkim, mam pomysł.

- Naprawdę?

- Tak. - Liczyła na to, że siostra nie zażąda szczegółów, wiedziała jednak że i tak trzeba coś szybko wymyślić. - Był u ciebie dzisiaj pan doktor?

- Etienne ciągle do mnie zagląda. Udaję wtedy, że śpię.

Elinor poczuła wracający niepokój. Przypomniała sobie nienawistne spojrzenie Lydii.

- Zdawało mi się, że lubisz Etienne'a - powiedziała ostrożnie.

- Lubię. Zdaję sobie jednak sprawę z tego, czego oczekuje, a nie mogę dać mu takiej odpowiedzi, jakiej by sobie życzył. Jeszcze nie.

- A czego on chce, moja droga?

- Małżeństwa - odparła ponuro Lydia.

- Nie chcesz poślubić Etienne'a? Mnie wydaje się całkiem odpowiednim kandydatem. Jest przystojny, ma dobry zawód, można na nim polegać, darzy cię podziwem.

- To wszystko prawda. Problem w tym, że go nie kocham.

- Miłość jest... - Elinor urwała i dodała po dłuższej chwili: - Miłość jest zdecydowanie przeceniana, moja droga.

Lydia spojrzała na nią oczami, w których znowu pojawiły się łzy.

- Chcesz, żebym go poślubiła, Nell? Tak postąpię, jeśli uważasz takie wyjście za najlepsze. Lubię marzyć, ale wiem, że to samolubstwo. Masz rację, on jest właśnie taki, jak należy, a ja znakomicie nadaję się na żonę medyka. Wystarczy, że powiesz słowo...

Elinor nie odpowiedziała od razu. Małżeństwo z Etienne'em dyktował rozsądek. Przez ostatnie lata nauczyła się boleśnie, że rozbitek powinien chwytać za koło ratunkowe, jeśli ktoś je rzuca. Miały szansę osiągnąć bezpieczeństwo. Dla niej w domu Etienne'a

również powinno się znaleźć miejsce, była przecież użyteczna. Nie musiałyby obawiać się o następny posiłek, unikać wierzycieli, drzeć z zimna w niedogrzanym mieszkaniu...

- On jest diabelnie nadęty - powiedziała nieoczekiwanie.

Lydia parsknęła śmiechem.

- Jak ty się wyrażasz, Nell!

- Nie ma kto mnie strofować, a dobrze wiesz, że w dzieciństwie spędzałam dużo czasu w stajniach. Nie wychodź za mąż za Etienne'a. Powiedz mu „nie” najłagodniej, jak można.

- Jesteś tego pewna? - spytała ze zdziwieniem Lydia. - Jak inaczej damy sobie radę? Zdaje się, że nie mamy innych możliwości.

- Zapominasz o kuzynie Marcusie. Trzeba się dowiedzieć, ile wynosi nasz niewielki spadek, ale przy odrobinie szczęścia będziemy mogły się z niego utrzymać i jeszcze starczy dla Jacobsa. A jeśli nie, to zawsze można namówić kuzyna na dobroczynność.

- Najdroższa, obie wiemy, że zapis dotyczy ciebie i kuzyn jest twój.

- Najdroższa, obie wiemy, że wszystko, co mam, jest twoje.

- Mimo to mogłabym poślubić Etienne'a. Myślę, że zechciałby mnie za żonę.

- Dla tego człowieka zaszczytem byłoby całować rąbek twojej sukni. Nie, stanowczo nie życzę sobie, żebyś wychodziła za Etienne'a. Jego ciągłe nauki doprowadziłyby mnie do szału. Lepiej chyba oprzeć przyszłość na kuzynie Marcusie. A jeśli nie... - Zabrakło jej pomysłu na dokończenie tego zdania.

- Jeśli nie, to możemy szukać przygód! - oświadczyła Lydia. - Czemu nie? Naszej reputacji i tak nic nie uratuje. Będziemy przemierzać Europę pięknie wystrojone i owiane mgłą tajemniczości. Mężczyźni będą nas podziwiać, a kobiety naśladować. Sądzę, że powinniśmy zacząć od Wenecji.

- A jak zdobędziemy środki na to nowe życie?

- Musimy, rzecz jasna, znaleźć protektorów - oświadczyła niezrażona Lydia. - Bogatych mężczyzn potrzebujących kochanek. Naturalnie, to my będziemy wybierać. Jedynie najprzystojniejszych i najprzyjemniejszych w obejściu mężczyzn dopuścimy w pobliże naszych sypialni. Oni obdarzą nas bajecznymi klejnotami, które po prostu sprzedamy, gdyby nastąpiły trudne czasy. Wspaniałe plany, prawda?

- Wspaniale - powtórzyła Elinor. - Tylko niepraktyczne. Jeśli zamierzasz zostać kurtyzaną, stanowczo powinnam najpierw wydać cię za Etienne'a, nawet jeśli jest nadęty. Entuzjazm Lydii natychmiast się ulotnił.

- Masz rację. Poza tym kilka miesięcy namiętności nie zrównoważy bezpiecznego, statecznego życia.

Zmęczenie sprawiło, że dopiero w tej chwili Elinor zaczęła kojarzyć fakty.

- Zakochałaś się w panu Readingu - powiedziała bez ogródek.

- Pleciesz androny, Nell! Prawie nie znam tego człowieka. To prawda, że jest przy-
stojny, ale trudno nazwać go miłym w obejściu, a poza tym nie należy do mężczyzn, ja-
kich szuka się na męża.

- To prawda - przyznała Elinor, przypominając sobie wieczór spędzony w pałacu Rohana. - Za to doskonale nadaje się na partnera kobiety szukającej przygód. Przez mie-
siąc a może nawet dwa.

Lydia uśmiechnęła się dość nieszczerze,

- Nie martw się. Wspomniałaś przecież, że masz inny plan i że wiąże się to z na-
szym kuzynem. O czym myślałaś?

- Z tym poczekajmy, aż uda mi się ponownie porozmawiać z lordem Tolliverem. Podczas pierwszego spotkania zachowywał się bardzo przyjemnie. Może go przekonam, żeby dał nam w użytkowanie niewielki dom w jednej ze swoich posiadłości i wyznaczył pensję. Powiększałybyśmy dochód lekcjami muzyki. Wtedy nie musiałabyś tak bardzo liczyć się z pieniędzmi, podejmując decyzję o małżeństwie.

- A czy on wspominał o oddaniu nam domu? - spytała Lydia, która wydawała się nieprzekonana.

- Nie zdążyliśmy tego omówić. Wszedł, kiedy mama dostała ataku. Bez wątplenia jednak słyszał o naszym trudnym położeniu i chętnie udzieli pomocy. Nie ma powodu jej odrzucić, a poza tym gdyby nas zlekceważył, źle mówiono by o nim w towarzystwie.

- Skoro tak uważasz... - Lydia nie kryła sceptycyzmu. - Co zrobimy tymczasem?

- Porozmawiam z lordem Rohanem o wysłaniu listu do mojego kuzyna. Bardzo mi się nie podoba, że jesteśmy na jego łasce, ale nie wiem, co gorsze: spać w jego domu czy wziąć pieniądze, żeby spać gdzie indziej.

Lydia rozejrzała się dookoła.

- Jeśli to ma być piekło, muszę przyznać, że wydaje się całkiem przytulne. Gdzie masz pokój? - zainteresowała się. - Pytałam o ciebie, ale nikt nie chciał udzielić mi jasnej odpowiedzi.

- Ten dom jest olbrzymi. Mnie umieszczono na innym piętrze i w innym skrzydle. Nikt jednak nie będzie zgłaszał pretensji, jeśli przeniosę się do ciebie.

Elinor wcale nie była tego pewna. Nie była pewna niczego, i to najbardziej ją złościło.

- Pójdę porozmawiać z naszym gospodarzem oznajmiła, wstając. - Może poczynił jakieś kroki z własnej inicjatywy. Chyba nie chce mieć pod swoim dachem dwóch panien z porządnego domu w przededniu... - Urwała.

- Co chciałaś powiedzieć?

- W przededniu czegoś, o czym żadna z nas nie powinna wiedzieć.

- Wiesz, że on jest ujmujący?

- Nie - odparła beznamiętnie Elinor.

- Ech, mówiłam ci przecież, że on się mną nie interesuje. Nie jestem naiwna, wiem, kiedy mężczyzna myśli o mnie pożądliwie. Rohan traktuje mnie jak siostrę.

- Ile razy go widziałaś?

- Dwa. Raz u nas w domu i drugi tutaj, dzisiaj rano. Powiedział mi o niani i był bardzo uprzejmy.

- Ha! - odparła Elinor. - On nie wie, co to uprzejmość. Bez wątplenia był raczej ironiczny.

- Możliwe. Na pewno znasz go lepiej niż ja. W każdym razie uspokoił mnie, wyraził współczucie i dopilnował, abym miała dobrą opiekę.

- To potrafi - przyznała zrzędlawie Elinor.

Lydia przyjrzała się siostrze uważnie.

- Zastanów się, czy nie warto spojrzeć prawdzie w oczy - powiedziała w końcu.

- Jakiej prawdzie?

- Trudno uznać, że nie jesteś tym człowiekiem zainteresowana. Gdybym nie znała cię tak dobrze, pomyślałabym, że jesteś zakochana w hrabim. To jednak niemożliwe.

Taka zrównoważona osoba jak ty nie pozwala sobie na nic, co mogłoby prowadzić do katastrofy. Mam rację?

- Całkowitą - potwierdziła Elinor, tym razem w zgodzie z własnym sumieniem. - Ten człowiek lubi różne gierki. Jego zainteresowanie mną jest jedną z nich i wynika ze złośliwości, zwłaszcza że nie daję mu wygrać. Możesz mi jednak wierzyć, że najchętniej znalazłabym się jak najdalej od niego.

- Rozumiem i wierzę ci. On jest fascynującym mężczyzną, ale ciebie fascynujący mężczyźni nie interesują. Chcesz kogoś silnego i przewidywalnego. Oddam ci więc Etienne'a - zaproponowała.

Elinor parsknęła śmiechem.

- Rzeczywiście był przeznaczony dla mnie. Rohan uważał, że powinnam go poślubić. Wystarczyło jednak, że Etienne raz na ciebie spojrział, i całkiem zapomniał o planach hrabiego.

- Rohan cię swatał? Po co?

Elinor nie zamierzała wyjawiać siostrze prawdy.

- Gdybym bezpiecznie wyszła za mąż, nie musiałby tracić więcej swego cennego czasu na dobroczynność.

- Teraz też nie musi. Nie mamy żadnych podstaw, by domagać się od niego cze-
gokolwiek. Poza tym nie mów mi, że założyciel złej sławy Zastępów Niebieskich jest dobroczyńcą. Podejrzewam, że wszystko, co robi, ma swoją przyczynę.

- Jeśli nawet ma ukryte powody, to wątpię, czy nam je ujawni. Zamierzam z nim porozmawiać. W najgorszym razie zdołam na pewno uzyskać tyle, że mój pokój znajdzie się bliżej twojego. - Z tymi słowami Elinor podniosła się z miejsca.

- Byłoby wygodniej. - Lydia również wstała i cmoknęła siostrę w policzek. - Nie obawiaj się tej rozmowy. Potrafisz stawić czoło najbardziej diabolicznemu mężczyźnie.

Elinor uśmiechnęła się pod nosem i wyszła na korytarz. Okazało się, że znajoma służąca na nią czeka. Towarzyszył jej olbrzymi lokaj. Tak rosłego człowieka Elinor jeszcze nigdy nie widziała.

- Czy *mademoiselle* jest gotowa? - odezwała się Jeanne-Louise.

- Do czego?

- Do powrotu.

- Tak, ale...

Lokaj poderwał ją z ziemi jak piórko.

- Jego lordowska mość powiedział, że nie wolno pani chodzić. Antoine jest bardzo silny - wyjaśniła Jeanne-Louise, drepcząc obok nich.

- To... - zaczęła Elinor.

- Jego lordowska mość był w tej sprawie bardzo stanowczy - dodała pokojówka.

- Chciałabym znaleźć się bliżej siostry. Gdyby można było przenieść moje rzeczy...

- Nagle przypomniała sobie, że przecież nie ma żadnych rzeczy. - To znaczy, gdyby można było dać mi inny pokój...

- To nie ode mnie zależy, *mademoiselle*. Musi pani porozmawiać o tym z panem hrabią.

- Może wobec tego zanieście mnie do niego?

Jeanne-Louise pokręciła głową.

- Wydaje kolację i polecił, aby mu nie przeszkadzać. Zostawię mu wiadomość, że pani chce z nim porozmawiać, wątpię jednak, czy przyjmie panią jeszcze dzisiaj. W przyjęciu uczestniczą kobiety.

- W to nie wątpię - powiedziała Elinor, przypomniawszy sobie sytuację, w jakiej ujrzała Rohana pierwszy raz.

Od tej pory jednak grał on rolę przykładowego dżentelmena. Mimo to nie potrafiła zapomnieć prawdziwego wcielenia hrabiego, tego dziwnego i przerażającego człowieka.

Rozdział siedemnasty

Olbrzymi lokaj posadził ją tak, jakby była figurką z porcelany, na obitej brokatem kanapie w salonie przylegającym do jej sypialni.

- Czy *mademoiselle* potrzebuje pomocy? - spytał.

- Nie - odpowiedziała za nią Jeanne-Louise.

Elinor odniosła wrażenie, że służąca pełni raczej rolę strażniczki niż pokojówki. Nie przejęła się tym. Ważne było tylko to, że Lydia jest bezpieczna. Zresztą, jak na strażniczkę Jeanne-Louise była bardzo życzliwa. Umyła i ponownie zabandażowała jej stopy. Na szczęście rozcięcia skóry i poparzenia zaczęły się goić.

- *Mademoiselle* musi teraz uważać, najlepiej, żeby chodziła jak najmniej - powiedziała surowo.

W pokoju paliły się świece, bo tymczasem za oknami zapadł zmrok. Elinor spojrzała do lustra i znieruchomiała. Wiedziała naturalnie, że nie musi się wstydzić swoich ciemnobrązowych włosów, nie zdawała sobie jednak sprawy z tego, jak ładnie wyglądają, gdy są rozpuszczone. Nie miała też pojęcia, jak uroczą nocną koszulę dostała od Rohana.

Zrezygnowała z włożenia sukni, choć w garderobie miała do wyboru kilka sztuk, wszystkie odpowiednie do póżałoby i bardzo eleganckie. Tylko zmieniła nocną koszulę, a ponieważ nową uznała za zbyt przezroczystą, okryła się szlafrokiem. Tego rodzaju szlafroków używano zwykle jako stroju ochronnego podczas szczotkowania włosów, więc były dość nieporęczne. Elinor byłaby jednak gotowa posłużyć się nawet kocem, gdyby uznała, że potrzebuje okrycia.

Kolację przyniesiono jej na trzech tacach. Wybór dań był zadziwiający, od pieczonych gołąbków, przez łososia po angielsku i baraninę, po apetycznie wyglądające purée z rzepy. Było tego o wiele za dużo jak dla niej. Dopiero na trzeciej tacy zauważyła talerz z grzankami. Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Nie była głodna. Zjadła pół porcji grzanek a całą resztę poleciła odesłać i nawet prośby Jeanne-Louise nie skłoniły jej do zjedzenia niczego więcej.

W pokoju były też książki, dzięki którym przeżyła pierwszą chwilę radości, odkąd wyszła z saloniku Lydii. Dostała całkiem bogaty wybór lektur, położyła się więc i zagłębiła się w powieści gotyckiej. Wolała w tej chwili mroczny, tajemniczy nastrój niż zawiłości filozofii.

Ocknęła się w absolutnej ciemności, jeśli nie liczyć błysków dogasającego żaru w kominku. Zerknęła ku oknu, próbując ustalić, która godzina, ale i tam mrok zakłócała jedynie wątła poświata latarni. Nie sposób było odgadnąć, czy bliżej do wieczoru czy już do świtu.

Rohan wyłonił się niczym księżę ciemności. Stłumiła krzyk, uświadomiła sobie bowiem, że musiał czekać na jej przebudzenie. Jak długo?

- Chciała mnie pani widzieć, kwiatuszku? - spytał.

- Zdawało mi się, że ma pan gości na kolacji.

- Pora kolacji dawno minęła. Wysłałem gości do domu.

- Wszystkich?

- O co pani pyta, skarbie? Wciąż jest tu Reading, ale proszę zachować spokój, od nieocenionej Lydii dzielą go mile. Reszta poszła. - Zamilkł na chwilę, po czym dodał: - Z wyjątkiem madame de Tourville, która czeka na mnie naga w moim łożu. Czego pani sobie życzy?

Ulżyło jej, że wybił ją sobie z głowy, choć nieodwracalnie zamykało to jedną z możliwości rozwiązania obecnej sytuacji.

- Nie chciałam przeszkadzać panu w szukaniu przyjemności. Mogłam poczekać do rana.

Błysk jego uśmiechu było widać nawet w ciemności pokoju.

- Nigdy mi nie pani przeszkadza, gołąbeczko. Proszę tylko powiedzieć, czego pani chce, a będzie jej dane.

- Przede wszystkim chcę mieszkać bliżej siostry.

- Niestety, to jest akurat niemożliwe. Trwa remont południowego skrzydła, a pani siostra zajęła jedyny wykończony pokój.

- Z pewnością mogłaby wobec tego przenieść się do mnie i spać tutaj. Miejsca jest pod dostatkiem.

- To prawda, ale i z tym są problemy.

- Jakie?

- Zbliża się Wielki Post, a trwa karnawał. Zastępy Niebieskie robią wszystko na odwrót. Zamiast ucztować i bawić się, zanim nastanie post, jak dobrzy chrześcijanie, wybieramy właśnie okres postu na szukanie rozlicznych przyjemności. Obżarstwo, rozpusta, gnuśność - to nasze ulubione zajęcia w tym okresie. Domyślam się, że nie chciała by pani, aby jej siostra znajdowała się w pobliżu takich gorszących zdarzeń.

- Wobec tego mogłabym zamieszkać u niej.

- Jej pokój jest za mały. Poza tym to nie odpowiadałoby moim planom.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ chcę mieć panią bliżej siebie, kwiatuszku. Powiedziałem już, że jej siostra mnie nie interesuje, za to pani owszem. Zła wiadomość jest zaś taka, że mogę potraktować pani siostrę jak zakładniczkę.

Na chwilę odebrało jej mowę.

- Zakładniczkę? - wydusiła z siebie w końcu Elinor. - Ale po co? Przecież pan wie, że nie mamy pieniędzy.

- Chodzi o panią. Dopóki będzie pani spełniać moje życzenia, dopóty pani siostra ma zapewnione bezpieczeństwo i ochronę należne pięknej angielskiej dziewczycy.

- Proszę pozwolić, że sprawdzę, czy dobrze rozumiem, lordzie Rohan. - Elinor starała się zapanować nad emocjami. - Chodzi o to, żebym dzieliła z panem łożę, tak?

Roześmiał się.

- Niech pani nie przypisuje mi braku taktu, dziecko. Na wyciągnięcie ręki mam niezliczone kobiety, które pragną zaspokajać moje potrzeby cielesne.

Splonęła wstydem. Najwyraźniej Rohan jej nie chciał.

- Czego więc życzy pan sobie ode mnie?

- Pomaga mi pani uniknąć znużenia. Cenię sobie tę pomoc znacznie bardziej niż jej miejsce między nogami.

Mimo woli syknęła, słysząc tę prowokację, i naturalnie natychmiast ujrzała jego uśmiech.

- Sama pani widzi. Właśnie to wydaje mi się czarujące.

- Może pan sobie znaleźć mnóstwo młodych dam, które pan będzie gorszył.

- Pani nie jest pruderyjna i nawet nie jest dziewicą. To oryginalne, moja droga Elinor. Trudno znaleźć zasadniczą, nieco sztywną młodą kobietę, absolutnie nieprzejednaną w sprawach moralności, która mimo to zdażyła się pozbyć dziewictwa. Liczę na to, że pani wszystko mi o tym opowie.

- Po moim trupie.

- Nie, moja droga. Stawką jest dziewictwo pani siostry.

Spojrzała na niego z oburzeniem.

- Nawet pan nie jest tak zdeprawowany!

- Jestem, skarbie, i to bardziej. Jednak do pozbawienia dziewictwa pięknej Lydii wolałbym wyznaczyć Charlesa Readinga, który zdaje się mieć do niej słabość.

Z piersi Elinor wyrwał się jęk.

- Słucham? Pani coś powiedziała? - Ponieważ nie zareagowała, wrócił do swojego wywodu. - Niestety, Charles zadurzył się w pani siostrze, chociaż temu zaprzecza. Nic jednak z tego nie będzie, bo pani siostra dla niego się nie nadaje. On dobrze wie, że musi poślubić bogatą kobietę, a jednocześnie ma w sobie irytująco dużo przyzwoitości. Mimo to jeśli podsunę mu pani siostrę, na pewno nie zdoła oprzeć się pokusie.

- Ostrzegę Lydię. Ona nie jest naiwna.

- To prawda, jest rozumniejsza i bardziej wytrzymała, niż byłbym skłonny sądzić.

Dopóki nie dojdziemy do porozumienia, dopóty pani się do niej nie zbliży.

Błysnęło światło, gdy Rohan zapalił świecę.

- Mam kuzyna... - zaczęła Elinor.

- Marcus Harriman do niczego się pani nie przyda. Moi prawnicy tego dopilnują.

- Czyżby? - spytała chłodno. - Proszę mi więc przedstawić warunki. Jakiego rodzaju umowę chce pan zawrzeć?

- Powinna być z niej pani zadowolona, kwiatuszku. Zachowuję wiele rozsądku i postępuję prawie jak dżentelmen. - Przerwał, czekając, aż Elinor przestanie się kpiąco śmiać. - Nie mam zakusów na pani urocze ciało. Chcę pani umysłu. Każdy rozsądny człowiek rozumie, że to coś więcej niż to, za co zwykle są cenione kobiety. - Dopóki będzie pani chętnie dotrzymywać mi towarzystwa, dopóty Lydia jest bezpieczna.

- Jak długo?

Udał zaskoczonego.

- O tym nie pomyślałem. Widzę, że jest pani biegła w targowaniu się. Chylę czoło. Jak długo? Prawdę mówiąc, nie wyobrażani sobie, bym mógł się panią zmęczyć, ale kiedyś na pewno tak się stanie, raczej prędzej niż później. A jestem uczciwym człowiekiem... Niech się pani nie złości. Podam rozsądny termin. Do końca świąt wielkanocnych? Ma to swoją ciekawą symbolikę. Wtedy gdy twój Bóg powstał z martwych, pani odzyska wolność.

- Nie mój Bóg - odburknęła.

- Wciąż mnie pani zadziwia. Proszę się więc zastanowić nad następującą propozycją. Panna Lydia zamieszka z panią Clarke w pałacu, gdzie będzie miała doskonałą opiekę. Pani pod dowolnym pretekstem zostanie tutaj ze mną. Ma pani więcej doświadczenia w łganiu niż ja, więc na pewno jakiś powód wymyśli. Ja zwykle nie muszę się tym przejmować. Dotrzyma mi pani towarzystwa przez Wielki Post i podczas igrzysk Zastępów Niebieskich, a w wielkanocną niedzielę rozpocznie nowe życie. Zapewnię jej, rzecz jasna, odpowiednią pensję, aby życie układało się dostatnio. Jak to brzmi?

- Błuznierstwa nie wydają mi się atrakcyjne.

- Zdawało mi się, że to nie o pani Bogu mowa - przypomniał Rohan. - Poza tym nie zależy mi szczególnie na tym, żeby uważała mnie pani za atrakcyjnego, gołąbko.

- Ponieważ nie ma pan zakusów na moje ciało - podsunęła Elinor.

- Nie, moja miła. Ponieważ zafascynowałem panią i nic tego nie zmieni. Bez względu na to, co mówię i robię, jest pani w pułapce jak ćma w sieci pająka.

- Niewykluczone, że pan myli, milordzie, ćmę z osą.

- Nawet na to liczę. - Rohan wstał. Zdmuchnął świecę i pokój znów pogrążył się w ciemności. - Polecę sporządzić umowę i jutro rano dostanie ją pani do podpisania.

- Sporządzić umowę? Oczekuje pan mojego podpisu?

- Naturalnie. Jeśli będzie pani chciała renegocjować porozumienie, wystarczy mi nawiązać kontakt z kilkoma wpływowymi ludźmi, aby całkowicie panią zniszczyć.

Spojrzała na mroczną postać.

- Nie jestem pewna, czy istnieje wielka różnica między moją obecną sytuacją a całkowitym zniszczeniem.

- Różnicę tworzy pani siostra, kwiatuszku. Zawarliśmy ugodę?

Chciała na niego krzyżeć, bić go pięściami, ale postanowiła wyładować rozpacz i wściekłość później, gdy zostanie sama.

- Zawarliśmy. Czy mogę położyć się spać? Jestem bardzo zmęczona.

Zdołała nawet przekonująco ziewnąć.

- Owszem. Czekają na mnie kobiety, a znam ją z tego, że jest nienasycona. Mogę tylko mieć nadzieję, że mojego miejsca nie zajęło trzech innych mężczyzn.

- Dlaczego trzech?

- Aż tylu potrzeba, żeby mnie zastąpić.

Ku swemu zaskoczeniu, poczuła muśnięcie jego dłoni na policzku. Zaraz potem Rohan znikł. Drżącymi rękami zapaliła świecę stojącą w lichterzu przy łóżku. Bez wątpienia została sama. Wydostała się z pościeli, przeklinając bolące stopy, i pokuśtykała do salonu. Tu też Rohana nie było. Do jej pokoju prowadziły dwie pary drzwi. Podeszła do pierwszych, wychodzących na korytarz, i przekonała się ze zdziwieniem, że są zamknięte od wewnątrz. To samo było z drugimi drzwiami, między jej pokojem a garderobą. W jaki sposób Rohan zdołał więc odejść?

Nie miało to znaczenia, ale na wszelki wypadek podparła obie klamki krzesłami. Takiej barykady nikt nie sforsuje. Podeszła do okna i przekonała się, że śnieg prawie przestał padać, w powietrzu szybowały jeszcze tylko pojedyncze płatki.

Czekało ją zatem mniej więcej sześć tygodni. Zawarła umowę i musiała jej dotrzymać, aby zapewnić bezpieczeństwo siostrze. Nigdzie jednak nie było w niej powiedziane, że nie może uprzykrzać mu życia. Jeśli Rohan chce prowadzić swoje gry, proszę bardzo, ale to nie znaczy, że wyjdzie z nich zwycięsko.

Pokuśtykała z powrotem do łóżka i nim zdmuchnęła świecę, przyjrzała się swoim stopom. Na bandażach nie było świeżej krwi. To był dobry znak. Niedługo zacznie normalnie chodzić. Będzie wodzić za nos Francisa Rohana, któremu wydaje się, że potrafi każdemu narzucić swoją wolę. Ona nie pozwoli mu wygrać. Niech tylko odeśle Lydię na

wieś, a będzie miał za swoje. Jego życie stanie się taką udawką, że będzie błagał, by wolno było mu odstąpić od umowy.

Dwie godziny później Francis Rohan leżał w ramionach Juliette, która tego wieczoru okazała się wyjątkowo pomysłowa. Szkoda tylko, że Francis przez cały czas wyobrażał sobie na jej miejscu Elinor Harriman. Juliette nie przeszkadzałoby to zresztą, nawet gdyby o tym wiedziała, pod warunkiem, że dostałaby swoją porcję rozkoszy.

Ta fascynacja oporną panną Harriman oznaczała dla niego tylko kłopoty. Wiedział o tym i niepokoiło go, że stała się ona niemal jego obsesją. Gdyby opowiedział o tym przyjaciółom, osłupieliby. Odmawiał sobie tego, co brał bez wahania.

Po zakończeniu umowy zamierzał odesłać obie panny Harriman do Anglii. Nie wiele wiedział o ich kuzynie, na pewno jednak istniał sposób, by dyskretnie przekazywać pannom Harriman pensję i nikogo nie urazić. Było zresztą coś pikantnego w tym, że tak zasadnicza istota jak Elinor mogłaby zostać jego utrzymanką.

Rozdział osiemnasty

- Nic z tego nie rozumiem! - zirytowała się Lydia, spoglądając na siostrę. - Dlaczego mam jechać na wieś, skoro ty zostajesz?

- Przecież ci tłumaczyłam, najdroższa. Pomagam Rohanowi w bibliotece. To bardzo miłe z jego strony, że złożył mi taką propozycję. Hrabia potrzebuje kogoś, kto zna łacinę i ma ładny charakter pisma, więc nadaję się do tego znakomicie. Podarowano mu do biblioteki zbiór starych, bardzo wartościowych rękopisów, niektóre nawet sprzed ponad stu lat. Teraz trzeba sprawdzić, co zawierają, i sporządzić ich katalog.

- Hrabia nie zna łaciny?

Każdemu dobrze urodzonemu młodemu człowiekowi długo wbijano do głowy łacinę w latach młodości. Wprawdzie Rohan miał opinię hulaki i rozpustnika, ale na Lydii robił mimo to wrażenie kogoś, komu klasycy nie są obcy.

- Zna - odparła Elinor. - Po prostu nie ma na to czasu. Jest bardzo zajęty życiem towarzyskim.

- To prawda - przyznała z ironią Lydia. - Cały Paryż mówi o jego przyjęciach.

- Wiesz, jak to jest z plotkami. - Elinor starała się argumentować jak najbardziej racjonalnie. - Wątpię, czy jego przyjęcia są gorsze od tych, które odbywają się w Wersalu. Ludzie uwielbiają wymyślać różne historie i opowiadać je innym. Im bardziej nikczemne, tym lepsze.

- Zdawało mi się, że przyjechałaś do jego pałacu właśnie podczas jednego z takich przyjęć - przypomniała Lydia.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego Elinor nagle zmieniła front. Czy to możliwe, by hrabia Rohan rzeczywiście pociągał jej praktyczną, daleką od romantyzmu siostrę?

- Tak było. Nie widziałam tam jednak niczego niestosownego. Chyba nie sądzisz, że Rohan żywi wobec mnie jakiejkolwiek uczucia? On może mieć każdą kobietę w Paryżu. Uważa, że jestem zabawna, i to wszystko.

Lydia bacznie przyjrzała się siostrze. Elinor miała na sobie szarą suknię korzystnie podkreślającą figurę i wyciętą z przodu bardziej niż zwykle. Wprawdzie okryła ramiona

kaszmirową chustą, aby zasłonić duży dekolt, ale niewiele to dało. Wyglądała wręcz uroczo i hrabia nie mógł tego nie zauważyć.

- Jesteś naiwna - zawyrokowała. - Nie chcę, żeby jakiś mężczyzna cię wykorzystał.

- Wydaje mi się to mało prawdopodobne. Zresztą, dam ci słowo, że Rohan interesuje się tylko zaletami mojego umysłu.

Słowa Elinor zabrzmiały całkiem szczerze. Zdaniem Lydii znaczyło to jednak tylko tyle, że siostra wierzy w to, co mówi.

- Jeśli tak, to jest ślepy i głupi.

- Jesteś stronicza. Spójrz jednak na to z innej perspektywy. Dla mnie to dobrze, że wyglądam przeciętnie. Dzięki temu mogę pracować dla hrabiego, nie narażając się na niechciane zaloty. Nie przypuszczałam, że będę się cieszyć z nosa Harrimanów.

- Do diabła z nosem Harrimanów. Nie wyglądasz przeciętnie i nigdy tak nie wyglądałaś. Spójrz do lustra.

- Dobra z ciebie siostra - orzekła Elinor. - Panią Clarke na pewno polubisz, to bardzo zacna osoba. Po Wielkanocy dołączę do ciebie i razem pojedziemy do Anglii. Znajdziemy tam nieduży dom, może we wsi na gruntach ojca, a może gdzie indziej. Będziemy miały ogródek, zaczniemy hodować kury, a także kaczki.

- Tylko nie gęsi, bo szczypią. Co powiesz na łabędzie?

- To zależy od tego, czy będzie jakaś woda. Byłoby miło mieszkać nad rzeką albo nad stawem.

- Skoro marzymy, to możemy postanowić, że woda jest - stwierdziła Lydia. - Na przykład strumień wpadający do stawu, gdzie pływają kaczki i łabędzie, ale nie ma gęsi. Zamieszkamy w spokoju i szczęściu jako dwie stare panny. Chciałabym też, żeby były koty. Chyba nie będą polować na kaczki, jak sądzisz?

- Nasze koty będą się bały kaczek - obiecała Elinor. - Nie jestem jednak pewna, jak długo wytrzymamy jako dwie stare panny. Ty na pewno wyjdiesz za mąż.

- Nie, jeśli nie będę chciała - powiedziała stanowczo Lydia. - Sama wiesz, że zawsze byłam uparta i stała w uczuciach. Kiedy raz ktoś mi się spodoba, to nie zmieniam zdania.

- Najlepiej więc, moja droga, nie darzyć uczuciami nikogo - zażartowała Elinor. - Poczekaj, aż wrócimy do Anglii. Na pewno zwrócisz uwagę na jakiegoś przystojnego, młodego dżentelmena żyjącego w dostatku.

- Obawiam się, że na to za późno - oświadczyła Lydia i szybko zmieniła temat, żeby Elinor nie próbowała jej wypytywać. - A więc zgoda, pojedę na wieś, jeśli tego sobie życzysz. Trochę życia w odosobnieniu dobrze mi robi. Musisz jednak dać mi słowo, że nie zostajesz tutaj, aby być... - To słowo nie chciało jej przejść przez gardło.

- Kobieta upadła? - podpowiedziała Elinor. - Kurtyzana? Królową nocy? Nie bądź śmieszna. Czy wyglądam na trzpiotkę?

- Wyglądasz prześlicznie, ale nie chcę, żeby ktoś cię skrzywdził.

Elinor miała dużo zdrowego rozsądku i to pomagało jej w najtrudniejszych sytuacjach.

- Wszystko będzie dobrze, gąsko - powiedziała z uśmiechem. - Czy ja cię kiedyś okłamywałam?

- Częściej, niż mogłabym przypuszczać - odparła szczerze Lydia. Nie chciała rozstać się z siostrą ani znaleźć się daleko od Charlesa Readinga, mimo że od czasu pożaru nie widziała go ani razu. Wciąż jednak czuła na sobie pełne niepokoju spojrzenie Elinor. - No dobrze, pojedę - ustąpiła.

Miała nadzieję, że wiara w Rohana nie jest złudna. Przecież on nie skrzywdzi Elinor, nie odważy się. Gdyby jednak coś złego się stało, Lydia była gotowa dopilnować, żeby hrabia gorzko tego pożałował.

Następnego dnia Elinor zasnęła i ocknęła się z poczuciem winy. Nie czekając na Jeanne-Louise, ubrała się i wyszła z sypialni. Ku swemu zdziwieniu, natknęła się na roślego lokaja, którego poznała poprzedniego dnia. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, poderwał ją z ziemi.

- Jego lordowska mość kazał mi przenieść *mademoiselle*.

- Mogę z powodzeniem chodzić sama - zaprotestowała.

- Dostałem wyraźne polecenie, *mademoiselle* - powiedział lokaj czerwony z zakłopotania. - Proszę pozwolić, że je wypełnię.

Elinor pożałowała nieszczęśnika. Z Rohanem nie było żartów.

- Chcę zobaczyć siostrę.

Zakłopotanie lokaja jeszcze się pogłębiło. Skinął jednak głową i wyszedł na korytarz.

- Wybrałeś niewłaściwy kierunek - zwróciła mu uwagę.

Znowu skinął głową, choć nie było wiadomo, co to znaczy. Elinor pomyślała, że może Lydia czeka na nią w innym pokoju.

Rozmiary rezydencji niezmiennie ją zadziwiały. Szli ciągnącymi się korytarzami, z których większość była udekorowana czarną tkaniną. Nawet dobrze, że nie musiała pokonywać ich sama, bo niechybnie zgubiłaby się w tym labiryncie. Po wyjeździe Lydie zamierzała zresztą siedzieć przez cały czas w swoim pokoju. Była przekonana, że zajęty igrzyskami Rohan o niej zapomni.

Nagle zauważyła znajome miejsce. W tym korytarzu była przed dwoma tygodniami.

- Nie wydaje mi się, żebym mogła zastać moją siostrę w sypialni hrabiego Rohana - powiedziała. - W każdym razie lepiej, żeby jej tam nie było.

Lokaj puścił jej uwagę mimo uszu i zapukał, po czym pchnął drzwi.

Ujrzała Rohana ubieranego przez dwóch służących. Spojrzał na nią bez zdziwienia.

- Moja droga Elinor. Jaka wspaniała niespodzianka. Co panią tu sprowadza?

- Pański uczynny lokaj - odrzekła z przekąsem. - Poza tym nie pozwoliłam panu zwracać się do mnie po imieniu.

- Myślałem, że lubi pani swoje imię. Mogę używać bardziej poufanych form...

- Może pan mówić do mnie po imieniu - zgodziła się natychmiast. Wolą sobie nie wyobrażać, co jeszcze by usłyszała. - Poprosiłam lokaja, żeby zaniósł mnie do mojej siostry, a on przyszedł tutaj. Wyszarpnię panu wątrobę, jeśli Lydia jest w pańskiej sypialni.

- Jakie to wspaniałe, krwawe wyobrażenie. Czy potem zjadłaby pani tę wątrobę? Nie wiedziałem, że ma pani w sobie skłonność do gwałtownych czynów.

- Stanowczo mam, jeśli bronię siostry.

- Pani siostra jest bezpieczna - powiedział. - Możesz ją puścić, Antoine - zwrócił się do lokaja. - Najlepiej zrobiłbyś, gdybyś położył ją na łóżku, ale wtedy mógłbyś zostać pobity. Niech więc będzie zielone krzesło.

Elinor została bardzo delikatnie posadzona na krześle, ale natychmiast się z niego zerwała.

- Niech ktoś ją powstrzyma - polecił beztrąsko Rohan. - Tylko tak, żeby nie zrobić jej krzywdy.

Lokaje natychmiast posadzili ją z powrotem. Nawet nie próbowała im się wyrwać, rozumiejąc, że nie ma to sensu.

- Gdzie jest moja siostra?

- Tam, gdzie obiecałem - odparł hrabia. Dwaj lokaje pomogli mu włożyć idealnie dopasowany atłasowy frak. - Pewnie już dojechała do pałacu i znalazła się pod czułą opieką pani Clarke. Będzie mogła oddychać świeżym wiejskim powietrzem, a gdy skończą się igrzyska, ku wspólnej radości pojedziecie razem do Anglii.

- Dlaczego pan nie pozwolił mi się z nią pożegnać?

- Nie jestem pewien, czy pani ufam. Przyznaję, że o przyszłości opowiedziała pani siostrze oględnie, ale przy tym ma pani zdumiewająco czułe serce. Obawiam się, że siostrzane łzy mogłyby źle wpłynąć na pani godne podziwu opanowanie.

- Płakała? - spytała Elinor, nawiązując do tego, co najbardziej zwróciło jej uwagę.

- Oczywiście. Przecież dopiero co straciła matkę i starą nianię, by nie wspominać skromnego dobytku, a teraz jeszcze porzuciła ją siostra, chociaż Lydii zdawało się, że może na nią liczyć.

Elinor zacisnęła pięści i ukryła je w fałdach spódnicy.

- Dlaczego miałaby myśleć, że ją porzuciłam?

- Moja droga Elinor, czy naprawdę sądzi pani, że siostra uwierzyła w tę historyjkę o porządkowaniu biblioteki? Tak, poleciłem komuś podsłuchać waszą rozmowę i złożyć mi sprawozdanie... Nie, proszę nie zrywać się z krzesła. Powinna pani była wiedzieć, że tak postąpię. Rozsądek nakazuje, by mnie nie lekceważyć.

- To prawda, powinnam o tym pamiętać - przyznała z goryczą.

Tymczasem Rohan przejrzał się w lustrze.

Chyba spodobało mu się to, co zobaczył.

- Panna Lydia jest o wiele sprytniejsza, niż pani przypuszcza - ciągnął. - Podejrzewam, że wyobraża sobie najrozmaitsze tragiczne sytuacje, w jakie mogła pani się wplątać. Musi pani do niej napisać list, żeby mogła odetchnąć z ulgą. Nie wątpię zresztą, że pani Clarke pomoże jej odzyskać dobry nastrój, bo ona potrafiłaby dodać otuchy samemu diabłu.

- Dodaje panu otuchy?

Cicho się zaśmiał.

- Nie, mój klejnocie. Nie jestem diabłem, tylko jednym z upadłych aniołów. - Gestem oddalił lokaja z peruką i pozwolił, by długie szpakowate włosy związane mu w kitkę. Potem wyciągnął rękę i na palce włożono mu pierścienie. Wreszcie znowu spojrzał na Elinor. - Prawdę mówiąc, cieszę się, że pani zaczęła mnie szukać. Mam kilka pytań...

- Wcale pana nie szukałam - odburknęła. - Byłabym szczęśliwa, gdybym nigdy więcej pana nie zobaczyła. Chciałam porozmawiać z siostrą. Ponieważ jednak jej tu nie ma, wrócę do swojego pokoju, i to o własnych siłach! Lokajowi może pan już podziękować.

- Gdy tylko nabiorę pewności, że pani stopy się zagoiły, nie będzie z tym kłopotu. Chce pani, żebym osobiście odwinał bandaż, czy raczej woli pani sama to zrobić?

Elinor natychmiast ukryła stopy pod szeroką spódnicą.

- Niech pan nie będzie śmieszny.

- Widziałem pani bosc stopy, kwiatuszku - zwrócił jej uwagę. - Są urocze. Zapewniam jednak, że w odróżnieniu od kawalera du Corvalle'a uważam inne części ciała za bardziej podniecające. Nawiasem mówiąc, muszę przyznać, że podbicie ma pani wyjątkowo zgrabne.

Spojrzała na niego z nieukrywaną niechęcią.

- Powinna była wykazać więcej rozsądku i nie darzyć pana zaufaniem. Zawarliśmy umowę, a pan oszukał.

- Gdyby coś takiego powiedział mężczyzna, wyzwałbym go na pojedynek. Proszę nie nadużywać mojej dobrej woli.

- Nie wyzwie mnie pan. Zresztą, byłabym nawet zadowolona, gdyby tak się stało. Strzelanie nie wydaje mi się trudne, a miałabym wielką ochotę wpakować w pana kulę.

- Chyba bardziej mi się podobało wyrywanie wątroby. Broń palna jest odczłowieczona i głośna.

Spiorunowała go wzrokiem. Rohan zdawał się znakomicie obracać wszystkie argumenty przeciwko niej.

- Pan jest podłym człowiekiem - stwierdziła, przestawszy liczyć się ze słowami.

- Zgadza się, mój klejnocie - powiedział z uśmiechem. - Podlecem i łotrem, powinna pani o tym dobrze pamiętać. Tak samo jak o tym, że nie miała pani wyboru, walcząc o bezpieczeństwo siostry. Chcąc, żeby nie było jej tutaj w czasie, gdy moi przyjaciele na potęgę łamią niemal wszystkie przykazania, musiała pani przystać na warunki, jakie zaproponowałem.

Jest górą, pomyślała Elinor. Otwarta walka z Rohanem doprowadziłaby donikąd, a jemu tylko sprawiła przyjemność. Musiała zaplanować kampanię rozsądniej.

- Proszę mi więc powiedzieć - odezwał się znowu - jak pani się miewa po śmierci drogiej matki. Domyślam się, że odczuła pani wielką ulgę.

- Pan jest podłym człowiekiem - powtórzyła, patrząc na niego koso.

- Niech pani da spokój - odparł znużonym tonem. - Ona była w połowie długiej drogi do śmierci w męczarniach. Nie uwierzę, że pani pogrzyżyła się w szczerym żalu.

- Nie musi pan w nic wierzyć. - Odwróciła się i dała sygnał roslemu lokajowi, żeby podszedł. - Możesz zanieść mnie z powrotem do pokoju, Antoine - oznajmiła. - Tymczasem skończyłam z panem hrabią.

Miała nadzieję wywołać gniewną minę na twarzy Rohana. Jednak Antoine ani drgnął, a Rohan tylko się uśmiechnął.

- Jeszcze pani nie jadła, prawda? Ja też nie. Każę więc służbie nakryć dla dwóch osób i podczas posiłku będziemy mogli ustalić warunki rozejmu.

- Wolę zjeść w swoim pokoju.

- Ale ja wolę, żeby pani mi towarzyszyła. Antoine, możesz zanieść pannę Harriman do zielonego salonu.

- Dobrze, milordzie.

Lokaj znów chciał unieść Elinor. Spojrzała na niego tak, że nagle się zawahał.

- Spróbuj tylko mnie dotknąć, a pożałujesz - syknęła do nieszczęśnika.

- Terroryzuje pani moją służbę, najmilsza? Uczy się pani tego ode mnie. - Nieznacznym gestem odprawił lokaja. - Możesz iść, Antoine. Dama wyraźnie sobie życzy, żebym zaniósł ją osobiście.

Miała dość rozsądku, by wiedzieć, kiedy uznać się za pokonaną.

- Dziękuję, ale nie. Antoine, możesz mi pomóc.

Lokaj spełnił jednak jej życzenie dopiero wtedy, gdy Rohan pozwolił mu na to ledwo zauważalnym skinieniem głowy.

- Rozczarowuje mnie pani, *ma belle* - oznajmił hrabia. - Przecież już panią nosiłem, i to nie raz. Na pewno podolałbym temu zadaniu. Skoro jednak woli pani młodego Antoine'a, to proszę bardzo.

Lokaj zdążył poderwać ją z ziemi, rzecz jasna zachowując niezbędny szacunek.

- Kiedy pan mnie nosił? - spytała ze złością.

- Podczas pożaru i wtedy, gdy zemdląła pani u mnie w domu.

- Nigdy w życiu nie zemdląłem.

- Proszę się nie martwić. Zaniósłem panią, gołąbeczko, do jej sypialni, ale rozebrała ją w większej części służba. Pani cnocie nic z mojej strony nie groziło.

- W większej części? - powtórzyła lodowatym tonem. - Nic z tego nie pamiętam.

- Tym lepiej. Zabierz ją, Antoine. Mam tu coś do załatwienia. Ona na pewno znajdzie sobie odpowiednie zajęcie, czekając na mnie. Dopilnuj tego.

Innymi słowy, zostałam więźniem, uznała Elinor, i nie mogłam temu zapobiec. Znalazła się w pułapce. Przynajmniej jednak rozumiała obowiązujące zasady, bo była to stara i dobrze znana gra w kotka i myszkę. Tyle że myszy nie próbują się odgryźć, ona zaś zdecydowanie miała taki plan. Rohan chce rozrywki, żeby się nie nudzić? Będzie ją miał, i to w nadmiarze.

Ona też znała różne gierki. Do pojedynku oczywiście stanąć nie mogła, ale mogła mu mocno uprzykrzyć życie.

Pan Mitchum był zatroskany. Na co dzień zajmował się nieruchomościami i finansami, a nie procesami i przestępcami. Sprzyjało mu szczęście, bo większość klientów stanowili angielscy emigranci mieszkający w Paryżu. Naturalnie, szlachetnie urodzeni młodzieńcy niezmiennie trwonili pieniądze, więc jego obowiązkiem było pilnować, by rozrzutność nie zaprowadziła ich prosto do francuskiego więzienia. Zapewniało mu to komfortowe utrzymanie.

Tak było aż do ostatniej sprawy. Owszem, klienci go okłamywali, to było normalne. Nie przywykł jednak do oszustw na wielką skalę, do prób wyłudzenia, będących poważnym przestępstwem. Tak bardzo go ta sytuacja zaskoczyła, że nie wiedział, jak postąpić.

Nie chciał przekazać tego człowieka miejscowym władzom. Jako Anglik żywił do Francuzów wielką nieufność, odczuwał też głęboki wstyd, że jeden z jego krajanów dopuścił się haniebnego czynu. Był przekonany, że otwarta rozmowa z rzeczonym dżentelmenem, przeprowadzona dyplomatycznie i z taktem, może sprawić, że oszust wycofa się ze swoich roszczeń i zniknie bez śladu.

Zdumiewające było to, że naciągaczowi dotąd wszystko się udawało. Pan Mitchum myślał teraz nieco gorzej o swoich kolegach w Londynie, którzy nie zauważyli niczego szczególnego. Gdyby nie jego skrupulatność, ten drań mógłby postawić na swoim, a myśl ta wywoływała żywy niepokój w prawniczej duszy pana Mitchuma, który wierzył w świętość związku małżeńskiego, wyższość Brytyjczyków nad resztą świata i niezawodność brytyjskiego prawa.

Tego dnia dał swojemu kanceliście wolne. Im mniej świadków, tym lepiej. Usiadł za biurkiem i cierpliwie czekał, wpatrując się w płatki śniegu wirujące za oknem. Wiedział, że spóźni się do domu i będzie musiał wysłuchać kazania od żony, a potem wypije kieliszek burgunda i opowie jej trochę o tym, co od kilku dni spędza mu sen z powiek. Ona wtedy pocałuje go w czoło i pokrzepi, mówiąc, że jest dobrym człowiekiem.

Pół godziny później mężczyzna w końcu nadszedł. Pan Mitchum nie znosił niepunktualności, tym razem jednak zdobył się na wyrozumiałość. Wydawało mu się, że gdyby został złapany na jakimś niecnym uczynku, również nie spieszyłoby mu się do rozmowy z kimś, kto wszystko wie. Tymczasem klient rozplątywał się w uprzejmościach i

serdecznie przeproszał za spóźnienie. Jeśli nawet podejrzewał, co go czeka, to tego nie okazał.

Nie chcąc tracić czasu na grzecznościową konwersację, Mitchum szybko przystąpił do rzeczy.

- Obawiam się, że napotkałem poważny problem, panie Harriman. Pańskie dokumenty są sfalszowane. W rzeczywistości ma pan nie więcej praw do majątku po baronie Tolliverze niż ja.

Marcus Harriman był przystojnym, uprzejmym człowiekiem. Uśmiechnął się do adwokata.

- Musiał pan popełnić omyłkę - powiedział, obserwując przez okno nadciągające chmury. - Czyżby ktoś mnie oczernił? Kto wie o tych oskarżeniach?

Pan Mitchum przybrał pozę człowieka urażonego.

- Ja rozumiem, szanowny panie, na czym polega dyskrecja - powiedział. - Do tej pory nie podzieliłem się z nikim swoimi podejrzeniami. Uznałem, że uczciwie będzie dać panu szansę naprawienia błędu.

- Zaiste uczciwie - przyznał pan Harriman. - Doceniam tę szansę. Może zechciałby mi pan pokazać, co w papierach budzi wątpliwości.

Pan Mitchum był dobrze przygotowany, więc rozłożył na biurku różne dowody. Pan Harriman stanął za jego plecami.

- Tutaj - powiedział adwokat, wskazując wyraźne fałszerstwo. - I tutaj - dodał, gdy pan Harriman nieco się pochylił.

Zanim pan Mitchum cokolwiek poczuł, zobaczył swoją krew. Przycisnął dłonie do szyi, na próżno starając się zatamować upływ. Zdążył pomyśleć, że to na szczęście nie boli. Przed oczami pokazała mu się twarz żony. Chwilę później upadł na biurko martwy.

Marcus Harriman wytarł nóż o ubranie adwokata i schował go za pazuchę. Szybko zebrał nasiąknięte krwią papiery i cisnął je do kominka. Począł, aż spłoną, potem wziął szufłę i rozsypał rozżarzone węgle na dywan i drewnianej podłodze. Ogień pokazał się niemal natychmiast.

Harriman cofnął się ku drzwiom i jeszcze przez chwilę podziwiał swoje dzieło. Na Rue du Pélican nie miał na to czasu. Musiał się spieszyć i w końcu nie wszystko mu się

udało. Tutaj było łatwiej. Spojrzał jeszcze na adwokata. Peruka zsunęła mu się z głowy i wpadła do kałuży krwi. Wyglądał zabawnie. Marcus zaśmiał się cicho. Dobrze tak staremu głupcowi.

Chwilę później zamknął za sobą drzwi i odszedł, zanim pożar rozszalał się na dobre.

TLR

Rozdział dziewiętnasty

Rohan szedł korytarzami zalanymi światłem świec, lawirując między splecionymi w uściskach parami. Wiedział, że wygląda imponująco, wszak toalecie poświęcił wiele godzin. Wszystko miał nieskazitelne, od eleganckiej peruki, przez frak z szarego aksamitu wyszywany czarnymi perłami, po jedwabne pończochy i podwyższone trzewiki zdobione brylantami. Również pierścienie i kolczyki lśniły brylantami.

Co do butów, ogarnęły go mieszane uczucia. Wyglądały znakomicie, kosztowały majątek i doskonale pasowały do wieczorowego stroju, a wysoki obcas czynił go wyższym od wszystkich członków Zastępów Niebieskich. Problem polegał na tym, że nie umiał drobić, zawsze miał skłonność do wydłużania kroku. Nawet lata spędzone we francuskich salonach niczego pod tym względem nie zmieniły.

Siła przyzwyczajęń z dzieciństwa jest olbrzymia. A on pierwsze piętnaście lat spędził w rozległych posiadłościach ojca w Kornwalii i na ziemiach dziadka w Szkocji. Praktycznie nie bywał w mieście, a ponieważ energii mu nie brakowało, codziennie przemierzał wielkie połacie ziemi ubłocony podobnie jak towarzyszący mu spaniel. Czasem przynosił z tych wypraw bażanta, innym razem pstrągi z pobliskiego strumienia.

Potem nieraz śnił o tym strumieniu nocami, ale w snach woda często robiła się nagle czerwona, dookoła pojawiała się mnóstwo martwych i dogorywających ludzi, a on trzymał w ramionach brata, Simona, i usiłował tchnąć w niego życie, przerwane uderzeniem piki.

Budził się z tych snów z krzykiem, zlany potem. Nie dzielił łoża z nikim, kto zadawałby pytania. W pewnym momencie doszedł do wniosku, że jeśli przed zaśnięciem spożytkuje siły na zaspokojenie kobiety, to koszmary będą się trzymać od niego z dala. Od tej pory starał się konsekwentnie stosować tę receptę.

Na szczęście nie skończyło się to dla niego tak jak dla lady Caroline Harriman. Inna sprawa, że choroby angielskiej można było łatwo uniknąć, jeśli zachowywało się ostrożność. Nigdy nie zdarzyło mu się, żeby pragnął kobiety na tyle, by narazić się na niebezpieczeństwo. Zawsze można było znaleźć kogoś nie mniej czarującego, kto budził więcej zaufania.

Teraz jednak zamierzał wprowadzić modyfikację do swych zwyczajów. Nie miał pojęcia, kto i w jaki sposób pozbawił pannę Harriman dziewictwa, nie powstrzymałaby go jednak nawet wiedza, że Elinor obcowała z załogą dużego żaglowca. Pragnął jej i kropka. Istniały zresztą sposoby, by uniknąć choroby, ochraniacze robione z jagnięcych jelit lub z płótna lnianego, nasycane chemikaliami. Nigdy czegoś takiego nie używał, ale był gotów nawet na to.

Prawdę mówiąc, takie środki powinny być dostępne dla wszystkich uczestników igrzysk Zastępów Niebieskich, ale ostrożność nie pasowała do zasady „Róbcie, co wam się podoba”. Rohan przypuszczał nawet, że członkowie jego stowarzyszenia opowiedzieliby się za zakazem stosowania takich środków. Pod pewnymi względami bachanalia wydawały mu się wielką głupotą.

Oficjalne otwarcie miało się odbyć następnego wieczoru, ale goście już zjeżdżali ze wszystkich stron. Byli wśród nich również kandydaci do członkostwa. Jeden z nich bardzo Rohana zainteresował. Marcus Harriman, lord Tolliver, został wprowadzony przez sir Henry'ego Penningtona, co trudno było uznać za dobrą rekomendację. Chciał poznać dziedzica rodzowego majątku Elinor. Do spotkania kuzynostwa naturalnie nie mógł dopuścić; planował dobrze ukryć Elinor.

Tymczasem dostał ze wsi wiadomość od pani Clarke. Lydia zadomowiła się całkiem dobrze. Nic dziwnego, do swojej gospodyni miał olbrzymie zaufanie. Był od trzech lat na wygnaniu w Paryżu, gdy któregoś dnia pojawiła się niespodziewanie razem z mężem i córeczką. To dzięki niej opuścił ciemną, odrażającą norę, w której chował się przed światem. Pomogła mu uporządkować życie, a gdy ryzykowne biesiady Zastępów Niebieskich stawały się nużące, zawsze mógł od nich odpocząć w świecie, który stworzyła dla niego pani Clarke.

Takiego spokoju potrzebowała teraz panna Lydia Harriman. I jedno było pewne: Etienne nie postawi na swoim. Rohan nie zamierzał pozwolić, by dostał Lydię w swoje ręce, nawet jeśli bardzo mu się spodobała. Należało się spodziewać, że Charles Reading rozwiąże ten problem.

Rohan wiedział też, że tylko jego śmierć może uczynić Etienne'a hrabią de Giverney, a na tamten świat nie wybierał się jeszcze długo. Z drugiej strony, nie zamierzał

starać się o potomków, więc Etienne kiedyś zostanie hrabią. Elinor byłaby hrabiną. Czy byłaby z tego zadowolona? I co myślałaby o nim, Rohanie, po jego śmierci?

Na razie Etienne wskazał swoim prawnikom bardzo prostą metodę na dążenie do przejęcia majątku i tytułu. Wy tłumaczył im, że zadziałał niefortunny zbieg okoliczności, ale gdyby to on, Etienne, miał pieniądze, aby zakwestionować obecne rozstrzygnięcie, istnieją duże szanse, że król uzna prawa swojego ziomka i przedłoży je nad roszczenia emigranta. Przecież Francuzi pozbyli się księcia Karola Edwarda Stuarta.

To akurat Rohanowi nieszczególnie przeszkadzało. Widział go tylko raz, i to z daleka. W słońcu lśniła jasnoruda czupryna, ale słynnych niebieskich oczu nie sposób było z tej odległości dostrzec. Ponieważ jednak pod Culloden arogancja tego człowieka doprowadziła do klęski, a jego żołnierze znaleźli się na łasce rzeźnika Cumberlanda, Rohan, który był na polu bitwy, całkiem stracił szacunek dla dowódcy. Wolałby nigdy w życiu go nie spotkać.

- Chcesz się do nas przyłączyć, Francis? - rozległ się kuszący głos Juliette, spoczywającej w półleżącej pozie na kanapie.

Pokręcił przecząco głową i w tym momencie usłyszał salwy śmiechu dochodzące z małej sali balowej. Najwidoczniej dobrze się tam bawiono. To go jednak nie interesowało. Wybierał się do swojej branki, żeby sprawdzić, czy namówi ją na rozpuszczenie włosów. Minał pokój karciany, tłumiąc w sobie chęć rozegrania kilku rozdań pikiety. Nie miał jednak teraz do tego głowy, a z natury lubił przykładać się do wszystkiego, co akurat robił. Poza tym łatwo było ograć ludzi myślących o czym innym, a takie zwycięstwo nie dawało satysfakcji.

Wspiął się na pierwsze piętro. Wiedział, że goście dotrą i tutaj, i jeszcze piętro wyżej, a nawet do wschodniego skrzydła, w którym niedawno rezydowała panna Lydia Harriman. Przypomniawszy mu się lunch z Elinor. Interesujące doświadczenie. Przyglądała mu się nieufnie, natomiast on był w swoim najbardziej życzliwym wcieleniu. Gdyby to była inna kobieta, natychmiast poczułaby się w jego obecności całkiem swobodnie. I właśnie dlatego nie chciał żadnej innej kobiety. Elinor obserwowała go czujnie brązowymi oczami i czekała na jakiś akt nadmiernej śmiałości.

Naturalnie nic takiego nie nastąpiło. Lokaj Antoine zaniósł ją z powrotem do sypialni, gdzie pod jej nieobecność dostarczono książki i słodycze. Usłyszał jeszcze od służby, że panna Harriman poprosiła o lekką kolację, poza tym jednak była całkowicie samowystarczalna.

Zamierzał to zmienić.

Paryż był hałaśliwym miastem, a o pełnych godzinach rozlegały się niezliczone dzwony. Teraz właśnie oznajmiały jedenastą. Lubił tę porę. Dziewczyna, którą wyznaczył na pokojową panny Harriman, sumiennie siedziała na krześle przed drzwiami i miała nawet dość rozumu, by nie spać w chwili, gdy nadszedł.

- Możesz iść - powiedział cicho.

- Dokąd, milordzie? - spytała zaskoczona.

- Dostatecznie daleko, żebyś nie słyszała rozmowy w pokoju, ale dostatecznie blisko, żebyś przyszła, gdyby panna Harriman cię wzywała.

- Dobrze, milordzie.

Z niecierpliwością odprowadził ją wzrokiem.

Drzwi były zamknięte na klucz od środka, a podejrzewał, że również podparte krzesłem. Zaśmiał się pod nosem. Lubił wyzwania. Do pokoju prowadziły dwie pary drzwi, były jednak również dwa sekretne przejścia. Ten apartament należał kiedyś do jego ciotecznej prababki, której upodobanie do kochanków zdumiało nawet zblazowanych Francuzów. Ku swemu zaskoczeniu, stwierdził, że pierwsze przejście również zostało zablokowane. Zwykle kawałek boazerii obracał się po dotknięciu we właściwy sposób ozdoby przedstawiającej cherubina. Tym razem mechanizm nie zadziałał. Nie szkodzi, pomyślał. Było jeszcze wejście przez szafę w sąsiednim pokoju, mające wylot tuż przy wielkim łóżu z baldachimem. Zdecydował, że jeśli i ono zastało unieruchomione, wezwie Antoine'a i każe wyłamać drzwi.

W przyległym pokoju panowała cisza. Za dnia adamaszkowe obicie ścian było szaroniebieskie, ale w świetle świecy wydawało się znacznie ciemniejsze. Przez okna sączyła się do środka księżycowa poświata, mógł więc spokojnie zdmuchnąć świecę. Otworzył drzwi szafy i sięgnął do rygielka. Usłyszał satysfakcjonujący trzask i chwilę potem niczym duch znalazł się w sypialni.

Panna Harriman siedziała na szeszlunku i czytała przy świecy książkę. Okazało się jednak, że jednocześnie celuje do niego z niedużego pistoletu.

- Jak, u licha, zdołała pani odzyskać tę paskudną broń? - spytał, wchodząc głębiej do pokoju.

- Charles Reading oddał pistolet Jacobsowi. Uważał, że tam, gdzie mieszkaliśmy, jest nam potrzebne zabezpieczenie. Właśnie, gdzie podział się Jacobs?

- Kto to jest, jeśli wolno spytać?

Przeszedł przez pokój. Pistolet ani drgnął.

- Nasz stangret.

- Nie macie powozu.

- Proszę nie przesadzać z pedanterią - odparła surowo. - Kiedyś mieliśmy ich kilka. On służy u nas od lat i przyjechał z nami do Francji.

- Ach, to ten złodziejasek. Jego umiejętności pozostawiają wiele do życzenia.

- Robił, co mógł. Gdzie on jest?

- W drodze do Anglii. Towarzyszy ciałom pani matki i niani, które mają tam zostać pochowane.

Z wrażenia omal nie upuściła pistoletu.

- Co takiego?!

- Założyłem, że obie chciałyby mieć pogrzeb w rodzinnym kraju. Poczyłem więc przygotowania, by odbył się on w majątku pani ojca.

- I nie uważał pan za stosowne zapytać mnie o zdanie?

- Trzeba było się spieszyć, choć ostra zima pozostawia więcej czasu na takie gesty.

Nie uważa pani, że zmarłe tego właśnie by chciały?

- Niania na pewno tak. Tęskniła za Anglią. Moja matka przewróciłaby się w grobie, gdyby miała leżeć razem z ojcem.

- To też ma swoje zalety. Uważa pani, że matka zasługuje na wieczny spokój?

- Myślę, że matka miała własne piekło już za życia - odparła.

- To prawda. Bardzo szczerze dzieliła się nim jednak z córkami, a zwłaszcza ze starszą. Tak się składa, że nie wierzę w piekło ani niebo, więc nie przywiązuję wagi do miejsca pochówku, ale liczę, że pani doceni mój donkiszotowski gest.

- Nie mam wyboru.

- Słusznie. Czy mogę usiąść?

- Nie.

- To dla mnie poważny dylemat. Jeśli mimo wszystko usiądę, to czy po prostu okażę brak manier, czy za karę pani mnie zastrzeli? Do tej pory obchodziła się pani z moją garderobą dość obcesowo, ale akurat ten strój bardzo lubię. Nie chciałbym, żeby pojawiły się w nim dziury od kul.

- Może pan spróbować i sprawdzić, co się stanie - odparła Elinor, ciekawa, jak daleko Rohan jest gotów się posunąć.

- Dziękuję, tak też zrobię - powiedział, układając odpowiednio długie poły fraka, by przysiąść na drugim końcu szezlongu.

Szybko odsunęła od niego nogi i mocniej zacisnęła dłoń na kolbie pistoletu.

- Lubi pan kusić los, prawda?

- Czy pani jest moim losem, kwiatuszku? Mam właśnie takie przeczucie, odkąd zobaczyłem panią w łachmanach pod moim pałacem. Większość mężczyzn uciekłaby z krzykiem, a ja lubię ryzyko. Czy naprawdę zamierza mnie pani zastrzelić?

- To całkiem możliwe.

Uśmiechnął się do niej.

- Tylko dlatego, że panią irytuję? To dość skrajna reakcja. Myśli pani, że ją zgwałcę?

Poczuł, że gwałtownie drgnęła, i mógł się tylko cieszyć, że jej palec na spuście pozostał nieruchomy, bo lufa pistoletu wciąż była skierowana w jego brzuch.

- Nie.

- Dlaczego? Dałem jasno do zrozumienia, że zamierzam panią mieć.

- Powiedział pan, że zostanę tu jako partnerka do konwersacji.

- I pani mi uwierzyła? Rozmawia pani z libertynem, członkiem Zastępów Niebieskich. Nie sądzę, żebyśmy słynęli z upodobania do ciekawych rozmów.

- Czy to znaczy, że pan mnie zgwałci?

- Wielkie nieba, nie! Nigdy nie biorę siłą tego, co mogę uzyskać urokiem osobistym.

- Jeśli polega pan na swoim uroku osobistym, milordzie, oczekiwanie może być długie.

- Tego nie wykluczam. Lepiej jednak, jeśli pani odłoży pistolet. Zabrałbym go i pani pozwoliłaby na to, ale wtedy musielibyśmy przejść całą zawiłą procedurę zwracania go właścicielce. Niech więc pani sama się rozbroi, kwiatuszku. Przecież wcale nie chce mnie pani zastrzelić.

- Myli się pan. Niczego bardziej nie pragnę, niż pociągnąć za spust.

Roześmiał się.

- Przyznaję, że jest w pani całkiem szczerą chęć wywiercenia we mnie wielkiej dziury. Zakładam jednak, że silniejsze jest dążenie przeciwstawne, aby mieć mnie w całości.

- W ogóle pana nie chcę.

- To kłamstwo.

Rohan wyjął pistolet z ręki Elinor, zabezpieczył go i ostrożnie odłożył na podłogę. Prawdę mówiąc, nie sądził, że broń jest gotowa do strzału. Nie docenił panny Harriman. Należało w przyszłości uważać. Milczała. Siedziała z rękami splecionymi na kolanach. Ujął jedną z nich i kciukiem zaczął głaskać wewnętrzną stronę nadgarstka. Szybko cofnęła dłoń.

- Sądzę, że pan nie wszystko przemyślał. Z jakiegoś powodu uznał pan, że chce mieć za towarzyszkę w łóżku niewinną, niedoświadczoną kobietę. Może złapał pan francuską chorobę i sądzi, że dziewica ją uleczy. Może pociąga pana nowość, co można by zrozumieć, wydaje mi się bowiem, że tyloma dziwkami można się znudzić. W każdym razie na pewno mnie pan nie szuka. Nie jestem ani niewinna, ani niedoświadczona, nie jestem też dziewicą.

Rohan pomyślał, że dziewictwo dziewictwem, a bardziej niewinnej kobiety chyba w życiu nie spotkał. Omal nie poczuł wyrzutów sumienia.

- Mam podstawy wątpić w pani słowa - powiedział, choć naturalnie nie wątpił ani trochę. - Ponieważ słyszę to już drugi raz, podejrzewam, że pani kłamie, aby odwrócić od siebie moją uwagę.

- Nie kłamie.

- Proszę tego dowieść - zażądał. - Podpisałaś cyrograf z diabłem, Szeherezado. Opowiedz mi historię swoich przygód miłosnych, a może pozwolę ci odejść.

Widział, jak gorączkowo rozważa różne możliwości. Cierpliwie czekał na wynik.

- Mój pierwszy kochanek był nauczycielem muzyki - powiedziała po chwili. - Mieszkałyśmy wtedy jeszcze w Faubourg Saint-Martin, matka miała kilku szczodrych przyjaciół i żyłyśmy szczęśliwie. On był moim rówieśnikiem, bardzo przystojnym, miał długie jasne włosy i niebieskie oczy. Kochał mnie.

- A jak się nazywał ten wzór wszelkich cnót?

- Pascal de Florent - odparła bez wahania Elinor.

Niewiele brakowało, by hrabia uwierzył.

- Niech się pani przesunie.

Spojrzała na niego rozeźlona.

- Po co?

- Bo chcę, żeby mi pani o tym opowiedziała, a lubię czuć się wygodnie. Ten szeslong jest dostatecznie duży dla nas dwojga, chyba że woli się pani przenieść do łóżka. Nie? To proszę opowiadać dalej.

Zawahała się, ale najwidoczniej jej niepokój nieco przygasł. Przesunęła się, a Rohan wyraźnie się do niej zbliżył.

- Au! - syknęła. - Musi pan mieć na sobie tyle tych diabelnych klejnotów?

- Z pewnością nie, gołąbeczko. - Rozpiął brylantowe guziki i cisnął frak na podłogę. Na ten wieczór specjalnie wybrał jeden z mniej dopasowanych, aby móc go zdjąć bez niczyjej pomocy. Pochylił się ku niej tak, że ich ramiona się zetknęły.

- Kontynuujemy? - spytał.

Spojrzała na niego i nawet w wątłym świetle zauważył buntownicze błyski w jej oczach. Chciała znów się odsunąć, ale zabrakło miejsca.

- Potem był jeden z młodych adoratorów mojej matki...

- Nie tak szybko, klejnocie... Opowiadasz mi historię. Przygody zbrukanej panny. Chcę usłyszeć na ten temat wszystko. Czy zakochałaś się w swoim nauczycielu muzyki?

- Ja... naturalnie. Był piękny i bardzo miły.

- Rozumiem. A gdzie mieliście schadzki? - spytał, notując w myślach, że kochanka nie opisuje się takimi słowami.

To pytanie nie było trudne. W istnienie nauczyciela muzyki ani w jego zalety Rohan nie wątpił.

Elinor musiała marzyć o nim godzinami. Tyle że nauczyciel na pewno nawet jej nie dotknął.

- Najpierw w mojej sypialni. Zakradał się tam po lekcjach.

- Czyli pozbawił panią dziewictwa w jej łóżku, był czuły i piękny. Ile razy to robiliście?

Zmarszczyła czoło.

- Raz.

- Raz na pierwszej schadzce czy raz z nauczycielem muzyki?

Widział jej rosnącą irytację.

- Wiele, wiele razy - wysyczała przez zęby. - Robiliśmy to w mojej sypialni, w pokoju muzycznym, w...

- Gdzie w pokoju muzycznym?

- Pod klawesynem. Na klawesynie. Niestety, niania nas nakryła, a moja matka zwolniła nauczyciela muzyki i więcej go nie zobaczyłam.

- To tragedia. Pociesza mnie jednak pani inwencja. Kto był następny?

- Aktor z Comédie Française. Nazywał się Pierre duClos i był niezwykle urodziwy. Miał kruczoczarne włosy i anielski uśmiech.

Rohan bawił się coraz lepiej. Szeherezada opowiadała bardzo zajmujące historie. Wymyślone od początku do końca.

- Widzę, że lubi pani pięknych mężczyzn. Udało mi się.

Zmierzyła go krytycznym spojrzeniem.

- Nie miewa pan wątpliwości co do swoich zalet, prawda?

- Po co mi one? Szkoda czasu. Oboje wiemy, że jestem wspaniałą. - Potrząsnął koronkowym mankietem. - Osobisty służący wkłada wiele wysiłku w mój piękny wygląd. Odczułby to jako osobistą porażkę, gdyby zawiódł. Powinienem go odprawić?

- Na pewno nie zawiódł - stwierdziła. - Wygląda pan pięknie. Tak bardzo, że przyćmi pan absolutnie wszystkich niczym paw dumnie przechadzający się wśród brązowych kur.

- Czy pani ma się za brązową kurę, moja miła?

- Można popełnić gruby błąd, myśląc o mnie w ten sposób - odparła Elinor.

- Rzadko popełniam błędy, mój klejnocie - stwierdził z uśmiechem. - Doceniam panią od naszego pierwszego spotkania. Wiem, jaka pani jest niebezpieczna.

- Dlaczego więc mnie pan nie wypuści?

- Wypuścić panią? Nie miałem pojęcia, że trzymam panią w więzieniu. Dokąd właściwie chciałaby pani odejść?

- Może wykaże pan dość życzliwości, by zaoferować mi schronienie w pańskim pałacu?

- Mógłbym to zrobić - powiedział. - Charles zawiózłby tam panią jutro z samego rana.

- Naprawdę?

Wyglądało na to, że jej nadzieja jest całkiem szczerą. Było mu przykro, że za chwilę ją rozczaruje.

- Mnie też należy doceniać. Może tak się stać, ale wtedy na pani miejsce Charles przywiezie Lydię.

- Pan jest bezdusznym, manipulującym potworem.

- Och, ocenia mnie pani zbyt surowo. Nie jestem potworem. Nie nazwałbym się nawet złym człowiekiem, chociaż dobrym też nie.

Ujął jej dłoń i pocałował, zanim zdążyła wyszarpnąć rękę. Głośno odetchnęła, starając się zachować spokój. Miała pecha, bo Rohan najwyraźniej lubił wprawiać ją w złość. W ogóle uwielbiał prowokować.

- Niech mi pani opowie o tym swoim przystojnym aktorze. Widziałem go na scenie. Rzeczywiście urodziwy, choć grał bardzo przeciętnie. Jak to się stało, że nawiązała z nim pani romans?

- Bardzo prosto. Wysłałam mu bilecik, chwając jego umiejętność gry i proponując spotkanie. Odpowiedział i tak się zaczęło.

- Co robiliście na schadzce?

Spojrzała na niego z niezmaconym spokojem.

- Chędożyliśmy się.

Roześmiał się cicho.

- Nie wiedziałem, że zna pani to słowo, miła.

- Spędziłam wiele czasu w stajniach.

- A jakie pozycje lubiła pani najbardziej?

- Wszystkie, które proponował. Byłam... bardzo zainteresowana jego propozycjami.

- W to nie wątpię. A kto był potem? Wszyscy dworzanie króla Ludwika ustawieni w kolejce?

- Nie wierzy mi pan? - spytała urażona.

- W pani opowieściach na pewno jest ziarno prawdy. Miała pani chętkę na nauczyciela muzyki, może nawet kiedyś się z nim całowała. Jeśli zaś o duClosa chodzi, to jest tajemnicą poliszynela, że woli towarzystwo mężczyzn.

- Czyli uważa pan stanowczo, że jestem dziewicą? - oburzyła się.

- Nie jest pani, moja droga. Po prostu okłamuje mnie pani co do okoliczności utraty tej wyjątkowo bezużytecznej części ciała.

- Skończmy wreszcie tę grę. Niech pan powie jasno, czego właściwie ode mnie chce. Wtedy dostanie to i koniec.

- A gdzie zabawa, kwiatuszku?

Zirytowana Elinor przygryzła wargę.

- Niech pani tego nie robi. - Hrabia położył jej palce na ustach.

Ugryzła go. Powinien był cofnąć rękę, ale tego nie zrobił.

- Dziecko - rzekł zblazowanym tonem - gdybym nie zachował niepożądanych resztek przyzwoitości, przewróciłbym panią na szezlong i wziął ją tu i teraz, nie zważając na opór. Czy liczni kochankowie nie nauczyli pani, że gryzienie ma silny podtekst erotyczny?

Natychmiast go puściła i poprosiła:

- Niech pan odejdzie, hrabio. Na pewno zmęczył się pan swoimi niedorzecznymi gramami.

- Moje gry nie są niedorzeczne, ponieważ mnie bawią.

- W tym domu jest pełno pięknych kobiet... - zaczęła.

- Na razie nie. Igrzyska zaczną się jutro. Na razie jest w rezydencji nie więcej niż pięć, sześć piękności.

- Dlaczego więc nie pójdzie pan dręczyć którejs z nich?

- Ponieważ żadnej z nich nie chcę, moja droga. Chcę mieć panią.

- Nieprawda - zaprzeczyła Elinor.

Spojrzała Rohanowi w oczy. Była to chwila intymności, jakich zwykle hrabia bardzo starannie się wystrzegał.

- Nie ruszaj się teraz - powiedział cicho.

- Dlaczego? - spytała szeptem.

- Bo chcę cię pocałować. Tylko raz. A potem zostawię cię na... och, pewnie na kilka godzin. Jeśli będziesz się wiercić, to mogę nie poprzestać na zwykłym pocałunku...

Uciszył go dotyk jej warg. Pierwszy raz Elinor z własnej inicjatywy pocałowała mężczyznę, więc wypadło to dość niezgrabnie.

- Teraz proszę odejść. Obiecał pan.

- Nie traktowałem tego jako obietnicy, ale na razie wystarczy. Może przy następnej okazji opowie mi pani prawdę o utracie dziewictwa.

Spojrzała mu wyzywająco w oczy.

- A dlaczego miałabym to zrobić?

- Ponieważ chcę wiedzieć, jak to się odbyło. - Pochylił się i musnął jej wargi, potem puścił jej dłoń i wstał. - Do zobaczenia. Jutro do tego wrócimy.

- Może do jutra wróci też panu zdrowy rozsądek albo odezwie się pańskie sumienie i wyda pan niezbędne polecenia, abym mogła spotkać się z siostrą.

- Moje sumienie diabli wzięli wiele lat temu.

- A zdrowy rozsądek?

- Oszalałem na pani punkcie, kwiatuszku, i wątpię, czy cokolwiek to zmieni, zanim panią posiadę. Proszę się jednak nie obawiać, niczego nie będę wymuszać. Polowanie jest równie atrakcyjne jak samo zdobycie łupu.

Podszedł do drzwi i przekręcił klucz w zamku.

- Dobranoc, moja droga.

Kiedy ją zaskoczył tego wieczoru, czytała książkę, teraz cisnęła tą książką za nim, dając dowód niemałego temperamentu. Przesłał jej z progu pocałunek i znikł na korytarzu. Uśmiech wciąż błąkał się na jego zwykle obojętnej twarzy.

TLR

Rozdział dwudziesty

Francis Rohan stanął na podwyższeniu w wielkiej sali balowej i potoczył wzrokiem po zebranych. Większość znał. Była też grupa nowicjuszy obojga płci, ubranych w mnisie szaty, obwiązanych w pasie sznurami, które połączono w łańcuch. Wszystkich tych ludzi sprawdzał Rolande, Rohana bowiem dawno przestało to bawić. Wiedział, że będzie starał się powściągnąć nudę, obserwując ich rytuały. Zamierzał najszybciej jak to możliwe pozostawić ten tłum i zająć się swoim nie całkiem dobrowolnym gościem. Tymczasem jednak musiał oficjalnie otworzyć igrzyska.

- Róbcie, co wam się podoba - oznajmił, powtarzając tradycyjną formułę.

Od grzmotu wiwatów zakołysały się płomienie świec. Rohan uśmiechnął się pod nosem i pozwolił otworzyć drzwi do wnętrza domu.

Charles Reading czekał na niego w bibliotece. Siedział, trzymając w dłoni kieliszek bordo.

- Nie zostałeś? - spytał.

- Jak widzisz. A ty nie przyszedłeś na otwarcie.

- Nie. Może się starzejemy, Francis?

- Mój chłopcze, w porównaniu ze mną jesteś dzieckiem.

- Daj spokój, dzieli nas tylko osiem lat różnicy, dzieckiem trudno mnie nazwać.

Czasem intryguje mnie, dlaczego zależy ci na tym, aby uchodzić za starszego i mądrzejszego od wszystkich. Zaszczycił nas dziś swą obecnością jego wysokość książę Leicester, a staruszek skończył osiemdziesiąt lat.

- W tak podeszłym wieku czerpie przyjemność chyba głównie z oglądania - powiedział Francis, nalewając sobie wina.

- Nie ma w tym nic złego.

- Dlaczego więc nie poszedłeś się przyglądać? Może oderwałoby to twoją uwagę od innych spraw.

Charles spojrział na niego groźnie.

- Na przykład jakich?

- Takich jak żalodne uczucie do siostry Elinor.

- Elinor, powiadasz? Nie wiedziałem, że jesteście na tak poufalej stopie - zakpił. Rohan przyjął to obojętnie.

- Lubię podchodzenie pod szczyt, mój drogi. Kiedy urzeczywistniam pragnienie, szybko ulegam znużeniu, więc odwlekam to najdłużej, jak potrafię. A co z tobą? Spodziewam się, że twoje zainteresowanie wzbudził ktoś... bardziej przystępny.

- Nie.

- Nie? - powtórzył z udaną zgrozą. - Mój drogi chłopcze, jesteś chory. „Nie mów mi o stałości, tej błahej ułudzie...”.

- Nie jestem w odpowiednim nastroju, żeby przerzucać się z tobą cytatami - powiedział Charles.

- Mój drogi, twój ton można nazwać niemal ponurym. Może powinienes pojechać do Château de Giverney i ulec pokusie? - podsunął.

- I stać się powodem jej kompromitacji?

- Od kiedy przejmują się tym tacy jak my? Rób, co ci się podoba. Ona nie będzie miała nic przeciwko temu, daję ci słowo.

Reading przeszył go wzrokiem.

- Co przez to rozumiesz?

- Chcesz mnie wyzwać na pojedynek, Charlesie? Nie miałem nic innego na myśli oprócz tego, że panna jest w tobie zadurzona, więc jeśli zechcesz, możesz to wykorzystać.

- Nie - odparł. - Porozmawiajmy o czym innym.

- W porządku. Rób, co ci się podoba - stwierdził złośliwie hrabia. - Czyżbym właśnie usłyszał, że warczysz?

- Byłem dzisiaj obejrzyć to miejsce, w którym cię postrzelono - zmienił temat Charles. - I nie rozmawiajmy o tym, czy chciałem, żeby kula trafiła nieco lepiej. Bywasz czasem bardzo irytujący, Francis.

- Na tym częściowo polega mój urok.

- Postrzał nie mógł zdarzyć się przypadkiem, ale strzał był trudny, dziwię się, że ktoś spróbował w takich warunkach. Kula łatwo mogła trafić innego pasażera powozu. To była żalosna nieudolność.

- Żałosna - powtórzył Rohan.

- Kto najbardziej chciałby cię zabić?

- Jeśli nie liczyć ciebie w tej chwili? Przychodzą mi do głowy dwaj mężczyźni, którzy roszczą sobie prawa do moich tytułów. Mój drogi francuski kuzyn Etienne byłby zachwycony, gdyby zobaczył mnie martwego. Odziedziczyłby tytuł i włości, a w dodatku nie musiałby plamić swoich rąk dotykaniem zwykłych ludzi. On naprawdę jest nieznośnym snobem. Uważa, że motłoch składa się z podludzi stworzonych jedynie po to, by mu służyć.

- Czy przypadkiem nie uważamy tak wszyscy?

- Och, nie mów mi, że stałeś się nagle zwolennikiem reform - odparł zaniepokojony Rohan. - Osobiście zdecydowanie przedkładam osobistą wygodę nad sprawiedliwość w świecie. Moja służba słusznie umiera ze strachu przede mną, a ja dzięki temu nie muszę okazywać, jaki jestem podły.

- Wszyscy słusznie umierają ze strachu przed tobą, Francis.

- Z twoim wyjątkiem, drogi chłopcze. - Zamyślił się. - Twoim i Elinor - poprawił się. - Na tym polega jej wielki urok. Czy panna Lydia boi się ciebie?

- O niej nie będziemy rozmawiać - odparł Reading. - Powiedz lepiej, czy sądzisz, że Etienne stoi za tą próbą zamachu?

- Chyba nie. Wydaje mi się typem, który posłużyłby się raczej trucizną. Nie skreślałbym go, ale i nie traktował jako pierwszego podejrzanego.

Rohan wstał i dolał sobie wina. Reading wskazał, również na swój pusty kieliszek.

- Kogo mamy jeszcze? - spytał.

- Jest mój drogi kuzyn z Anglii, któremu się wydaje, że ma prawa do mojego tamtejszego tytułu. - Rohan pogardliwie wyduł wargi. - Innymi słowy, czarujący Joseph Hapgood.

- Gdybyś zginął, tytuł przestałby być kwestią sporną. Hapgood miałby go dla siebie bez dalszych problemów - zwrócił mu uwagę Reading.

- Już go ma, w każdym razie dopóty, dopóki pozostaje w mocy zakaz powrotu do Anglii pod rygorem kary śmierci - odrzekł beztrąsko Rohan. - Nie zamierzam skończyć w twierdzy Tower, krótszy o głowę.

- Na to można by coś zaradzić. Gdybyś wystąpił do króla...

- Wątpię, czy tak zwany król wybaczył uczestnikom bunt. Poza tym mój przypadek jest niebezpiecznie podobny do innego, obejmującego człowieka z bezprawnie zawłaszczonym tytułem i prawowitego dziedzica występującego z roszczeniami. - Francis pokręcił głową. - Sądzę, że nie powinienem liczyć na królewską łaskę.

- Francis... - Reading zwrócił się wyjątkowo łagodnie do przyjaciela. - Culloden było ponad dwadzieścia lat temu.

- To ledwie chwilka, chłopcze. Zawrzemy umowę? Przestanę wspominać o panie Lydii, jeśli powstrzymasz się od nawiązywania do mojej godnej pożałowania przeszłości. To dla mnie już bez znaczenia. Przegrane sprawy budzą złe wspomnienia. Wróćmy do pytania, kto próbuje mnie zabić. To nie Joseph Hapgood. Czy mówiłem ci, że on przed kilkoma laty mnie odwiedził? Nie pamiętam, gdzie wtedy byłeś. Rozkoszny człowiek. Nienawidzi Yorkshire. Rolnik, sam rozumiesz. Ma rozległe posiadłości w Kornwalii, tęgą żonę i ośmioro dzieci. Obecnie zapewne więcej, bo wydawał się niesłychanie zainteresowany mnożeniem zarówno potomstwa, jak i gruntów. Twierdzi, że nigdy tak naprawdę nie chciał tytułu ani związanej z nim odpowiedzialności.

- Uwierzyłeś mu?

- Bez wahania. Moim zdaniem on wciąż ma na butach resztki krowiego nawozu. Gdyby mógł, oddałby tytuł z radością.

- A co ty mu powiedziałaś?

- Że nigdy nie traktowałem go jako kogoś, kto ma szansę przejąć tytuł. Niezbyt taktowne stwierdzenie w tej sytuacji, ale to jest ten irytujący rodzaj człowieka, który o nic się nie obraża. A starałem się bardzo. On więc na pewno nie posunąłby się do zabijania, aby mieć pewność, że pozbył się kontrkandydatów. Wolałby zostać bez tytułu.

- Czyli jednego podejrzanego możemy wyeliminować. Kto następny?

Rohan wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Nasuwa mi się zupełnie inna teoria, wprawdzie całkiem irracjonalna, ale nie mogę jej się pozbyć. Załóżmy, że to nie ja byłem celem zamachu.

- Myślisz, że chodziło o mnie? - Reading zrobił zdziwioną minę. - Nie dorównuję ci liczbą wrogów, Francis.

- Nie ja miałam paść ofiarą, chłopcze, tylko moja droga panna Harriman. Wiozłem ją tym samym powozem niecałą godzinę wcześniej. Zamachowiec mógł sądzić, że to ona siedzi obok mnie i mierzyć właśnie do niej.

- Dlaczego ktoś miałby zabijać pannę Harriman?

- Nie mam pojęcia. Wiesz jednak, że wyobrażnia zawsze mi dopisywała, a ten pomysł trzyma się mnie od dłuższego czasu. Zastanawia mnie również pożar. Lady Caroline ledwie mogła się ruszać i prawie nie mówiła, jeśli akurat nie była czymś mocno pobudzona, a jej łóżko stało daleko od kominka. Jak udało jej się wstać i podłożyć ogień?

- Czy rodzina uważa, że to ona była sprawczynią?

- Tak. Pożar wybuchł na pewno wskutek podpalenia. A to oznacza, że twoja słodka Lydia również była w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Reading zdrętwiał, ale zaraz się opanował.

- Wciąż jednak bez odpowiedzi pozostaje zasadnicze pytanie - powiedział. - Dlaczego ktoś miałby chcieć zabić pannę Harriman?

- Co wiesz o nowym baronie Tolliver? - odparł pytaniem Rohan.

Umowa leżała na stole, kartka eleganckiego papieru zapisana równym pismem. Głosiła, że panna Elinor Harriman zgadza się mieszkać w Maison de Giverney do końca Wielkiego Postu, podczas gdy jej siostra zamieszka w Château de Giverney. Na dole widniał podpis z zawijaszem, w który włożyła całą swoją złość.

Właśnie zamierzała złamać tę umowę. Mogła sobie tłumaczyć, że to jego wina. Przecież szantażował ją i przymuszał. Dlaczego więc czuła się tak podle? Nieważne. Ktoś w tym wielkim domu postanowił jej pomóc. Niepozorna narzutka i nowe trzewiki leżały ukryte w jej łóżku, a w poszewce poduszki miała schowaną sakiewkę z monetami i liścik. „Uciekaj, kiedy nadarzy się okazja” - brzmiał tekst. Byłaby niemądra, gdyby nie skorzystała z zachęty.

Okazało się, że ma w tym domu przyjaciół. Chyba nawet Willis i Jeanne-Louise współczuli, że ona znalazła się w takiej sytuacji. Wątpliwe jednak, czy któreś z nich umiało pisać, zresztą, te równe litery wyszły prawdopodobnie spod wprawnej męskiej ręki.

Pomyślała o panu Readingu. Był zakochany w Lydii, choć z jakiegoś powodu starał się zachować dystans. Może uznał, że ratując z opresji starszą siostrę, zyska przychylność młodszej? Z drugiej strony, niczego przecież zyskiwać już nie musiał, bo to on zachowywał większą powściągliwość niż Lydia.

Zasadnicze pytanie brzmiało, jak wydostać się z tego domu, nie natykając się na Jeanne-Louise lub na samego Rohana. Pan domu przypominał jej wielkiego drapieżnego kota. Niania zabrała ją przed laty na wystawę egzotycznych zwierząt w Hyde Parku. Nie, lwem Rohan nie był, ale może czarną, lśniącą panterą. A ona była myszą. Taką, która ma duże zęby i syczy. I w złości może się odgryźć. Rozbawiona tym wyobrażeniem, cicho się zaśmiała.

- Co jest takie zabawne, mój klejnocie?

Aż podskoczyła z wrażenia. Przestała blokować drzwi, bo Rohan i tak znajdował sposób, żeby się dostać do środka. Tym razem wszedł przez garderobę.

- Myślałam o panu, milordzie - powiedziała przymilnym tonem.

- Śmiała się pani, myśląc o mnie? To cios dla mojego poczucia własnej godności.

- W zasadzie śmiałam się z siebie. Wyobraziłam sobie, że pan jest wielkim kotem, a ja myszą, ale nie taką zwykłą, malutką, tylko syczącą i mającą ostre kły.

- Sycząca mysz z ostrymi kłami? Moja droga. Ma pani bardzo dziwne wyobrażenie o swoich wdziękach.

Elinor wydała odgłos, z którego ta niebezpieczna mysz mogłaby być dumna.

- Czemu zawdzięczam zaszczyt odwiedzin? Dziś wieczorem rozpoczyna się pańska wielka orgia. Czy nie powinien pan teraz knuć, w jaki sposób doprowadzić do kompromitacji jakąś niewinną kobietę?

- Właśnie to robię, kwiatuszku. - Usiadł na kanapie i zaczął się rozglądać z dużym zainteresowaniem. - Jak lektury? Przysłałem trochę książek, aby mogła pani zajmująco spędzać czas.

- Podobały mi się, choć nie wszystkie. Część tych książek z ilustracjami zupełnie nie odpowiadała moim gustom. Nie wiem, z jakich antycznych dzieł kopiowano ilustracje, i szczerze wątpię, czy w rzeczywistości można przybierać tak dziwaczne pozy.

Tym razem udało jej się uniknąć rumieńca zakłopotania, który zalał jej policzki, gdy pierwszy raz otworzyła te książki.

- No cóż, na wielu z tych ilustracji są bogowie - powiedział spokojnie Rohan. - Rysunki pochodzą z różnych rzymskich ruin i ze świątyń indyjskich. Jeśli pani chce, możemy obejrzeć je razem. A jeśli pani sobie zażyczy, mogę pokusić się o demonstrację którejś z bardziej karkołomnych póz. Nie miało sensu piorunować go wzrokiem.

- Te książki były bardzo... pouczające, ale może pan je zabrać. Wydają mi się nieprzydatne w świetle tego, jakie życie zamierzam prowadzić.

- Czyżby nie myślała pani o prokreacji? - spytał Rohan.

- Te książki nie są o prokreacji, tylko o... - Zabrakło jej słów.

Rohan natychmiast pospieszył z pomocą.

- O rozpuszcie? Degeneracji? Upadku?

- O przyjemności - powiedziała.

Udało jej się go zaskoczyć, a to miało nie mniejszą wartość, niż gdyby zdobyła się na jakieś zakazane słowo.

- Słucham? Czy pani, moja droga Elinor, właśnie utożsamiła obcowanie cielesne z przyjemnością?

- To musi sprawiać przyjemność. Jaki byłby inny powód tych pańskich niedorzecznych przyjęć?

Uśmiechnął się do niej uwodzicielsko.

- W tym rzeczywiście jest mnóstwo przyjemności, dziecko. Proponowałem pani wiele razy, że jej to pokażę.

- Mogę się obejść bez tej przyjemności, milordzie.

- Nie sądzę. Dlaczego nie opowie mi pani prawdy o swojej mrocznej przeszłości, moja droga? Przecież ustaliliśmy już, że nie wierzę w te bajki o nauczycielu muzyki i aktorze. Pani byłaby o wiele bardziej podatna na moje subtelne zaloty, gdyby wcześniej próbowała przyjemności.

Musiała powtórzyć sobie w myślach, że jest przygotowana do ucieczki. Miała dość pieniędzy, by w razie potrzeby zapłacić za przewóz statkiem do Anglii. Gdyby opowiedziała mu prawdę, mogłaby zająć hrabiemu cały wieczór. Może warto więc spróbować.

- Moja matka sprzedała mnie jako nałożnicę zaprzyjaźnionemu dżentelmenowi, który tak bał się choroby, że brał do łóżka jedynie dziewice. Pozostawałam w jego służbie przez trzy miesiące, póki nie znalazł mojej następczyni.

- No tak. - Rohan nie wydawał się wstrząśnięty. - Czy on był dla pani przyjemny?

- Nie.

- A ile lat pani wtedy miała, gołąbeczko?

- Skończyłam siedemnaście. Nie ma potrzeby litować się nade mną. Przecież zgodziłam się na to. Zgodziłam się być dziwką.

- A dlaczego?

- Moja matka powiedziała, że jej przyjaciel woli Lydię.

- Aha. A jak się ten dżentelmen nazywał?

- Dlaczego pan chce to wiedzieć?

- Ze zwykłej ciekawości, kwiatuszku. Jak się nazywał?

- Sir Christopher Spatts. O ile wiem, wrócił potem do Anglii i tam się ożenił.

- Naprawdę? - Rohan wydawał się nienaturalnie spokojny. - A czy matka dalej podsuwała panią swoim znajomym?

- Nie. Od tamtej pory żyję w chwalebnej abstynencji. Nie jestem stworzona na kurtyzanę. Dla sir Christophera cała moja wartość sprowadzała się do dziewictwa.

Rohan nagle poczuł przemożną chęć, by wyznać Elinor, jak bardzo mu się podoba. Co za upadek!

Wstał z kanapy.

- Zamierzałem pogłębić pani edukację, moja droga Elinor, ale, niestety, mam coś ważnego do zrobienia. Z pewnością żałuje pani, że nie posłucha lekcji o swoich pierśsiach, ale jeszcze z tym zdążymy.

To dziwne, ale jego słowa wywołały u niej dziwne mrowienie, zupełnie jakby jej dotknął. Nagle zaczęła rozumieć treść niektórych oglądanych wcześniej ilustracji. Tymczasem Rohan podszedł bliżej i pogłaskał ją po policzku.

- Biedny kwiatuszek - powiedział. - I nie ma kto pani pomścić.

Nagle zapragnęła przytulić się do niego. To było całkowite szaleństwo.

- Moja matka nie żyje, a to ona mnie sprzedała.

- Dziś wieczorem pozwolę pani odpocząć. Jutro będzie dość czasu na następną lekcję.

- A jeśli nie będę chciała się uczyć? - spytała, starając się powstrzymać drżenie, które wywołał u niej jego delikatny dotyk.

- Będzie pani, moje dziecko - powiedział, uśmiechając się. - Zapewniam panią, że będzie.

TLR

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rohan zastał Charlesa przy jednym ze stolików nakrytych zielonym sukmem. Przyjaciel wpatrywał się w wachlarzyk kart z widocznym brakiem entuzjazmu. Gdy spojrzał na Rohana, natychmiast odłożył karty i wyszedł za nim do opustoszałego holu.

- Wyglądasz jak upiór - powiedział. - Czyżby twój kwiatusek tak bardzo nie nadawał się do łóżka?

Rohan przyjrzał mu się z powagą i spytał:

- Czy chcesz rozmawiać o siostrze swojej prawdziwej miłości w tak grubiański sposób?

- Lydia nie jest moją prawdziwą miłością - odparł Charles. - Poza tym pytanie wcale nie wydaje się bezzasadne, ale niech ci będzie, wyrażę je inaczej. Czy czas, który spędziłeś z panną Harriman, przyniósł ci rozczarowanie?

- Odbiliśmy krótką rozmowę. Muszę coś zrobić i potrzebuję twojej pomocy.

- W czym?

- W zabiciu człowieka.

- Kogoś konkretnego? - zapytał zaskoczony Charles.

- Tego grubasa, który do nas dzisiaj przystąpił. Sir Christophera Spattsa.

- To wyuzdany osobnik, krąży wiele plotek o jego niezdrowych upodobaniach.

- Na przykład?

- Podobno lubi dziewczynki, im młodsze, tym lepiej.

- Czy wiesz, gdzie go znajdę? - spytał Rohan.

- Zdaje mi się, że poszedł z młodym Wrothamem.

- Dokąd?

- Co on takiego zrobił? - Charles uważnie przyjrzał się hrabiemu i się zdumiał. - Masz przy sobie szpadę?! Nie możesz stanąć z nim do walki. On nie jest dla ciebie przeciwnikiem. To byłoby morderstwo.

- I dobrze - burknął Rohan. - Gdzie on jest?

Charles skinął głową.

- Chodź ze mną.

Moment na ucieczkę był równie dobry jak każdy inny. Elinor podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Nie była pewna, czy decyzja o ucieczce jest rozsądna, skoro Rohan minionej nocy nawet jej nie dotknął. Może więc rano podstawiono by dla niej powóz i wywieziono ją z tego domu tak samo, jak przed laty z domu sir Christophera. Wolą jednak na to nie czekać. Na razie w rezydencji panował względny spokój i powinna z tego skorzystać. Miała dość pieniędzy, by dostać się do pałacu, gdzie trzymano Lydię. Zabierze siostrę i uciekną razem do Anglii, dokąd hrabia z pewnością za nimi nie podąży.

Włosy spłótła w warkocz i związała go kawałkiem tasiemki, bo mimo wszelkich luksusów, jakie jej tutaj zapewniono, szpilek do włosów nie dostała. Włożyła niepozorną szarą suknię i dostarczone jej po kryjomu trzewiki oraz narzutkę. Schowała sakiewkę do kieszeni i była gotowa do wyjścia, gdy jej uwagę przykuła umowa wciąż leżąca na stoliku. Chciała ją podrzeć, ale coś podkusiło ją, by postąpić inaczej. Wzięła pióro, zanurzyła je w kałamarzu i na dole strony napisała „Przepraszam”. Dopiero wtedy wyszła na pusty korytarz i ruszyła do schodów dla służby.

Trwało to niedługo. Naturalnie nie mogło być inaczej. Rohan świetnie władał białą bronią, a w dodatku chciał pomścić Elinor. Natomiast sir Christopherowi przeszkadzała otyłość, nie zrozumiał też w porę, że patrzy śmierci w oczy. Długo sądził, że to tylko jedna z igraszek, jakich podczas igrzysk nie brakowało.

Szpada przebiła mu serce i sir Christopher zwałił się na podłogę. Rohan wyciągnął broń z martwego ciała, odrzucił ją na bok i wyszedł na pokryty śniegiem taras. Musiał zapanować nad silnym gniewem, który wciąż nim targał. Sir Christopherowi udało się kilka razy skaleczyć przeciwnika i teraz krew plamiła Rohanowi rękaw i przód śnieżno-białej koszuli. Kolejne ubranie do wyrzucenia, pomyślał z niesmakiem.

Charles stanął przy nim, ale milczał.

- Trup? - spytał w końcu Rohan.

- Bez wątplenia. Sekundanci są usatysfakcjonowani. Pojedynek odbył się uczciwie.

Rohan roześmiał się chrapliwie.

- Co w tym uczciwego? Równie dobrze mógłbym walczyć z dzieckiem.

- Trzeba było pozwolić, abym cię zastąpił - zauważył Charles. - Ja nie mam skrupułów, kiedy trzeba zabić kogoś, kto musi zginąć.

- Skąd wiesz, że ja je mam? - spytał Rohan.

- Za dobrze cię znam, Francis. Odkąd się przyjaźnimy, nienawidzisz śmierci i przemocy. Czy w ogóle zabiłeś kiedyś choćby jednego człowieka?

- Nie mam zwyczaju się pojedynkować.

- A wcześniej?

Rohan odwrócił głowę i spojrzał ku wysokiej ścianie stajni.

- Wcześniej było Culloden, Charlesie - powiedział pełnym cierpienia głosem. - Widziałem, jak mordowano mojego ojca i brata, a także porządnych ludzi dźganych pikami, mimo że się poddali. Śmierć zapanowała dokoła. Od tej pory wiem, do czego są zdolni ludzie, i przysiągłem sobie, że więcej nie odbiorę człowiekowi życia, nawet bardzo złemu.

- Czyli zmieniłeś zdanie. Dlaczego nie pozwoliłeś mi, abym cię wyręczył?

- To nie twoja walka. Chcę, żebyś wziął...

- Kto to? - przerwał mu Charles.

- Kto gdzie?

- Skrada się wzdłuż muru stajni. Nie wiem, czy to złodziej, czy jakaś oburzona małżonka, ale wydaje mi się...

Rohan od razu poznał sposób poruszania się Elinor. On przed chwilą zabił dla niej człowieka, zdradził zasady, w które wierzył i których przestrzegał, a ona tymczasem chciała potajemnie odejść. Ogarnęła go wściekłość.

- Wróć do środka - poradził Charles. - Poszukaj Juliette albo może Marianne. Ja sprowadzę pannę Harriman z powrotem.

- Odejdź, przyjacielu - wycedził hrabia. - To moja sprawa.

Charles chwycił go za ramię.

- Nie mogę pozwolić, żebyś ją skrzywdził.

Rohan wymierzył mu policzek.

- Jestem do twojej dyspozycji, kiedy tylko sobie życzysz.

- Natychmiast.

Rohan uśmiechnął się złowieszczo.

- Nie, dziś wieczorem będę zajęty.

Ruszył w stronę stajni. Charles podjął ostatnią próbę, jeszcze raz próbował chwycić Francisa za ramię.

- Nie wolno ci jej skrzywdzić - powtórzył z desperacją.

Rohan przystanął i spojrzał badawczo na przyjaciela, który tak mało go znał.

- Nie przyszłoby mi to do głowy. Chcę tylko dokończyć to, co zacząłem.

Elinor starała się przesuwać blisko ściany stajni. Nie sądziła, by ktokolwiek mógł ją zauważyć. Okna na piętrach domu jarzyły się światłem, ale na parterze było na ogół ciemno. Goście zajmowali się swoimi sprawami, nikt nie powinien zwracać uwagi na to, co dzieje się na zewnątrz. Rezydencja Maison de Giverney była olbrzymią budowlą, mimo że stała w centrum Paryża. Elinor ciasniej otuliła się narzutką i powoli parła naprzód. Na końcu jej drogi znajdowała się wąska furtka. Nie była tego pewna, ale zdawało jej się, że w ciemności widzi zarysy podstawionego powozu. Wyglądało na to, że tajemniczy zbawca nie ograniczył się do zaopatrzenia jej w środki pozwalające na ucieczkę.

Wyszła z cienia stajni, by pokonać ostatni odcinek, gdy nagle usłyszała znajomy głos, który przyprawił ją o ciarki.

- Czy pozwoliłem pani odejść?

Obróciła się w tamtą stronę, choć powinna raczej pognać co sił w nogach do furtki. Rohan był jeszcze daleko, ale jego głos zabrzmiał złowieszczo, tak że zamarła. Kilka sekund zwłoki sprawiło, że gdy zerwała się do biegu, hrabia złapał ją po paru krokach.

- Złamała pani umowę - powiedział zimno. - Nienawidzę oszustów, panno Harri-

- Nie jestem oszustką - odparła.

- Nie? Zgodziła się pani zostać i podpisała umowę. A teraz ucieka pani w środku nocy. A może to nie jest ucieczka. Może umówiła się pani na schadzki z kochankiem, by potem wrócić do pokoju i dalej udawać dumną pódziewicę sponiewieraną przez okrutne życie.

Głos Rohana był przesiąknięty pogardą. Słyszała u niego wcześniej ten ton, gdy używał go wobec służby, i pamiętała, jaką budził reakcję.

- Niech pan mnie wypuści - powiedziała, chociaż wiedziała, że to na nic się zda.

- Nic z tego - odparł i bezceremonialnie pociągnął Elinor w stronę domu.

Potknęła się i upadła w śnieg, ale hrabia nawet nie przystanął, tylko mocno szarpnął i dalej włókł ją za sobą. Przy drzwiach czekali na nich lokaje. Spodziewała się, że jeden z nich dostanie polecenie odprowadzenia jej do pokoju, nic takiego jednak się nie stało. Wciąż była prowadzona w ten sam sposób, a gdzieniegdzie rozlegały się okrzyki gości dopingujących Rohana. Pierwszy raz widziała go rozwścieczonego. Bała się go.

Na podeście ponownie próbowała przemówić mu do rozsądku, ale przeraził ją widok jego zimnej, beznamiętnej twarzy.

- Niech pani nie stara się usprawiedliwiać, panno Harriman - rzekł Rohan. - Jeszcze nie zdarzyło mi się uderzyć kobiety, chyba że podczas igraszek, kiedy sobie tego życzyła, ale jestem gotów spróbować czegoś nowego. Niech pani milczy.

Znów pociągnął ją za sobą korytarzami, które stawały się coraz ciemniejsze i węższe. Byli teraz w głębi domu, gdzie nie docierali uczestnicy igrzysk. Nie było też światła z wyjątkiem kandelabru, który Rohan wziął wcześniej od lokaja. Dopiero gdy otworzył kopnięciem jakieś drzwi, uświadomiła sobie, jak poważna jest sytuacja. Wcześniej nie objawiał w jej obecności żadnych uczuć.

Wciągnął ją do środka, nogą zamknął za nimi drzwi i w końcu ją puścił. Zrobił to tak gwałtownie, że upadła na dywan. Nie pomógł jej wstać. Przez cały czas spoglądał na nią spod przymkniętych powiek.

- Proszę łaskawie zdjąć z siebie ubranie, panno Harriman - polecił.

Wreszcie zobaczyła go wyraźnie. Miał na sobie długą kamizelkę, włożoną na koszulę z falbaniastymi rękawami. Rękaw koszuli był rozdarty, a jemu z ramienia sączyła się krew. Również rozcięty przód ubrania był zakrwawiony. Co mu się stało?

Rohan stanął nad nią i zdarł z niej narzutkę.

- Kto dostarczył pani środki do ucieczki? - spytał fałszywie spokojnym głosem. - Nie wygląda to jak okrycie, które dostała pani ode mnie po pożarze. Na ogół mam lepszy gust. - Kiedy cisnął narzutkę na ziemię, z kieszeni wypadła sakiewka i monety rozsypały się po podłodze. Spojrzał na nią z pogardą. - To jest pani cena, panno Harriman? Wydaje mi się niewielka. Sam zapłaciłbym znacznie więcej za pani przychyłność, mimo jej względnego braku doświadczenia. Zakładam, że nie okłamywała mnie pani przez cały czas swojego pobytu w tym domu. - Grymas, który przemknął mu przez twarz, przeraził

Elinor. - I lepiej niech się tak okaże. Nie odpowiadam za następstwa, gdyby było inaczej. Kto dał pani narzutkę i pieniądze?

Zacząła się z wolna podnosić z podłogi, nie mogła przecież leżeć rozciągnięta u jego stóp niczym niewolnica.

- Nie wiem - powiedziała.

- Czy pozwoliłem pani odejść?

- Nie potrzebuję pańskiego pozwolenia - odparła, nie zważając na strach.

- Owszem, potrzebuje pani. - Znowu pchnął ją na podłogę. - Radzę zostać w tym miejscu, dopóki nie polecę inaczej. Nie rękę za siebie, więc nie mogę pani dotknąć. I sama będzie pani sobie winna, jeśli wzburzy mnie jeszcze bardziej.

- A co ja takiego zrobiłam?! - krzyknęła - Powinien pan wiedzieć, że będę próbowała uciec, jeśli nadarzy się okazja. Nie wiem, kto mi pomógł, ale musiałabym nie mieć rozumu, gdybym z tego nie skorzystała.

Obszedł ją dookoła, a potem lewą ręką zaczął rozpinać srebrne guziki kamizelki.

- Czy nie poleciłem się pani rozebrać?

Patrzyła na ruch jego ręki i nie była pewna, czy to nie jest po prostu zły sen.

- Powiedział mi pan, że nie gwałci kobiet. Czyżby brakowało mu nowych doznań do tego stopnia, że postanowił zdobyć również takie przykre doświadczenie?

- Przykre dla pani, panno Harriman, ale nie dla mnie - odparł gładko i zrzucił kamizelkę. Krew na jego piersi była ciemna, zranienie się zasklepiło. Natomiast ramię wciąż krwawiło. - Mimo to nie zgwałcę pani.

Wlepiała w niego wzrok.

- Dlaczego miałabym panu wierzyć?

- Bo w odróżnieniu od pani, panno Harriman, w takich sprawach dotrzymuję słowa.

Usiadł naprzeciwko, nie spuszczać jej z oczu.

- Pani odzienie, panno Harriman - przypomniał.

Elinor miała na sobie szarą suknię pod szyję, sznurowaną z tyłu.

- Zakładam, że zostawiając mnie w bieliźnie, chce mi pan uniemożliwić następną próbę ucieczki.

- Pani założenia mnie nie interesują.

- A co pana interesuje?

- Pani posłuszeństwo.

Roześmiała się nerwowo.

- To nigdy nie była moja zaleta. Obawiam się, że nie jestem w stanie sama się rozebrać. Potrzebuję służącej.

- Dysponuję dużym doświadczeniem w pozabawianiu dam najróżniejszych strojów. Proszę się do mnie zbliżyć, to rozsznuruję pani suknię.

Elinor chciała, żeby ten koszmar wreszcie się skończył, więc skinęła głową i zaczęła wstawać.

- Na kolanach, panno Harriman - rzekł Rohan.

Właściwie nie miała wyboru. Nie chciała go jeszcze bardziej rozwścieczyć, więc zgodnie z życzeniem przysunęła się do niego na kolanach i odwróciła tak, by miał dostęp do pleców sukni.

Chwytał ją za warkocz, ujrzała błysk noża. Krzyknęła głośno i przycisnęła dłonie do głowy. Okazało się jednak, że włosy po prostu swobodnie opadły na ramiona. Nie umiała powstrzymać szlochu, choć była wściekła, że ulega takiej słabości. Rohan przełożył jej włosy przez ramię i ujął za końce troków przy sukni. Poradził sobie z nimi bez większego trudu, zsunął jej suknię z ramion i zajął się gorsetem.

- Pani twierdzi, że żaden mężczyzna nie będzie jej pragnął - powiedział cicho. - Udaje pani, że jest ponad takie sprawy, nie dopuszcza do siebie myśli o tym, kim naprawdę jest i czego pragnie.

- A czego pragnę, milordzie?

Gorset opadł i została w cienkiej, bawełnianej koszulce, pończochach na podwiązkach i paskudnych trzewikach.

- Mnie, panno Harriman. Pragnie mnie pani od naszego pierwszego spotkania. Po prostu brakuje pani uczciwości, by to przyznać. Proszę zdjąć buty.

Usiadła i zaczęła je ściągać. Ktokolwiek był tajemniczym pomocnikiem, nie znał jej dobrze, bo trzewiki były za duże. Te, które dostała od Rohana, pasowały jak ulał. Uporawszy się ze swoim zadaniem, zerknęła na niego. Rozpinał koszulę. Zrozumiała, że

nic go nie powstrzyma. Zresztą, i ona go pragnęła, ogarniały ją zupełnie nowe dla niej doznania. Wstała, ale chwycił ją za rękę i zmusił, by ponownie usiadła.

- Dokąd pani idzie?

- Chciałam położyć się na łóżku - wyjaśniła. - Proszę się nie martwić, nie będę się bronić. Obiecuję się nie ruszać i nie przeszkadzać w czasie, kiedy pan będzie to robił. Byłoby też dobrze, gdybym zażyła laudanum. U sir Christophera miałam szczęście, bo służąca dawała mi opium wieczorem, przed jego odwiedzinami. W każdym razie postaram się leżeć spokojnie i cicho. - Zdołała nawet lekko się uśmiechnąć.

Przerwał rozpinanie koszuli, spojrzał na nią z niedowierzaniem, a potem zamknął oczy.

- Och, kwiatuszku - powiedział i pogłaskał ją po twarzy.

- Przepraszam. - Nie potrafiła zapanować nad łzami. - Gdyby chodziło tylko o mnie, na pewno nie próbowałabym uciec, ale jestem odpowiedzialna za Lydię. Muszę się nią opiekować, a nie mam pewności... Mogę ryzykować sama, ale jej nie mogę narażać. Proszę mnie zrozumieć...

- Proszę nic nie mówić. Skrzywdziłem panią.

Wstał i jej również pomógł się podnieść, a potem się odsunął.

- Niech pani się okryje, żeby nie zmarznąć. Zaraz przyślę służącą.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Jak to? Dlaczego?

- Jeszcze pani pyta? Właśnie chciałem wyładować na niej swoją złość. Wiedziałem, że panią ranię, i nic mnie to nie obchodziło. Na szczęście odzyskałem rozum. Na łóżku leżą pledy. Proszę się nimi okryć, póki ktoś tu nie przyjdzie.

- Nie.

Był już w pół drogi do drzwi, ale przystanął.

- Nie? - powtórzył.

- Nie, chyba że położy się pan obok mnie.

- Dziecko, nie jestem w nastroju do pocieszania.

- Nie jestem dzieckiem i nie potrzebuję pocieszenia. - Chciała podejść do niego bliżej, ale musiałaby podeptać suknię. - Jeśli muszę to robić znowu... chciałabym... z panem.

Nagle zobaczyła dawnego Rohana. Z trudem powstrzymywał wybuch śmiechu.

- To dla mnie zaszczytne wyróżnienie, ale myślę, że lepiej będzie, jeśli zrezygnuję z tej honorowej funkcji. Proszę się położyć i przykryć. - Ruszył do drzwi, zostawiając na wpół rozebraną Elinor. - Niestety, służba nie ma do tego korytarza wstępu, więc minie trochę czasu, zanim ktoś przyjdzie pani pomóc. Zostawię świece. - Mówiąc to, opuścił pokój.

Przez chwilę stała całkiem nieruchomo. Potem kopnięciem usunęła z drogi leżące na ziemi odzienie i usiadła na łóżku. Policzyła do dziesięciu, po czym zaczęła krzyczeć ile sił w płucach.

TLR

Rozdział dwudziesty drugi

Minęła zaledwie chwila i Rohan wpadł do pokoju z taką miną, jakby był gotów stawić czoło najdzikszym demonom.

- Co się stało? Nic pani nie jest?

Elinor odchrząknęła, bo krzyk kosztował ją wiele sił.

- Szczury - powiedziała.

- Szczury?

- Widziałam szczura, tam w kącie. Był wielkości jeża i łypał na mnie wstrętnymi oczkami. Gdybym nie zaczęła krzyczeć, na pewno...

Rohan powoli zbliżał się do łóżka.

- A pani boi się szczurów - powiedział beznamiętnie.

- Najbardziej na świecie. Nie ma nic gorszego. W tym pokoju jest ich pełno. Są wszędzie. Musi pan mnie ratować!

- Czy pani wie, co mówi, kwiatuszku?

- Tak, mój kochany. Chodź tu, pokaż mi, jaki jesteś zepsuty. - Z tymi słowami położyła się nieruchomo.

Czuła, że kładzie się obok niej, ale gdy dotknął jej twarzy, drgnęła zaskoczona. To nie należało do rzeczy. Jeszcze bardziej zdziwiło ją, jak czule Rohan na nią spogląda.

- Naprawdę jesteś dziewicą, co się zowie - szepnął po chwili.

- Nie jestem - odparła. - Robiłam to wiele razy.

- Muszę wyprowadzić cię z błędu. Pozwól, że ci zademonstruję.

Z tymi słowami pochylił się ku jej ustom. Najpierw ledwie je muskał, zachęcał do pocałunku, a gdy Elinor zaczęła mu odpowiadać, pokazał jej więcej. Takiego pocałunku rzeczywiście dotąd nie znała, ale bardzo jej się spodobał. Zamknęła oczy i chciwie chłonęła nowe doznania.

W końcu Rohan odsunął się od niej wyraźnie usztywniony.

- Nie mogę tego zrobić, kwiatuszku... Nie tak, jak tego potrzebujesz.

Chciał podnieść się z łóżka, ale objęła go i przyciągnęła do siebie.

- Tego potrzebuję - powiedziała.

Zrobiła coś nie do pomyślenia i włożyła rękę między ich ciała, by sprawdzić, jak bardzo Rohan jej pożąda. Zaczęła go głaskać i wkrótce prowadził jej dłoń, by pokazać, co sprawia mu najwięcej przyjemności. Oczy miał zamknięte i wyczuwała jego rosnące napięcie. W pewnej chwili zrozumiała jednak, że Rohan zamierza na tym poprzestać. Na to nie mogła pozwolić. Chciała, by stał się jej częścią, aby podzielił się z nią tą pierwotną, żywiołową mocą. Wreszcie zrozumiała, dlaczego kobiety tego pragną. Cofnęła więc rękę.

- Nie przerywaj - szepnął.

- Chcę cię poczuć w sobie.

Więcej zaproszeń nie potrzebował. Przykrył ją swoim ciałem i rozchylił jej uda. Spodziewała się bólu, zdziwiła się więc bardzo, gdy połączył się z nią bez najmniejszego trudu. Wrażenie było piorunujące i obudziło w niej zdumiewające pragnienie. W poszukiwaniu nowych doznań poruszyła biodrami. Krzyknęła, choć sama nie rozumiała dlaczego.

- Za późno - szepnął Rohan. - Nie powinienem...

- Dokończ - szepnęła mu do ucha.

Rozkoszny dreszcz przebiegł przez ciało Elinor.

Rohan zawładnął jej ustami w głębokim, zaborczym pocałunku. Nagle mroczna siła wybuchła orgią kolorów, a chwilę później dołączył do niej Rohan. Ścisła go tak mocno, jakby jej mięśnie nigdy nie miały się rozkurczyć. A jednak chwilę potem bezsilnie opadła na materac, a on znów przykrył ją całym sobą. Powitała to z radością, Rohan wciąż był w jej wnętrzu.

- Kochanie, płaczesz. Skrzywdziłem cię - szepnął, wysuwając się z niej.

Pokręciła głową, ale żadne słowa nie chciały jej przejść przez gardło, więc po prostu go pocałowała.

- Musisz teraz odpocząć, kwiatuszku - szepnął jej do ucha. - Obiecuję, że następnym razem będzie ci lepiej.

Siłą woli uniosła ciężkie powieki.

- Zrobimy to jeszcze raz? Dzisiaj?

- Moglibyśmy nawet zaraz, ale musisz odetchnąć. W każdym razie jeszcze dzisiaj zrobimy to na pewno. I jutro też. Rano i w południe, i wczesnym popołudniem, i w porze podwieczorku, i...

- Nie będę mogła chodzić - zauważyła, nie wiedząc, czy bardziej ją to niepokoi, czy zachwyca.

- To będę cię nosił. Teraz śpij.

Oczy same jej się zamknęły.

Zbudziła się w ciemności, wiele godzin później i zobaczyła, że Rohan pochyla się nad nią ze skupionym wyrazem twarzy.

- Za długo spałaś - szepnął. - Czekałem na ciebie.

- Mogłeś mnie zbudzić.

- Wierz mi, że próbowałem - powiedział z żalem. - Mamy dużo pracy, skarbie. Za bardzo się spieszyłem, jest jeszcze tyle części twojego pięknego ciała, których nie miałem okazji docenić.

Pokazał jej, jaką magię mogą czynić usta. Czują je na twarzy, szyi, piersiach. Ich pieszczoty budziły je ciało z uspienia, wywoływały wszędzie rozkoszne mrowienie.

- Zamierzam poznać cię całą, kwiatuszku - powiedział cicho. - Chcę wiedzieć, jak smakujesz i chcę pieścić cię tak, jak jeszcze nikt tego nie robił.

Gdy dłonie Rohana zaczęły pomagać ustom, ciało Elinor przebiegły cudowne dreszcze. Wtuliła twarz w jego ramię i poddała się ich porywającej sile. Rohan odczekał chwilę i dopiero wtedy się z nią połączył. Tym razem nie spieszył się, raz po raz wywoływał u niej nowe fale przyjemności, by w drodze na szczyt nagle cofnąć się i jeszcze odwlec moment spełnienia. Nic dziwnego, że gdy w końcu tam dotarli, Elinor cała była rozkoszą. Zaraz potem zatraciła się w sugestywnym, zmysłowym śnie.

Gdy się ocknęła, była sama. Wydawało jej się, że jest dość wcześnie, ale ktoś zdążył napalić w kominku. Na komódce stał dzbanek wody. Rohana nie było. Usiadła w pościeli. Miała na sobie tylko pończochy i pas z podwiązkami, poza tym była naga.

Była po uszy zakochana w libertynie i hulace. Już nic nie mogło położyć kresu tej miłości. Odkryła, dlaczego Rohan jest tak pożądany. Ostatniej nocy doznała dzięki nie-

mu niewyobrażalnej rozkoszy. Czy nadal będzie jej pragnął? A może już dostał to, czego chciał, i na tym koniec, tak jak było z dziesiątkami innych jego romansów?

Wstała i skorzystała z ręcznika i wody. Gdy skończyła się myć, włożyła świeżą koszulkę, którą przyniosła jej służąca. Było również przygotowane dla niej ubranie. Suknię wybrano z rozmysłem, bo można ją było włożyć bez pomocy, aczkolwiek Elinor i tak miała z tym pewne kłopoty, okazało się bowiem, że jest trochę obolała.

Na podłodze stała para solidnych trzewików. Ze zgrozą stwierdziła, że na krześle wisi narzutka, którą dostała od Rohana. Obok znajdowała się sakiewka z pozbieranymi pieniędzmi. Wpatrywała się długo w te przedmioty i nie mogła zrozumieć ich znaczenia. Czy Rohan chciał, aby wyjechała? Na to wyglądało. Czy jednak oznaczało to również, że i Lydia jest wolna?

Niedoczekanie jego! Jeśli sądził, że ona wyniesie się cichaczem jak zhańbiona panna, to był w grubym błędzie. Chwyła narzutkę i sakiewkę i wyszła na korytarz.

Czekał na nią lokaj, ale nie zaprzyjaźniony z nią Antoine.

- Dzień dobry, *mademoiselle*. Czy potrzebuje pani pomocy?

- Muszę znaleźć drogę do swoich pokoi.

- Bardzo mi przykro, *mademoiselle*, ale te pokoje są teraz zajęte przez gości jego lordowskiej mości.

Nie widziała tego, ale była przekonana, że jej twarz pobiadła.

- Wobec tego chcę rozmawiać z panem hrabią. Czy możesz mnie do niego zaprowadzić?

- Naturalnie, *mademoiselle*. Nie wiem, gdzie można znaleźć jego lordowską mość w tej chwili, ale zaprowadzę panią do biblioteki i przekażę, że pani chciałaby porozmawiać. Czy można wiedzieć o czym?

- Nie można - odparła, mocno zaciskając dłoń na sakiewce, i ruszyła za lokajem długim, ciemnym korytarzem.

Rohan siedział przy biurku i przeglądał papiery, gdy pojawił się wzburzony Charles Reading.

- Co jej zrobiłeś?

Rohan podniósł wzrok, pozornie spokojny.

- A jak myślisz? Dokładnie to, co zapowiedziałem. - Sięgnął po kieliszek burgunda. - Chcesz się napić?

- Nie. Chcę wiedzieć, co teraz zamierzasz.

- Mój drogi Charlesie, czyżbyś się zakochał? Zdawało mi się, że pragniesz jej głuputkiej siostry.

- Daj spokój, Francis.

- Prawdę mówiąc, jestem dużo bardziej zainteresowany tym, co stało się wczoraj po moim... planowym odwrocie. Czy zmarły sir Christopher cuchnie w jednym z moich pokoi?

Charles pokręcił głową.

- Skądże znowu. Przyjechał po niego twój kuzyn. Dopilnuje, żeby tego człowieka przyzwoicie pogrzebano.

- O ile znam Etienne'a, prawdopodobnie najpierw pokroi go na kawałki i dokładnie obejrzy wszystkie jego organy. Nie było żadnych niefortunnych następstw?

- Tylko takie, że twoi goście są mocno rozgorączkowani. Co zamierzasz z nią zrobić, Francis? Jest szlachetnie urodzona. Nie możesz traktować jej tak samo, jak swoje dziwki.

- Mój drogi Charlesie, właśnie to niedawno zrobiłem i zapewniam cię, że bardzo jej się podobało. - Przesłał przyjacielowi uśmiech. - Widzę dwie możliwości. Panna Harriman może iść własną drogą zaopatrzona w odpowiednią sumę, pozwalającą dostatecznie długo się utrzymać. Bądź co bądź, jedna burzliwa noc nie przekłada się na wsparcie przez całe życie. Nie wykluczam, nawiasem mówiąc, że wystarczy ją wysłać do Anglii.

- A druga możliwość?

- Zastanawiałem się, czy nie przedstawić jej komuś z bardziej umiarkowanych członków Zastępów Niebieskich. Byłbym bardzo szczęśliwy, widząc, jak chodzi po domu w skąpym stroju i cieszy się towarzystwem jednego z naszych młodych byczków.

- Nie wierzę ci. Kłamiesz.

- Mój drogi Charlesie, dlaczego miałbym kłamać? Panna Harriman absolutnie nic dla mnie nie znaczy. Ponieważ zaś jestem człowiekiem miłosiernym, pozwolę, żeby bezpiecznie żyła gdzie indziej, skoro nie jest zainteresowana naszymi igrzyskami.

- Wczoraj wieczorem mówiłeś o niej „Elinor”.
- Dzisiaj jest „panną Harriman”.
- A jej siostra? - spytał z ledwo ukrywaną złością Charles.

- Chyba jednak zainteresuję się jej wdziękami. Panna Harriman wydaje bardzo atrakcyjne odgłosy, kiedy doznaje rozkoszy, więc ciekawi mnie, czy panna Lydia zachowuje się tak samo.

Ledwie zdążył dokończyć zdanie, gdy Charles rzucił się na niego i z hukiem upadli na podłogę. Tego właśnie potrzebował Rohan. Ujścia dla silnych emocji. Walka, punktowana stęknięciami i przekleństwami, była krótka i zacięta. W końcu padli obok siebie bezsilni i posiniaczeni. Obaj z trudem łapali oddech.

- To nie była uczciwa walka - wysapał Rohan. - Jeszcze nie wydobrzałem po pojedynku.

- Ty draniu - odparł, dysząc, Reading. - Spróbuj tylko tknąć Lydię, to cię zabiję.

- Może, drogi Charlesie, nie miałbym nic przeciwko temu. - Z jękiem usiadł. - Jest tylko jeden sposób, żeby zapewnić jej ochronę przede mną. Ożeń się z tym dzieckiem. Jeśli martwisz się o pieniądze, powiem ci, że to drobiazg w obliczu prawdziwej miłości. Spodziewam się, że znajdziesz sposób, by jakoś wszystko załatwić.

Charles popatrzył ze zdumieniem na przyjaciela.

- Nigdy w życiu nie słyszałem, żebyś popierał małżeństwo.

- Słyszałeś, słyszałeś! Twierdziłem, że Etienne powinien poślubić pannę Harriman. On jednak wolałby pannę Lydię, a skoro tak, to ja ją biorę. Bo rozumiem, że ty nie jesteś zainteresowany?

Charles zerwał się na równe nogi.

- Nie pozwolę ci jej tknąć!

- Już to powiedziałeś. Teraz czas na czyny.

Charles wypadł na korytarz, trzasnąwszy drzwiami. Rohan miał nadzieję, że przyjaciel nie zdąży zorientować się w manipulacji, zanim dotrze do pałacu. Był przekonany, że wystarczy, by spojrzeć na Lydię, a pozbędzie się reszty skrupułów.

Miłość jest męcząca, pomyślał, sięgając po wino. Francuzi mówili o *amour fou* - szalonej, namiętnej miłości, która doprowadza człowieka do obłądzenia. Cieszył się, że udało

mu się tego stanu uniknąć, choć wiedział, że będzie piekielnie trudno wcisnąć Elinor pieniądze. Poza tym nie był pewien, czy ona zgodzi się wyjechać bez siostry, czy widok Lydii otoczonej czułą opieką okaże się wystarczającym argumentem.

Zdrowy rozsądek powinien jednak wrócić jej tak samo, jak jemu. Wolał, by Elinor myślała ze zgrozą o tym, co zaszło, niż żeby sobie wyobraziła, że jest w nim zakochana. Miłość była jedynym uczuciem, którego nie tolerował. Musiał trzymać się z dala od Elinor, bo *amour fou* była dla młodych i silnych. Słuchając dochodzących z oddali odgłosów igrzysk, zamknął oczy i zaklął pod nosem.

Elinor wycofała się spod drzwi. Wciąż była wstrząśnięta tym, co usłyszała. Rohan potraktował ją jak dziwkę. Dla niego to była jedna burzliwa noc. Ogarnęła ją taka wściekłość, że nawet nie chciało jej się płakać. Biada pierwszemu libertynowi, którego spotka na swej drodze. Odwróciła się i ze zdziwieniem stwierdziła, że patrzy prosto w oczy Marcusa Harrimana.

- Co pan tu robi, kuzynie? - spytała zaskoczona.

Był w wierzchnim okryciu i w milczeniu dał jej znak, by poszła za nim. Znaleźli miejsce w ustronnej alkowie.

- Droga Elinor, właśnie po panią przyjechałem. Wiem, że Rohan ma nad panią władzę, postanowiłem więc, że pomogę jej uciec. Wczoraj wieczorem przekupiłem służbę, żeby dostarczyła ubranie i pieniądze, powóz czekał, ale pani nie przyszła, kuzynko.

- To pan? - zdumiała się.

- Oczywiście, że ja. Jaki inny powód mógłbym mieć, aby przebywać w tak odrażającym miejscu? Czy wie pani, że wczoraj wieczorem jej gospodarz zamordował człowieka?

- Naprawdę?

- Pod pretekstem pojedynku dokonał egzekucji. Jego przeciwnik nie miał najmniejszych szans, po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu w nieodpowiednim czasie. Rozwścieczony Rohan chciał kogoś zabić, a ten nieszczęśnik akurat mu się nawinął.

Pomyślała ze smutkiem, że to ona stała się następną ofiarą Rohana.

- Będę wdzięczna, kuzynie, jeśli mnie pan stąd zabierze - powiedziała cicho.

- Tak właśnie uczynię. Chciałbym też powiedzieć pani o kilku sprawach, które mogą ją zainteresować, no i mam propozycję, chyba do przyjęcia.

- Muszę zobaczyć się z siostrą - odrzekła, starając się nie pokazać po sobie, jak bardzo jest zrozpaczona.

- Naturalnie. O tym też porozmawiamy. Chodźmy już.

Wzięła pelisę od Rohana z dopasowaną mufką. Wolałaby zwykłą narzutkę, ale tej przysłanej przez kuzyna już nie miała.

- Dobrze - powiedziała, kładąc mu rękę na ramieniu. - Chodźmy.

TLR

Rozdział dwudziesty trzeci

Lydia wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w okno. Starła się nie ronić łez. Płacz wywoływał złość Elinor, a poza tym nie było z tego pożytku, bo wszystko i tak zostawało po staremu. W dodatku pani Clarke i Janet były dla niej takie dobre...

O Elinor też nie miała powodu się martwić. Rohan nie mógł oderwać od niej oczu, a chociaż trudno było liczyć na pomyślny wynik tej znajomości, to Lydia cieszyła się, że siostra zazna choć trochę szczęścia. Hrabia był hulaką i w oczach towarzystwa zasługiwał jedynie na pogardę, lecz, według tych samych reguł, jej ojciec stanowił wzór wszelkich cnót. Jednak dobry człowiek nie wyrzekłby się swoich dzieci, nawet gdyby jego ojcostwo było wątpliwe. Rohan nie zrobiłby tego na pewno.

Lydia zgodziła się wyjechać z Paryża, ponieważ uważała, że Elinor jest w stanie stawić czoło hrabiemu. Przez te kilka tygodni jej siostra miała się dowiedzieć, co to znaczy być obiektem podziwu i zalotów, a nawet uwodzicielskich zabiegów. Wreszcie zrozumie, że nie musi się wstydzić swojej urody. Gdyby nawet oddała się hrabiemu, byłaby to jej własna decyzja.

Prawdę mówiąc, Lydia wcale nie miała pewności, czy siostra jest jeszcze dziewicą. W przeszłości nie było nikogo, kto obudziłby pragnienia siostry, ale pamiętała dziwne szepty i ponurą minę wyjeżdżającej Elinor. Bez wątplenia stało się wtedy coś złego.

Jeśli pomyliła się co do Rohana i on skrzywdzi Nell, dopilnuje, żeby za to zapłacił. Mimo że uważano go za złego człowieka, wierzyła w niego. Sama też mogła siostrze pomóc. Postanowienie już podjęła. Od dawna wiedziała, że choć to, co efektowne, jest miłe, rozsądek prowadzi raczej ku temu, co solidne, choćby było nużące.

Naturalnie, nie wszyscy nazwaliby Etienne'a de Giverney nudnym. Bez wątplenia był przystojny. Brakowało mu poczucia humoru i swobody, a jego rozumienie świata za bardzo skupiło się na wąskim wycinku, jakim jest medycyna. Takie było powierzchowne wrażenie Lydii. Etienne ukrywał coś, co ją odpychało, lecz nie zamierzała brać tego pod uwagę. Medyk widział w niej miłą ozdobę życia, więc z pewnością traktowałby ją dobrze, nie biłby jej, dałby jej dzieci i poczucie bezpieczeństwa. Co więcej, uwolniłby Elinor od odpowiedzialności za siostrę.

Lydia uznała, że nie ma wyboru. Charles Reading nie powiedział ani nie zrobił niczego, co wskazywałoby, że jest dla niego ważna. Widziała go zaledwie kilka razy, a jej instynkt, zwykle niezawodny, przy nim ją opuszczał. Nie potrafiła niczego wyczytać z chmurnego spojrzenia Charlesa ani z jego poprawnego zachowania.

Etienne przywiózł ją do pałacu, choć do ostatniej chwili miała nadzieję, że przy powozie pojawi się Charles Reading. Kuzyn Rohana składał jej codzienne wizyty i popijając herbatę, bez końca opowiadał o tym, jak hrabia pozbawił go praw należnych mu z racji urodzenia. Lydia cierpliwie wysłuchiwała tej litanii i wtrącała w odpowiednich momentach wyrazy zrozumienia, więc z czasem Etienne zaczął stroszyć piórka.

Poza tym pozycja żony lekarza przynosiła kobiecie chlubę. Medyk pomaga ludziom, a ona mogła wesprzeć Etienne'a, dodając mu otuchy, pielęgnując jego urażone uczucia. Pierwszy raz miała okazję przysłużyć się Elinor. Chciała jej odplacić, choćby tylko odrobinę, za lata ponoszonych przez nią wyrzeczeń.

W uchylonych drzwiach sypialni pojawiła się pani Clarke. Oznajmiła z uśmiechem:

- Gość czeka, moja miła.

Lydia niechętnie wstała, przekonana, że to Etienne. Przecież miało go dzisiaj nie być! Westchnęła, wygładziła piękną suknię podarowaną przez Rohana i ruszyła po schodach na dół.

Schody były dwubiegowe, ale jedna ich część została zamknięta. Pani Clarke wielokrotnie ostrzegała ją przed chodzeniem do tamtej części pałacu. Tym tylko pobudziła wyobraźnię Lydii, która próbowała zaglądać przez okna, kiedy chodziła na spacer. Zauważyła, że więcej tam było przepychu niż w jej przytulnej sypialni.

- Jest w bibliotece, panienko - powiedziała pani Clarke.

Lydia przystanęła, żeby powtórzyć sobie w myślach, po co spotyka się z medykiem, a potem pchnęła drzwi.

- Etienne, nie miałam pojęcia, że uda się panu dzisiaj przyjechać...

Urwała zmieszana. Spoglądał na nią Charles Reading.

- Przykro mi, ale nie jestem Etienne'em - powiedział ze smutnym uśmiechem.

- Po co pan przyjechał? - wybąkała. - Przepraszam, takie pytanie jest niewybaczalne. To dlatego, że pan mnie zaskoczył. Poproszę panią Clarke, żeby podała nam herbaty. Może chciałby pan coś zjeść? To nie kłopot, zapewniam, chętnie...

Tymczasem Charles stanął tuż przy niej i ujął jej rękę.

- Pst, Lydio.

Spojrzała na niego, przejęta nagłą obawą. Jeśli Charles Reading zwracał się do niej po imieniu, coś musiało się wydarzyć.

- Czy coś się stało z Elinor?

- Rohan pozwolił jej wyjechać, więc postanowiłem sprawdzić, czy pani chce wrócić do Paryża.

- Pozwolił?

Przecież Elinor pokochała Rohana, pomyślała Lydia. Jeśli pozwolił jej odejść, to nici ze szczęścia siostry.

- Tak.

Nagle uświadomiła sobie, że Reading wciąż trzyma ją za rękę, więc szybko ją cofnęła.

- Dokąd pojedziemy?

- On jest człowiekiem honoru...

- Hrabia? - Nagle straciła zaufanie do Rohana. Jak mógł tak po prostu zrezygnować z Elinor? - Pozwolę sobie wyrazić wątpliwość.

- Pojmuje honor swoiście. Na pewno jednak dopilnuje, żeby pani siostra miała dość pieniędzy na powrót do Anglii i urządzenie się tam.

- To wysoka cena za dziwkę na parę dni - powiedziała z goryczą Lydia.

- Nie powinna pani tak mówić o siostrze.

- To nie jej wina. Czy pan też czekał do niej w kolejce?

Spojrzał na nią gniewnie.

- Oczywiście, że nie.

- Rozumiem, igrzyska trwają. Na pewno miał pan do dyspozycji pół tuzina innych kobiet.

Zmierzył ją surowym spojrzeniem.

- Nie.

- Proszę mi nie wmawiać, że pan się nawrócił.

- Nie posuwałbym się do takiego twierdzenia. Zainteresowanie dziwkami straciłem dawno temu.

- Jak szlachetnie. - Nie wiedziała, że potrafi być tak oschła. - A co pan robi zamiast tego?

- Zakochuję się w zupełnie nieodpowiednich młodych damach.

Przez chwilę milczeli.

- W ilu? - odważyła się w końcu spytać.

- Co w ilu?

- W ilu nieodpowiednich młodych damach pan się zakochał?

- Tylko w jednej.

- I co zamierza pan z tym zrobić?

Odwrócił się tak, że widziała tylko zniekształconą część jego twarzy. Uczynił to celowo. Niemądry człowiek, nie wiedział, że go kocha.

- Zamierzam wyjść na głupka, pytając, czy mimo wszystko ona chciałaby poślubić mnie zamiast zamożnego medyka, dziedzica tytułu. Postąpiłaby niemądrze, a ja nie uważam, żeby była niemądra. Francis powiedział mi coś, co przekonało mnie, że nie mogę być taki głupi jak on i lekceważyć głosu serca.

Głęboko odetchnęła.

- Zatem ustaliliśmy, że ona byłaby głupia, gdyby pana przyjęła, a pan byłby głupi, gdyby jej nie wziął. Jak zamierza pan rozwiązać ten dylemat?

Zadała bardzo rzeczowe pytanie, ale trudno jej było nie okazać radości.

- Powinienem poprosić ją o rękę, aby mieć pewność, że zrobiłem wszystko co w mojej mocy. Ostrzegłbym ją jednak, że nie mam pieniędzy ani perspektyw, oszpecono mi twarz, a moim przyjacielem jest książę ciemności.

- Myśli pan, że to by ją powstrzymało?

- Nie potrafię na to pytanie odpowiedzieć. A pani, Lydio?

- Gdyby pana kochała, nic by jej nie powstrzymało. Ona kocha pana, Charlesie. Kocha pańską piękną twarz i zeszpeconą twarz. Kocha pańską przeszłość, teraźniejszość, a przede wszystkim przyszłość. Wystarczy poprosić.

- Niech mnie pani poślubi.

Lydia przeskoczyła przez niewysoką kanapę i rzuciła się w ramiona Charlesa. Złapał ją całkiem zręcznie i obsypał pocałunkami, jakich wcześniej nie doświadczyła. Gdy w końcu podniósł głowę i spojrzał na nią, w jego oczach ujrziała łzy.

- Skoro stałeś się mądry, to musisz mnie wiele nauczyć - powiedziała.

Znów ją pocałował i okazało się, że nauka wcale nie jest potrzebna.

Powóz kuzyna był wygodny i miał solidne sprężyny, chociaż daleko mu było do elegancji ekwipażu Rohana. Ruszyli natychmiast i wkrótce znaleźli się daleko od Maison de Giverney.

Elinor siedziała odrętwiała w kącie, otuliwszy się pelisą, i rozpamiętywała swoją porażkę. Milczała aż do chwili, gdy znaleźli się nad rzeką i przekonała się, że wcale nie zmierzają do pałacu, lecz w przeciwnym kierunku.

- Dokąd jedziemy? Obiecał pan zawieźć mnie do Lydii - powiedziała spłoszona. Jeśli kolejny mężczyzna ją zdradzi...

- Moja droga kuzynko - odparł gładko. - Pani droga siostra ma się dobrze, ale mieszka teraz w domu narzeczonego, Etienne'a de Giverney. Nie trzeba się martwić, mają przyzwoitkę, tak jak należy, i planują cichy ślub, gdy tylko będzie to możliwe. Siostra przesyła pani wyrazy miłości i prosi, aby się o nią nie martwić.

- Lydia ma poślubić Etienne'a? - zapytała z powątpiewaniem Elinor.

To rozwiązanie wydawało się naprawdę rozsądne, dobrze pamiętała jednak miłosne wyznanie siostry. Czyżby głos rozsądku zwyciężył? Jeśli tak, to nie powinna się niepokoić.

- Odwiedzał ją codziennie, ponawiał oświadczyzny, więc w końcu je przyjął. Dobrze, że zabrał ją spod dachu Rohana, nie sądzi pani, kuzynko?

- Tak - przyznała. - Czy mogę ją zobaczyć?

- Rozsądniej byłoby odłożyć to na później. Jeszcze nie spytała mnie pani, jaką mam propozycję.

Zmusiła się, by okazać zainteresowanie.

- Słucham, kuzynie.

Zapewne chciał jej zaproponować posadę damy do towarzystwa u starzejącej się ciotki albo guwernantki.

- Wiem, że zabrzmiało to zaskakująco, ale przemyślałem rzecz we wszystkich szczegółach i wygląda na to, że takie rozwiązanie likwiduje wszelkie problemy. Może nie tego pani oczekiwała, ale sądzę, że sprawy ułożą się jak najlepiej...

- Kuzynie - przerwała mu obcesowo Elinor, czując przyływ dawnej energii. - Co próbuje mi pan powiedzieć?

Ujął ją za rękę i mimo że powóz rzucał, przykląkł przed nią na jedno kolano. Patrzyła na to ze zgrozą.

- Proponuję pani małżeństwo. Powinniśmy dobrze się rozumieć, poza tym mam poczucie, że ten wspaniały spadek, który otrzymałem, należy się właściwie pani. Chcę więc podzielić się z nią majątkiem.

- Kuzynie... - zaczęła łagodnie, starając się ukryć irytację.

- Budzi pani mój głęboki szacunek... i wiele ciepłych uczuć. Sądzę, że z czasem się pokochamy, i bardzo proszę, aby zechciała pani przemyśleć moje oświadczenia.

Długo mu się przyglądała, przez cały czas zajęta utrzymywaniem się na siedzeniu w podskakującym powozie. Z niechęcią uznała, że małżeństwo rzeczywiście rozwiązuje wszystkie problemy. Rohan usłyszy, co się stało, i szybko o niej zapomni, a przecież właśnie tego sobie życzyła. Jeśli nie może go mieć, to niech ich znajomość skończy się raz na zawsze.

- Dobrze - powiedziała zwięźle. - Chcę jednak niezwłocznie wyjechać do Anglii.

Uśmiechnął się promiennie.

- Moja droga, nieduży statek już czeka na nas w Calais. Dopłyniemy do Anglii jutro.

A więc jutro znajdzie się z dala od tego kraju, w którym mieszkała przez ostatnie dziesięć lat. Rohan nie będzie mógł za nią pojechać, nawet jeśli nagle odzyska rozum i przypomni sobie chwile ich miłosnego uniesienia. Ryzykowałby własne życie.

- A co z moją siostrą?

- Zaprosimy ją razem z mężem, gdy tylko uporządkujemy nasze sprawy - obiecał. - Dzięki specjalnej licencji możemy się pobrać w Dorset niemal natychmiast po przyjeździe. Nie ma pani pojęcia, moja droga, jak bardzo mnie uszczęśliwiła. Obawiałem się, że moje nadzieje są płonne.

Przesiadł się tak, by być obok niej, więc natychmiast zajęła jego poprzednie miejsce. Jego bliskość ją krępowała.

- Muszę panu coś powiedzieć, kuzynie - oznajmiła. - Może to zmienić pańskie zamiary.

- Nie wiem, co by to mogło być, moja droga.

- Przez ostatnie lata znajdowałam się w trudnym położeniu.

- Wiem. Złości mnie, że ojciec pani nie pomógł, kiedy było to najbardziej potrzebne.

- Obawiam się, Marcusie, że nie jestem już panną.

Przyjął to bez mrugnięcia.

- Na pewno nie ze swojej winy, moja droga. Nie mnie rzucać oskarżenia. Ważne jest to, aby była pani skromna i dochowała mi wierności.

- Wobec tego jestem gotowa pana poślubić - oznajmiła po dłuższym milczeniu Elinor.

- Moja kochana kuzynko! - zawołał wyraźnie zadowolony.

Wcisnąwszy się ponownie w kąt powozu, tłumaczyła sobie, że to nic strasznego. Kuzyn będzie dostatecznie rozsądny, by nie próbować ponownie usiąść obok niej ani tym bardziej jej dotykać. Zachowa uprzejmość i cierpliwość, a ona była nawet gotowa leżeć pod nim i pozwalać mu egzekwować męzowskie prawo, bo wiedziała, że do tego sprowadzi się ta czynność. Bez pieszczot i pocałunków. Potrzebowała tylko kogoś, kto zaopatrzy ją w laudanum.

Spojrzała na przyszłego męża. Mimo nosa Harrimanów był całkiem przystojny. Włosy w trudnym do nazwania kolorze nieco mu już rzedły, całkiem inaczej niż szpakowata grzywa Rohana, a usta...

Nie wolno jej było zbyt wiele o tym myśleć.

Powinna raczej pamiętać okrutne, raniące serce słowa Francisa i przypominać je sobie, gdyby zachwiała się w swoim postanowieniu i gdyby naszła ją niechciana tęsknota.

Powóz toczył się przez mrok w kierunku Calais.

TLR

Rozdział dwudziesty czwarty

Maison de Giverney był ciemny i podejrzanie cichy. Charles Reading popatrzył z zaskoczeniem na olbrzymią rezydencję, która w piątym dniu igrzysk wydawała się wymarła. Najwidoczniej za długo czekał z powrotem, łudząc się, że pod opieką Rohana Elinor jest bezpieczna.

Musiał jednak zawieźć Lydię do najbliższego anglikańskiego księdza, aby natychmiast ją poślubić, zanim ktokolwiek im przeszkodzi. Kochał ją, więc wszelkie racjonalne argumenty straciły moc. Najbliższy ksiądz rezydował w odległości połowy dnia jazdy od Paryża, a noc poślubną spędzili w niewielkim wiejskim zajeździe. Przez następne dwa dni nie istnieli dla świata i dopiero gdy wrócili do jego paryskiego mieszkania przy Place des Vosges, oprzytomnieli dostatecznie, by pomyśleć o ratowaniu Elinor.

Charles z wielkim ociąganiem opuścił ukochaną i udał się do domu Rohana. Chciał zabrać Elinor, zanim Francis zdąży ją oddalić. Lepiej było nie przekonywać się, w jaki sposób Elinor Harriman zareaguje na wiadomość, że nie jest już potrzebna. Z tego, co widział wcześniej, nie należała do kobiet, które siedzą w kącie i płaczą, prędzej spodziewałby się po niej, że chwyci za wazon i rozbije go Rohanowi na głowie. Z drugiej strony, nie wyglądała też na taką, która podda się uwodzicielskiej sile hrabiego, a jednak jej uległa.

Ciemności w Maison de Giverney wskazywały na to, że dzieje się coś złego. Charlesowi nieco ulżyło, gdy zauważył ślady światła w oknach otaczających frontowe drzwi. Te zresztą natychmiast się przed nim otworzyły.

- Czy twój pan jest w domu, Willis? - spytał kamerdynera.

- Tak, ale wszyscy poza tym odeszli, w tym połowa służby - powiedział cicho. - Cieszę się, że pan przyjechał. On pana potrzebuje.

- Gdzie jest?

- W bibliotece. Pije albo leży pijany. Nikt nie waży się do niego zbliżyć. Cavalle'a omal nie postrzelił z pistoletu, więc trzeba uważać.

- Do mnie nie będzie strzelać.

W domu panował idealny porządek, nie było śladu po igrzyskach. Nawet trudno było sobie wyobrazić, jak się to udało. Rozbawionym Zastępom Niebieskim nie sposób było czegokolwiek nakazać, póki wszyscy nie opadli z sił. Drzwi do gabinetu były zamknięte i nawet nie stał przed nimi lokaj. Charles zapukał.

- Idź do diabła!

- To ja.

- Wynoś się, Charlesie.

Uznał to za całkiem przyjazne powitanie, więc pchnął drzwi. Nie poznał pokoju. Masywne biurko leżało przewrócone na bok, krzesła zostały porozbijane pogrzebaczem, pozdzierane ze ścian obrazy nosiły ślady noża. Rohan siedział na ławie pod oknem, której nawet on nie był w stanie zdemolować. W ręce trzymał butelkę brandy.

Jedno z przewróconych krzeseł miało jeszcze cztery nogi, więc Charles postawił je i nie przejmując się pozostałymi brakami, usiadł.

- Co zrobiłeś z Zastępami Niebieskimi? - spytał.

- Pozbyłem się wszystkich. Wypłoszyłem ich stąd. Już nie wrócą.

- Też tak sądzę. - zgodził się Charles. - A gdzie jest panna Harriman? Zakładam, że jej również kazałeś się zabierać.

- Nie miałem okazji. Sama odeszła.

Reading skupił spojrzenie na przyjacielu.

- Jak?

- Ktoś widział, że odjeżdża. Czy okazałeś się dość nierozsądny, by się zająć jej siostrą?

- Wiedziałeś, że to zrobię.

- To prawda. Wciąż jesteś młody i dostatecznie naiwny, żeby wierzyć w miłość.

- A ty nie, Francis? Wydaje mi się, że Elinor cię pokochała.

- Nie dałem ci pozwolenia na nazywanie jej po imieniu!

- Nie wiedziałem, że potrzebuję do tego twojego pozwolenia - odparł oschle Charles. - Gdzie ona jest?

- Diabli wiedzą.

- Ty wiesz na pewno. - Reading nie pozwolił wyprowadzić się z równowagi. - Skąd ta pewność, że wyjechała?

- Poszła do swoich pokojów. Umieściłem ją z dala od tych szumowin, ale kiedy do niej zajrzałem, już jej nie było.

- Może uznała, że właśnie tego od niej oczekujesz.

- Skąd by wiedziała, do diabła, czego od niej oczekuję? - spytał z pijacką logiką Rohan. - Sam nie mam o tym pojęcia.

Reading popatrzył na niego rozczarowany.

- Wszystko popsujesz, Francis. To do ciebie niepodobne, zwykle jesteś bardziej finazyjny. Podejrzewam więc, że musi być jakiś ukryty powód, zapewne z twojej strony.

- Błagam cię, Charlesie, oszczędź mi swojego sentymentalizmu.

Reading pokręcił głową.

- Muszę ją znaleźć, Francis, choćby dla dobra jej siostry. Sądziłem, że i ty poczuwasz się do odpowiedzialności...

- Nie - odparł krótko Rohan i pociągnął łyk z butelki. - Ona może sobie jechać, dokąd chce, i rżnąć się z każdym, kogo wybierze. Ja z nią skończyłem.

Charles wstał, wyjął Francisowi butelkę z ręki i cisnął ją do kominka. Hrabia zerwał się z furją, ale wyłącznie po to, by zawisnąć w objęciach przyjaciela. Stracił kontakt z rzeczywistością. Charles ostrożnie ułożył go na zaśmieconej podłodze i podszedł do drzwi. Willis już czekał z tacą, na której była kawa i coś do jedzenia. Miał też miskę z ciepłą wodą i przewieszoną przez ramię świeżą zmianę ubrania.

- Co się z nią stało, Willis?

- Nie wiadomo na pewno, panie Reading, ale widziano ją, jak opuszcza dom w towarzystwie dżentelmena.

Reading poważnie się zaniepokoił. Wśród gości nie było ani jednego, który nadałby się na towarzysza Elinor Harriman.

- Przypuszczam, że to był baron Tolliver - dodał służący. - Przyłączył się do nas niedawno i chyba ma jakieś koligacje z tą damą.

- Czyli panna Harriman jest bezpieczna?

- Prawdę mówiąc, nie jestem pewien. Pozwoliłem sobie trochę zbadać tę sytuację. Baron Tolliver wynajął powóz, aby dojechać do Calais. Wnioskuje stąd, że zaplanował powrót do Anglii, i to razem z panną Harriman.

Charles wiedział, że ta wiadomość powinna go uspokoić, bo Tolliver był tytułową głową rodziny. Jednak to właśnie o nim Rohan potajemnie zbierał informacje. Cóż, czas tajemnic dobiegł końca.

- Przyniesź dużo zimnej wody, Willis. Najwyższa pora, żeby hrabia posprzątał bałagan, którego narobił w swoim życiu.

- To prawda, sir.

Charles nie czekał na powrót Willisa. Otworzył drzwi na zaśnieżony taras i wrócił do nieprzytomnego Francisa. Był ciężki, więc Charles po prostu przeciągnął jego ciało po podłodze, wywłókł na taras i upuścił twarzą w śnieg. To rzeczywiście pomogło. Rohan zerwał się i znów chciał zaatakować przyjaciela.

- Dość tego - zagrzmiał Charles, chwytając go za ramię. - Wystarczy uzalania się nad sobą. Wytrzeźwiej i zacznij coś robić.

- Mógłbym zająć się twoją przyszłą - powiedział Rohan.

- Ona jest moją żoną, ty zepsuty draniu. Zresztą, obaj wiemy, że wcale nie jej pragniesz. Elinor wyjechała ze swoim nowo odnalezionym kuzynem i niewykluczone, że jest w Anglii. Musimy zdobyć pewność, że...

Rohan szpetnie zaklął i trochę oprzytomniał.

- Przywołaj mojego służącego - polecił - i każ podstawić powóz.

- Willis zaraz przyjdzie - odparł Charles. - Po co jednak powóz? Ona już jest w Anglii, a tam jechać nie możesz.

- Może jej grozić niebezpieczeństwo. Tollivera kazałem usunąć z mojego domu na samym początku igrzysk, ale widocznie znalazł sposób, żeby wkraść się z powrotem.

- Myślisz, że z tobą jest bardziej bezpieczna? Wątpię - odparł pogardliwie Charles.

- On wcale nie jest jej kuzynem ani nawet prawnym dziedzicem majątku Harrimanów. Aby uzyskać spadek, przedstawił fałszywy dokument dowodzący, że córka Harrimana zmarła we Francji.

- Jak się tego dowiedziałeś?

- Potrafię zdobyć każdą informację. Młody Marley, książę Mont Albe, ma dokładne informacje o tak zwanym Marcusie Harrimanie. To jest brat przyrodni Elinor z nieprawego łoża, nie sądzę więc, by miał wobec niej szlachetne zamiary.

- To by wiele wyjaśniało. Pożar u Harrimanów od początku budził nasze wątpliwości, a sam mówiłeś, że niedługo przed zamachem jechała twoim powozem panna Harriman. Marcus mógł bez trudu najać jednego ze zdemobilizowanych żołnierzy, którzy włóczą się po ulicach.

Rohan polewał się zimną wodą.

- Jeśli zabrał ją do Anglii, to ją zabije. A ja tu siedzę i od kilku dni piję na umór.

- Może martwimy się niepotrzebnie. Przecież majątek jest obciążony długiem hipotecznym. Co Marcus chciałby zyskać?

Rohan jęknął, przyciskając dłonie do skroni.

- Majątek wcale nie jest zadłużony. Ona wszystko dziedziczy, a jeśli wyjdzie za mąż, to jej syn otrzymuje tytuł. Myślę, że tak zwany baron Tolliver nie chce do tego dopuścić. - W nagłym przypływie energii podszedł do drzwi. - Willis, do diabła, co tak się guzdrzesz?!

- Już idę, milordzie - rozległ się w pobliżu głos służącego.

- Powiedz mi, co robić - zażądał Charles. - Musisz zostać we Francji, nie masz wyboru, ale ja mogę za nimi wyruszyć i zapobiec nieszczęściu.

- Nie wiadomo, czy nie jest za późno. Mógł wyrzucić ją za burtę - powiedział pośpiesznie Rohan. - Ale nie, nie zrobił tego. Czuję to w sercu.

Charles spojrzał na niego zdziwiony.

- Masz serce? To niemożliwe.

- Jeszcze nie rozstrzygnęliśmy pojedynku - przypomniał mu groźnie Rohan.

- Chcesz tracić czas na błahostki? Nie patrz na mnie wilkiem. Za długo żyłeś w cieniu księcia ciemności. Musisz rozstać się z tym tytułem. Przecież i tak zostaniesz wyrzucony z Zastępów Niebieskich.

- Bóg ocalił mnie przed ich męczącymi zabawami - powiedział znużonym tonem Rohan.

- Wielkie nieba, Rohan, najpierw okazało się, że masz serce, a teraz - że wierzysz w Boga. - Charles odwrócił się, by zamknąć drzwi na taras, przez które wpadały do pokoju mroźne podmuchy. - Jedno jest pewne. Nie pozwolę ci jechać do Anglii. Mam nadzieję, że nie jesteś takim głupcem, żeby to planować, ale...

Coś ciężkiego spadło mu na głowę. Bezwładnie osunął się na zaśnieżoną podłogę.

Rohan nie zastanawiał się nad ryzykiem, jakie podejmuje. Nie było na to czasu. Zrećźnie związał przyjaciela, żeby nie wszedł mu w paradę. Przydała mu się do tego umiejętność nabyta podczas igraszek z członkami Zastępów Niebieskich. To była konieczność. Charles nie puściłby go do Anglii, a on podjął nieodwołalną decyzję.

Należało zadbać o pieniądze. Musiał wziąć z banku dużo gotówki, bo w Anglii naturalnie nie miał kredytu. Willisa posłał do Calais, aby wynajął łódź odpowiednią do żeglugi po kanale La Manche. Wziął tylko najpotrzebniejsze rzeczy i niecałą godzinę po przybyciu Charlesa opuścił Maison de Giverney. Pogalopował w stronę wybrzeża.

Dotarł do Calais przed północą. Do odpływu brakowało trzech godzin. Długo przemierzał pokład łodzi tam i z powrotem, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie wyjdą w morze, gdy usłyszał na nabrzeżu znajomy głos. Powinien był to przewidzieć. Przechylił się przez burtę.

- Chyba nie chcesz, żebym cię zabił? - zawołał do przybysza. - Wolałbym tego nie robić.

Charles spojrzął na niego z oddali.

- Dostałem wyraźne rozkazy od żony. Mam bezpiecznie sprowadzić was oboje do Francji, bo inaczej mogę nie wracać do domu. W najgorszym razie chcę popatrzeć, jak popełniasz samobójstwo.

Rohan uśmiechnął się do przyjaciela. Pierwszy raz przemknęło mu przez myśl, że misja może się powieść.

- Witaj więc na pokładzie.

- Skończysz w Tower, krótszy o głowę - zrzędlawie oświadczył Charles, gdy tylko stanął obok niego.

- Wtedy będziesz musiał się zaopiekować obiema siostrami - powiedział beztrąsko Rohan.

- Co zamierzasz zrobić ze swoją panną Harriman, jeśli wszystko skończy się pomyślnie?

- To chyba nie twoja sprawa - odparł Rohan.

- Moja. Poślubiłem jej siostrę, więc ponoszę odpowiedzialność również za szwagierkę.

- Mój drogi, ona nie będzie chciała tego słuchać.

- To nie ma znaczenia. Co planujesz?

- Chyba ożenię się z Elinor.

- Dlaczego?

- Czy muszę się przed tobą tłumaczyć? Nie wystarczy, że chcę postąpić tak, jak nakazuje honor?

- Nie. Jeśli ona nie będzie chciała, to wcale nie musi cię poślubić.

- Proponuję, żebyś się nie wtrącał. Ona mnie poślubi, i koniec. Wcale nie zamierzam pytać jej o zdanie.

- Dlaczego? - powtórzył pytanie Charles.

Rohan odpowiedział przekleństwem, a gdy okazało się, że to nie wystarczy, dodał:

- Wiesz to równie dobrze jak ja. Zdaje się, że rzeczywiście odzyskałem serce. Nie widzę z niego pożytku, ale ono jest. A bez Elinor po prostu nie mogę żyć.

Charles klepnął przyjaciela po ramieniu.

- Witaj w rodzinie! - zawołał radośnie.

Podróż dłużyła się niemiłosiernie. Morze było wzburzone, więc kuzyn Marcus przerwy w karmieniu ryb spędzał na koi, natomiast Elinor stała na pokładzie i podziwiała fale. Z Dover wyruszyli dalej powozem. Marcus poczuł się nieco lepiej, ale i tak leżał wyciągnięty na siedzeniu obszernej berlinki, raz po raz pojękując. Elinor siedziała po drugiej stronie sztywno wyprostowana. Trudno się cieszyć z cudzego nieszczęścia, ale choroba kuzyna była jej na rękę, nie musiała bowiem obawiać się z jego strony niepożądanych zalotów. Nieśmiały pocałunek, który kuzyn zaryzykował, zanim źle się poczuł, wydał jej się obrzydliwy. Cóż, po prostu Marcus nie jest Francisem.

Mieli się pobrać po dotarciu do wsi Dunnet w Dorset, wokół której ciągnęły się rozległe włości jej ojca. Ostatni raz była tam przed dwunastoma laty, ale wcale nie spieszyło jej się do powrotu. Najlepszym lekarstwem na jej zauroczenie Rohanem był jednak ślub z kuzynem. Im prędzej pozna realia małżeństwa, tym szybciej pozbędzie się marzeń o ukochanym.

Była coraz bardziej zmęczona długą podróżą, za to Marcus wydawał się z każdą chwilą bardziej ożywiony.

- Niewiele się tu zmieniło od pani ostatniego pobytu, kuzynko - wyjaśnił. - Przejąłem tę nieruchomość niedawno, więc jeszcze nie widać, że jestem tu teraz panem. - Przez głowę przemknęła mu myśl, która musiała być nieprzyjemna, jeśli sądzić po jego minie. - Pani też będzie miała coś do powiedzenia, kuzynko.

- Nie - odparła. - Zna pan to miejsce lepiej niż ja, a poza tym to pana dom.

Ujrzała w oczach kuzyna wyraz głębokiego zadowolenia.

- To prawda, ale gdy weźmiemy ślub, dom będzie wspólny.

Dotarli do niego o zmierzchu. Gdy lokaje w liberiach pomagali jej wysiąść, szukała dookoła oznak czegoś znajomego, co pomogłoby jej przewyciężyć przygnębienie. Nie znalazła niczego, a co gorsza, również nikogo. Wśród służby widziała same nowe twarze.

Zaprowadzono ją z wielką pompą do dawnych pokojów matki. To było kolejne rozczarowanie. Okazało się, że zostały przemeblowane, prawdopodobnie przez macochę, która na szczęście mieszkała tu bardzo krótko. Elinor nie mogła zrozumieć, jak ojciec mógł poślubić kobietę tak pozbawioną smaku. Właśnie dobry gust był jedyną niezaprzeczalną zaletą lady Caroline.

Służąca, która przyszła jej pomagać, była młoda i bardzo przestraszona. Elinor odświeżyła się po podróży i uznała, że daruje sobie drzemkę. W powozie cała zeszywniała, postanowiła więc rozprostować kości i pospacerować. Ciekawiło ją, czy teren wokół dworu zmienił się tak samo, jak jego wnętrze.

Tu wreszcie znalazła coś znajomego. Szła przez uśpione ogrody i przypominała sobie, jak bawiła się w nich z Lydią. Myśl o siostrze zasmuciła Elinor. Lydia pewnie była

już po ślubie z tym nadętym medykiem i nosiła zaszczytny tytuł madame de Giverney. Miała poczucie, że zniszczyła siostrze życie, całkiem tak samo jak sobie.

Chciało jej się płakać, ale łzy niczego nie załatwiały, więc szkoda było na nie czasu. Wkrótce i ona miała zostać mężatką, a do tego panią domu, o którym jeszcze niedawno myślała, że opuściła go na dobre. We Francji nieraz tęskniła za rodzinnymi stronami, teraz okazało się, że było to jedynie złudzenie.

Weszła do rezydencji bocznym wejściem, z którego korzystała, gdy była młodsza. Baronowie Tolliver nie mieli tyle służby, co lord Rohan, więc nie przy każdych drzwiach stał lokaj. Zanim dotarła do opustoszałego holu, nabrała przekonania, że dom wydaje się wymarły.

- A już się zastanawiałem, gdzie pani zginęła, droga kuzynko - powitał ją w holu Marcus. - Nawet zacząłem się martwić. Ostatnio wydawała się pani trochę przybita.

- Naprawdę? - zdziwiła się. Włożyła przecież wiele wysiłku w ukrycie tego stanu. - To wszystko przez męczącą podróż.

- Naturalnie. Zostałem wezwany na resztę tygodnia do Londynu w sprawach majątku. Liczę na to, że nie ma pani nic przeciwko temu. Wrócę w poniedziałek i wtedy się pobierzemy. Poczyłem już niezbędne przygotowania.

- Bardzo dobrze - powiedziała z fałszywym uśmiechem.

Dlaczego, na miłość boską, zgodziła się na ten szaleńczy pomysł? - zastanowiła się. Wszystko przez to, że koniecznie chciała wyjechać z Francji. Marcus pochylił się i pocałował ją w rękę, a Elinor z najwyższym trudem powstrzymała odruch obrzydzenia.

- Będę tęsknił, moja droga, ale niedługo wrócę.

- Ja też będę tęskniła, Marcusie.

Sądziła, że po jego wyjeździe dom straci nieco ze swojej obcości, ale wcale tak się nie stało. Próbowwała nawet pytać o ludzi, którzy pracowali tu przed dziesięcioma laty, ale nic nie wskórała i w końcu zrezygnowała.

Z następnych kilku dni nie zapamiętała właściwie niczego oprócz radości, że nie musi patrzeć na Marcusa. Rankiem w dniu ślubu okazało się, że nie będzie żadnych gości. Mimo to ubrała się w elegancką suknię dzienną, łączącą fiolet z odcieniem lawendy, a przyszły małżonek pomógł jej wsiąść do powozu.

Podczas jazdy miała okazję dokładnie mu się przyjrzeć. Był naprawdę przystojny. Miał pełne, intensywnie zabarwione wargi. Pomyślała, że niedługo będzie ją tymi wargami całował, a ona mu na to pozwoli. Chyba że Marcus, tak jak sir Christopher, w ogóle zrezygnuje z całowania. Nie byłoby to złe.

Ceremonia przebiegła szybko, a jedynymi jej świadkami byli żona pastora i kancelista. Marcus spędził zaskakująco dużo czasu na upewnianiu się, czy małżeństwo zapisano zgodnie ze wszystkimi przepisami, a gdy wreszcie wszystko było gotowe, zaprosił ją na obiad, na który nie miała najmniejszego apetytu.

Pocałunek, do którego doszło w powozie, nie sprawił Elinor przyjemności. Mąż naturalnie miał wszelkie prawo kłaść jej rękę na piersi i żuć jej wargi jak twarde mięso, ale myśl o spędzeniu z tym człowiekiem reszty życia nie była dla niej zachęcająca. Pocięszało ją tylko to, że Marcus, podobnie jak sir Christopher Spats, będzie życzył sobie, by pozostawała nieruchoma.

- Wybierzmy się nad morze - zaproponował Marcus, gdy wreszcie ją puścił. - Chyba że wolisz udać się na spoczynek.

- Spacer to wspaniały pomysł - odrzekła szybko, starając się nie patrzeć na jego usta.

- Klify nad portem są wyjątkowo piękne, nie sądzisz?

- To prawda.

Pamiętała je dobrze. Roztaczał się z nich wspaniały widok, a w głębi lądu zachowały się ruiny starego opactwa. Gdyby to od niej zależało, mogliby spacerować nawet do północy bez względu na pogodę.

Z opactwa, do którego w młodości przyjeżdżała na pikniki, klify były dobrze widoczne. Gdy wysiadła z powozu, wiał zimny wiatr, więc ciaśniej otuliła się pelisą i zerknęła na szarzące niebo. Ujęła męża pod ramię, a on przykrył jej doń swoją i razem ruszyli w stronę morza.

Jedna ściana starego opactwa wciąż stała. Ziejące otwory okienne w pochmurny dzień o szarówce wyglądały złowieszczo. Dookoła było mnóstwo wspaniałych kryjówek, o czym Elinor dobrze wiedziała, bo kiedyś bawiła się tu z Lydią w chowanego. Teraz aż zadrżała na to wspomnienie, okolice stromych klifów nie były bowiem odpowiednie do

zabawy dla dzieci bez opieki. Niania miała jednak chore nogi, więc zastępowała ją służąca zainteresowana wyłącznie flirtowaniem ze stajennym, który je woził.

Wiatr się nasilał. W miarę jak zbliżali się do klifów, czuła narastające podniecenie nowo poślubionego męża. Zerknęła na niego z ukosa. Oczy mu błyszczały, co pewien czas oblizywał wargi. Najwyraźniej myślał o nocy poślubnej z dużo większym entuzjazmem niż ona.

Poślizgnęła się, ale Marcus ją przytrzymał. Roześmiała się niepewnie.

- Gdybym wiedziała, że po ślubie pójdziemy na spacer, włożyłabym solidne trzewiki - powiedziała.

- Powinienem być cię uprzedzić.

- Zaplanowałaś to, Marcusie?

Uśmiechnął się zagadkowo.

- W pewnym sensie.

Szli ścieżką biegnącą równoległe do krawędzi klifów. Elinor nie bała się wysokości, ale klify w Dunnet słynęły z tego, że nie mają litości dla nieostrożnych piechurów, należało więc uważać, bo skały przy krawędzi były zwietrzałe.

- Chodź, moja droga - rzekł Marcus i pociągnął żonę za sobą.

- Już wystarczy, bliżej podchodzić nie można - odparła stanowczo, usiłując uwolnić rękę.

Nie udało jej się. Okazało się, że jego mięsista dłoń może się zacisnąć z niezwykłą siłą. Spojrzała mu w oczy i zmartwiała. Nie było w nich miłości. Była zajadłość i mordercza żądza.

Nagle wszystko zrozumiała.

- Okazałam się bardzo głupia, prawda? - powiedziała cicho.

- Słucham, moja najdroższa?

Przyciągnął ją bliżej do siebie.

- Chce mnie pan zabić - stwierdziła z udawanym spokojem. - Nie rozumiem dlaczego, ale właśnie to pan zaplanował.

- Droga Elinor - odparł, przyciskając jej dłoń do przedramienia. - Jak pani wpadła na tak dziwacznym pomysł?

- Wyczytałam to w pańskich oczach, Marcusie.

Jego uśmiech wyraźnie się zmienił, teraz nazwałaby go złowieszczym.

- Liczyłem na to, że dla własnego dobra nie zorientuje się pani w tym, póki nie będzie za późno. Była pani tak pochłonięta utytułowanym kochankiem, że na mnie w ogóle nie patrzyła. Dużo pracy musiałem włożyć w to, żeby dojść do tego punktu. Teraz nadeszła chwila triumfu.

- Tak pan sądzi? - Elinor wciąż zachowywała spokój, choć dużo ją to kosztowało. - Dlaczego chce pan mnie zabić, kuzynie?

Nieuchronnie zbliżali się do krawędzi.

- Okłamałem panią, moja droga. Zresztą, nie tylko panią. Niewiele brakowało, a przekonałbym wszystkich, że jestem pani dalekim kuzynem. W każdym razie, dzięki naszemu małżeństwu wszystkie problemy zostały rozwiązane.

- Nawet jeśli zginę w dniu ślubu?

- To będzie oczywiście wielka tragedia. W młodości była pani znana jako urwipoleć w spódnicy i dużo biegała po klifach. Poza tym rozpuściłem pogłoskę, że przeżyła pani ostatnio niefortunną przygodę miłosną. Pani śmierć zostanie uznana za nieszczęśliwy wypadek albo samobójstwo spowodowane przyływem melancholii.

- Mogę pociągnąć pana za sobą. - Elinor ogarnął strach.

- Nie, moja droga. Jestem od pani o wiele silniejszy. - Poklepał ją po dłoni. - Chodźmy, Elinor. Chcę wrócić do domu na herbatę.

On jest szalony, pomyślała.

- Jeśli nie jest pan moim kuzynem, to kim? - spytała.

Uśmiechnął się z pogardą.

- Nie domyśliła się pani? Łączy nas znacznie bliższe pokrewieństwo. Jestem pani bratem przyrodnym, ale według angielskiego prawa nie mogę dziedziczyć. Za to pani siostra ma pod tym względem lepszą pozycję, mimo że jej ojciec jest nieznan. Sama pani widzi, ile w tym niesprawiedliwości. Musiałem to naprawić. Posiadłość należy się przecież mnie, a nie pani.

Odskoczyła od niego wstrząśnięta.

- Poślubiłeś mnie! - powiedziała ze zgrozą. - Dotykałeś mnie!

- I z przyjemnością wziąłbym cię do łóżka. Pod tym względem nie jestem wybredny. Skoro spałaś z Rohanem, mogłabyś i ze mną. Ponieważ wolałaś przyjść na klify, rozsądek nakazuje zakończyć całą sprawę. - Zerknął przez ramię. - Musimy się pospieszyć. Zdaje się, że będziemy mieli gości.

Elinor stała jak skamieniała, dopiero gdy do niej podszedł, nagle zamachnęła się torebką. Trafila go w głowę. Uderzenie nie było mocne, ale zadział efekt zaskoczenia. Korzystając z tego, dała nura pod wyciągniętym ramieniem Marcusa i popędziła w stronę opactwa.

Jeszcze nigdy Francis Rohan nie był taki przerażony. Nawet wtedy, gdy mając siedemnaście lat, szedł za ojcem i bratem w bój, którego wynik był z góry przesądzony, czy w długą bezksiężycową noc uciekał z Anglii skulony na dziobie łodzi.

Z Dover pogalopowali z Charlesem wzdłuż wybrzeża na południe. Nie robili postojów po drodze, mimo to w Dunnet okazało się, że są spóźnieni o kilka godzin. Małżeństwo już zostało zawarte. To zaś oznaczało, że mają bardzo niewiele czasu. Elinor mogła zginąć w każdej chwili, jeśli w ogóle jeszcze żyła.

W miejscowym zajeździe dowiedzieli się, że młoda para przed powrotem do majątku Harrimana wybrała się na spacer po klifach. Słyszając to, Rohan natychmiast wskoczył na konia, nie czekając na Charlesa.

W pewnej chwili zobaczył w oddali postać biegnącą od strony morza. To była kobieta. Tuż za nią pędził mężczyzna i stopniowo zmniejszał dzielącą ich odległość. Rohan spiął konia ostrogami. Tymczasem tamci dwoje znikli w widocznych niedaleko ruinach. Kobieta wciąż miała niewielką przewagę nad prześladowcą. Gdy Rohan dotarł w tamto miejsce, zeskoczył z konia i wyciągnął szpadę. Z całego serca modlił się, żeby nie było za późno.

Marcus był za szybki. Elinor zdawała sobie sprawę z tego, że zaraz ją dogoni. Gdy zauważyła przed sobą sporą gałąź leżącą na ziemi, zatrzymała się raptownie, chwyciła ją i wykonała obrót. Manewr okazał się skuteczny. Marcus, trafiony w twarz, wrzasnął z bólu i stracił równowagę, a ona zyskała bezcenne jarady.

Po prawej stronie miała znajome ruiny refektarza. Wiele razy chowała się w nich przed Lydią. Siostra nie odważyła się tam zapuścić, była bowiem przekonana, że w refektarzu straszą duchy zmarłych mnichów, których król Henryk kazał spalić żywcem. Dawnym kruzgankiem Elinor dobiegła do niedużej, częściowo zasypanej studni. Tę kryjówkę знаła doskonale.

Wcisnęła się do środka i nakryła głowę, żeby w mroku nie było widać jej twarzy. Studnia okazała się znacznie ciaśniejsza niż w jej wspomnieniach, ale przed laty chowała się w niej jako mała dziewczynka.

Wkrótce rozległ się tupot kroków na kamiennym podłożu.

- Jesteś tutaj, prawda?! - zawołał Marcus. - Nie uciekaj, to nie ma sensu. Lepiej wyjdź od razu, szybciej skończymy. - Kroki na chwilę się oddaliły, ale nie ważyła się poruszyć. Zresztą, wróciły. - Bardzo niemądrze zrobiłaś, chowając się tutaj. Po prostu skręcę ci kark i zostawię ciało. Zrzucić je z klifów zawsze zdążę.

Bliżej, coraz bliżej. Zrozpaczona Elinor zamknęła oczy. Marcus zaraz ją znajdzie... Miała broszkę przy pelisie, dużą i paskudną. Dostała ją jako prezent zaręczynowy. Drżącymi rękami odpięła tę wątpliwą ozdobę. Szpilka z zapięcia mogła się przydać. Zdażyła w porę, bo chwilę potem Marcus stanął nad studnią. Wyobraziła sobie obmierzły uśmiešek na jego wargach.

- O, tutaj jesteś, żono - powiedział i wyciągnął ramiona.

Rohan, pomyślała. Jeśli miała umrzeć, ostatnią myśl chciała skierować ku ukochanemu.

Tymczasem znalazła się w powietrzu, uniesiona przez Marcusa. Zamachnęła się, celując szpilką w oko. Prześladowca zawył z bólu i upuścił Elinor na kamienne podłoże. Poderwała się i wtedy zobaczyła Rohana. Pomyślała, że umrze, mając go przed oczami.

- Zostaw ją! - rzucił rozkazująco.

Tymczasem zbliżył się Charles Reading. Marcus chwycił Elinor za pelisę i przyciągnął do siebie.

- Nie zamierzam - syknął.

- Nie wyjdiesz z tego cało, Harriman - ostrzegł Rohan.

- Dla ciebie jestem lordem Tolliverem - odparł sztywno. - Poza tym nic mi nie grozi. Zostaniesz stracony jako zdrajca, jeśli tylko twoja obecność w tym kraju zostanie odkryta. A kto uwierzy takiemu nicponiowi jak Reading, skoro będzie jego słowo przeciwko słowu para królestwa?

- Ukradłeś ten tytuł - powiedział Reading. - Należy do syna Elinor.

Marcus zaciskał ramię na szyi Elinor. Brakowało jej powietrza. Syn Elinor, powtórzyła w myślach. Przecież naprawdę mogła nosić pod sercem syna Rohana. Ta świadomość dodała jej sił. Uderzyła Marcusa łokciem w brzuch. Stęknął, ale wciąż mocno ją trzymał.

- Nie bądź głupcem - przekonywał Rohan. - Jeśli ją skrzywdzisz, wypruję ci flaki żywcem, a Reading mi w tym pomoże. Wrócę do Francji, zanim ktokolwiek znajdzie twoje ciało. Jestem jednak gotów potraktować cię jak dżentelmena, za którego się podajesz. Jestem gotów stanąć do pojedynku. Z pewnością nie odrzucisz wyzwania.

- Żebyś przebił mnie na wylot jak tego biednego tłustego głupka? - Marcus roześmiał się. - Lepiej władam bronią niż sir Christopher Spatts, ale nie jestem przeciwnikiem dla takich ludzi jak wy...

Słyszając to znienawidzone nazwisko, Elinor kopnęła Marcusa piętą. Trafiła w czułe miejsce, i wtedy uścisk na chwilę zelżał. To wystarczyło, by wyrwała się prześladowcy i skoczyła w stronę Rohana. Zanim do niego dobiegła, chwycił ją Charles i odciągnął na bok.

- Staniesz do walki, Harriman - powiedział Rohan. - Jeśli nie, i tak cię zabiję. Walcząc, przynajmniej masz jakąś szansę.

Zapadła cisza.

- Niestety, nie mam broni - powiedział w końcu Marcus.

- Charlesie, bądź taki dobry i pożycz temu człowiekowi szpadę - wycedził Rohan. - A potem zabierz stąd swoją szwagierkę.

Charles podał mu broń, ani na chwilę nie puszczał ramienia Elinor.

- Dobra klinga - orzekł Rohan, gdy przetestował szpadę. - Nie zasługujesz na taką, Harriman.

- Chodźmy, Elinor - powiedział Charles i pociągnął ją za sobą.

Próbowała się opierać.

- Nie! - krzyknęła. - A jeśli coś się stanie...

- Coś stanie się na pewno - potwierdził chłodno Rohan, nie patrząc w jej kierunku.

- Twój fałszywy małżonek zginie. Odejdź.

- Nie! - krzyknęła.

Nie chciała go zostawić, wynik pojedynku nie był przecież przesądzony.

- Jeśli zostaniesz, będziesz mnie rozpraszać i mogę przez to zginąć - powiedział spokojnie Rohan.

Charles wyprowadził ją z ruin i szarzejący dzień wydał jej się nagle całkiem jasny. Bolała ją noga skręcona podczas ucieczki, więc pomoc Charlesa była nieoceniona. Po chwili przysiedli na gładkich.

- A jeśli on go zabije? - spytała, choć ledwie przeszło jej to przez gardło.

- Tak robi - potwierdził Charles.

- Nie... Miałam na myśli Marcusa.

- Niemożliwe. Pani nie słyszała, co Rohan mówił przez ostatni tydzień. Ten człowiek jest właściwie martwy od chwili, gdy odważył się wyciągnąć po panią rękę. - Zanim zdążyła zareagować, dodał: - Bardzo przepraszam, ale jestem pani szwagrem. Okazało się, że Etienne jest nie do zniesienia i dla Lydii, i dla mnie.

- Prawdę mówiąc, mam podobne odczucia. - Spróbowała wstać, ale ból sprawił, że szybko usiadła z powrotem. - Czy jest pan pewien, że Francisowi nic się nie stanie? I dlaczego zabił tego człowieka?

- Sir Christophera Spattsa? Nie mam pojęcia. Rohan po prostu wpadł do... jednego z pokojów używanych podczas igrzysk i chlusnął mu winem w twarz. Ten człowiek oczywiście nie był dla niego przeciwnikiem. Nigdy nie widziałem Rohana w bardziej krwiożerczym nastroju. Chyba nie przemyślał tego do końca. Będzie pani musiała wrócić powozem Marcusa...

- Nie - odparła, spoglądając ku wyjściu z ruin. - Czy to długo potrwa?

Reading wzruszył ramionami.

- To zależy.

- Od czego?

- Od umiejętności przeciwnika. I od tego, jak Rohan go potraktuje. Chyba chce, by jego umieranie było długie i bolesne.

- Będę cierpliwa - powiedziała ponuro Elinor.

- Pani też jest krwiożercza.

- Czasami.

Charles pokręcił głową.

- Jesteście lepiej dobrani, niż sobie wyobrażałem - mruknął.

Mimo wszystko dała się namówić na powrót do koni. W tamtą stronę przebyła tę drogę w okamgnieniu, teraz wydawało jej się, że potrzeba na to wieków. Z pomocą Charlesa jednak osiągnęła cel. Wiatr tymczasem ucichł i znad klifów dochodziły krzyki ptaków.

Gdy znów spojrzała w stronę ruin, ujrzała Rohana. Zbliżał się do nich i nie spojrzał na nią ani razu. Stanąwszy obok nich, oddał broń Charlesowi.

- Co pan tutaj robi? - spytała Elinor, z trudem panując nad wściekłością.

- Chyba uratowałem pani życie - odparł z ironicznym uśmiechem.

- Ciekawe po co? Przecież jedna burzliwa noc nie przekłada się na wsparcie przez całe życie. I raczej nie uzasadnia przeprawy przez cieśninę. - Omal się nie roześmiała, widząc jego wstrząśniętą minę. - Wygląda na to, że odziedziczyłam majątek po ojcu, więc nie będzie pan musiał płacić za moment słabości.

Przez chwilę stał nieruchomo, a potem odwrócił się i ruszył do konia.

- To tak?! - zawołała za nim. - Uwodzi mnie pan, obraża, a kiedy mówię mu to prosto w oczy, chce po prostu odejść?

Przystanął i się odwrócił. Wyglądał na śmiertelnie zmęczonego, rękaw miał zaplamiony krwią. Elinor wiedziała, że to krew jej wroga, i w duszy cieszyła się z takiego zakończenia.

- Nie mam nic do powiedzenia - stwierdził.

Przebył długą drogę wyłącznie po to, by ją uratować, ale jej nie chciał. Żal był tak olbrzymi, że mimo woli wyrwało jej się głębokie westchnienie. Zamaskowała je kaszlnięciem. Tak bardzo zajęła ją walka z własną słabością, że nawet nie zauważyła, kiedy Charles usunął się na bok, a przed nią stanął Rohan.

- Czego pani ode mnie chce, Elinor? - spytał szorstko.

- Niczego, co mógłby mi pan dać... Pan mnie nie chce i to jest w porządku. Dlaczego jednak zabił pan sir Christophera i dlaczego przyплыł tutaj z Francji, jeśli nic pana nie obchodzi?

- Niech pani przestanie!

- Nie - odparła stanowczo, choć jej głos niebezpiecznie się łamał. - Jest pan żałosny. Nienawidzę pana!

- To oczywiste - przyznał ponuro. - Ma pani wiele powodów, a zawsze wykazywała się dużą trzeźwością rozumowania.

- No właśnie - powiedziała niepewnie. Twarz miała mokrą od łez i bardzo ją to złościło. - Niech pan odejdzie.

- Próbowałem to zrobić - zwrócił jej uwagę.

- A kto pana zatrzymywał?

- Pani.

- To był dla mnie... wyczerpujący dzień. - Coraz trudniej przychodziło Elinor zapanować nad łamiącym się głosem. - Wyszłam za mąż, byłam całowana przez przyrodniego brata, omal nie zginęłam, zostałam w ostatniej chwili uratowana przed straszną śmiercią, a pan tak po prostu stoi i milczy.

- A co chciałaby pani ode mnie usłyszeć, dziecko?

- Nie jestem dzieckiem! - wykrzyknęła.

- Pytam więc jeszcze raz, czego pani ode mnie chce. Mam się kajać? Za mała kara. Byłem okrutny, głupi, tchórzliwy, a to są cechy, których nienawidzę najbardziej na świecie. Nie należy mi się to, czego najbardziej pragnę. Czego pani ode mnie chce?

Omalaż wyznała: Chcę, żebyś mnie kochał.

- Nie mam zwyczaju płakać. To wszystko było jednak ciężkie do zniesienia.

- Rzeczywiście - przyznał. - Czy odpowie pani na moje pytanie?

- Pan mnie nie chce, więc dam sobie radę sama.

Popatrzył na nią w skupieniu i rysy nieco mu złagodniały.

- Co panią przekonało, kwiatuśku, że jej nie chcę? Zwracam uwagę, że w tym kraju za moją głowę można dostać nagrodę, a jednak przyjechałem tutaj właśnie za pa-

nią. Byłbym szaleńcem, gdybym jej nie kochał, a mimo wszystkich swoich wad nie uważam się za szaleńca.

- Pan mnie kocha? - spytała z niedowierzaniem.

- Nad życie - wyznał po prostu i wziął ją w objęcia. - Powiem pani, że kończę z hulaszczym życiem. Wystąpiłem z Zastępów Niebieskich i zamierzam być statecznym, pełnym godności dżentelmenem. Teraz będzie pani musiała mnie poślubić.

Spojrzała na niego przekornie.

- A jeśli pomyślę, że robi to pan ze źle pojmowanego poczucia przyzwoitości?

- Nigdy nie robię tego, czego nie chcę.

- A jeśli ja nie chcę?

- Niech pani spojrzy na to od innej strony, kwiatuszku. Może pani spędzić resztę swoich dni na poddawaniu mnie torturom.

Pocałował ją. To było cudowne, oszałamiające doznanie. Przytuliła się do niego, uroniła ostatnie łzy, a potem objęła go za szyję i odpowiedziała mu na pocałunek. Przypieczętowali to, że należą do siebie.

- Lepiej już jedźmy - przerwał im Charles Reading.

Rohan przysunął usta do ucha Elinor i lekko je skubnął, rozsyłając po jej ciele miły dreszczyk.

- Czy mówiłem ci, Charlesie, że jesteś tu niepotrzebny? - spytał, przerywając wędrówkę wargami po szyi Elinor.

- Nie tak bardzo, jak byliby ludzie króla, gdyby nas tutaj zastali. Ruszajmy. W Bournemouth czeka na nas łódź. Im szybciej wypłyniemy, tym lepiej.

- On ma rację - powiedział Rohan. - Chodź, kochanie. Jeśli, naturalnie, zechcesz przyjąć takiego żalosego drania jak ja.

W niebieskich oczach krył się cień niepewności. Elinor pomyślała, że powinna dobrze zapamiętać ten wyraz twarzy, bo prawdopodobnie więcej go nie zobaczy. Chciała mieć w swoim skarbcu takie wspomnienie.

- Przyjmuję pana, milordzie - powiedziała słodko. - W końcu to lepsze niż szczury.

